Czy AI uratuje SOR • Polska: szacun na dzielni • Berek w Trybunale? • Żegnaj, Dolly
Ścigany Romanowski • 80 lat Olgierda Łukaszewicza • Zazdrosny na śmierć

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

© MIESZKO PIĘTKA/AKPA, STUDIO POLITYKI

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 36 (3580), 2.09–8.09.2026

Ofiary Mety

Jak państwo Brzoskowie, państwa Unii i stany USA walczą o regulację internetu

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 36>
Wydanie w sprzedaży do 8.09.2026

Lenovo

Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl 0eac8d3e91

POLITYKA

w numerze 36 2.09–8.09.2026

74
Olgierd Łukaszewicz: naga walka

© LESZEK ZYCH

Temat tygodnia

10 Martyna Bunda
Światowa wojna z big techami

Polityka

14 Rafał Kalukin **Kraków i Warszawa: wyborcze paradoksy**
18 Ewa Siedlecka
Trybunał Konstytucyjny: kontrowersyjna kandydatura Macieja Berka
21 Anna Dąbrowska
Marcin Romanowski – poszukiwany były wiceminister
24 Rafał Kalukin **Jan Rokita – od polityka z Małopolski do gawędziarza z Podkarpacia**

Rozmowa POLITYKI

27 Jak prawicowi populiści podebrali wyborców demokratom, opowiada politolog **David Ost**

Społeczeństwo

30 Ziemowit Szczerek
O promocji polskiej marki wczoraj i dziś
34 Jak odbudować zaufanie do lekarzy, proponuje dr **Łukasz Rákász**
37 Zbigniew Borek
Zazdrosny na śmierć
40 Natalia Sawka **Miasta hałasu**

Rynek

44 Adam Grzeszak
Volkswagen zwalnia
47 Cezary Kowanda
Ogrzewanie pelletem: miało być tanio, jest drożej

Świat

50 Piotr Buras NIEMCY
Brunatna chmura nad Saksonią
53 Łukasz Wójcik USA **Alexandria Ocasio-Cortez i Karoline Leavitt: co łączy lewaczkę z prawaczką**
56 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA **Nieletni więźniowie**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Marcin Rotkiewicz **Sztuczna inteligencja na ostrym dyżurze**
61 Agnieszka Krzemińska
Przyszłość przeszłości, czyli o nowatorskich duńskich muzeach

Historia

64 Marcin Kołodziejczyk
August Agboola Browne – rzekomy czarnoskóry powstaniec warszawski
67 Andrzej Krajewski
Legenda o flocie II RP

Kultura

74 Aktor **Olgierd Łukaszewicz** o swoim Teatrze Intymnym i 80. urodzinach
78 Poetka **Justyna Kulikowska** o pisaniu, buncie i zachwycie
82 Bartek Chaciński
Dole i niedole Dolly Parton
84 Jakub Demiańczuk
Niezwykła kariera szefa kuchni Anthony'ego Bourdaina
87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

94–97 • **Polskie winnice**
• **Cyfrowe portrety narodowe**
• **Powakacyjny wysyp słów**
• POCZTÓWKA POLITYKI
Chorwacja – plamy na słońcu

Stałe rubryki

• **4** Przypisy
• **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **88** Orliński
• **89** Koziołek • **90** Hartman
• **91** Chutnik i Plebanek
• **92** Mizerski
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 0eac8d3e91

Wolno-amerykanka

Bartek Chaciński

Biznesmen Rafał Brzoska wystąpił przeciwko amerykańskiemu koncernowi Meta za masową publikację fejkowego zdjęcia, na którym stoi skuty w kajdanki przez policję, a swój gniew tłumaczył m.in. niepokojem własnych dzieci. Trudno znaleźć w jednym zdaniu większą liczbę argumentów na rzecz regulacji. Widać tu i dzisiejsze próby powściągnięcia hegemonii big techów przez państwo, pociągnięcia ich do odpowiedzialności za oszustwa oparte na wykorzystywaniu wizerunku znanych osób, widać patologie społeczne wynikające z uzależniania odbiorców, w tym dzieci. Widać więc i to, czego wyrazem jest wielki amerykański proces zakończony ugodą w wysokości ponad 17 mld dol. – duża część procesów (które dokładnie relacjonujemy na s. 10) ma swoje odbicie w tej gwałtownej reakcji założyciela i prezesa InPostu.

Są w tej historii jeszcze dwa symboliczne aspekty. Po pierwsze, nawet szef wizytówkowego polskiego biznesu o światowych aspiracjach okazuje się bezradny wobec potentatów z Krzemowej Doliny, którzy scamów – różnego typu internetowych oszustw – wprawdzie nie popierają, ale na nich zarabiają. A łącznie gra idzie o duże pieniądze: wycena Mety (konglomerat zbierający m.in. Facebooka, Instagram i WhatsAppa) sięga obecnie 1,45 bln dol. Jeśli ktoś się zastanawia, czy amerykańska ugoda zaszkodzi potentatowi, powinien pamiętać, że sumę 17 mld dol. koncern potrafi zarobić na czysto w ciągu kwartału. I że jest to więcej niż obecna wartość całej grupy InPost.

Po drugie, Brzoska, który był twarzą uruchomionych przez rząd Donalda Tuska procesów deregulacyjnych, staje w ten sposób po stronie regulacji. Owszem, biznes duszą skomplikowane przepisy, ale krzywdzącej ludzi korporacji nie powstrzyma niewidzialna ręka rynku. Tu nawet wpływowi i bogaci mogą się stać ofiarą bardziej wpływowych i bogatych. I wtedy rozlega się pytanie: gdzie państwo?

Dotyczy to również zwolenników pełnej wolności gospodarczej. Weźmy działaczy Konfederacji: bronią nas jak lwy w starciu z unijną biurokracją, gardłują twardo na rzecz zdjęcia obciążeń z prywatnych biznesów, ale miękną jak baranki, gdy ktoś np. zhakuje serwery prywatnej firmy zawiadującej ich wrażliwymi informacjami. Stąd zmiana tonu u europosłanki Ewy Zajączkowskiej-Hernik, która odpowiedzialnością za wyciek medycznych danych milionów Polaków z firmy MyDr z miejsca obciążyła… premiera i rząd. Tymczasem kiedy Sejm przyjmował ustawę regulującą zawiadywanie danymi w oświacie i wprowadzenie eDziennika, za który odpowiadałoby państwo, przeciwko głosował w całości tylko klub Konfederacji. W tej chwili danymi uczących się dzieci zawiadują w większości prywatne firmy z kapitałem amerykańskim lub fińskim.

Dodajmy, że ustawa o eDzienniku trafiła już na biurko prezydenta Nawrockiego i została przez niego zawetowana. Wcześniej zawetował wprowadzenie unijnego pakietu DSA ułatwiającego walkę ze scamem. Jego linia to sprzeciw wobec regulacji i zaufanie do Ameryki.

Tamtejszy przypadek znamy nieźle. Także dzięki książce „Gównowacenie" śledzącego korporacyjne gnicie internetu Cory'ego Doctorowa, który pisze tak: „Amerykańskie lobby biznesowe przez dekady paraliżowało eksperckie agencje nadzorujące gospodarkę, wykorzystując do tego republikańskich prezydentów". Ukoronowaniem tego procesu jest jego zdaniem agenda Donalda Trumpa, czyli ulubionego prezydenta naszego prezydenta.

Symbolem takiej wolnoamerykanki – opisywanej także na naszych łamach – był ostatnio biznes kryptowalutowy. Wykorzystywany przez Trumpa, wspierany przez środowiska prawicy, w wydaniu polskim chroniony przez prezydenckie weta do ustaw regulacyjnych. Kariera działającej na tym rynku giełdy Zondacrypto skończyła się jedną z najbardziej rozwojowych politycznych afer. Sami w tym wydaniu zastanawiamy się (s. 22), czy duża suma pieniędzy przelana przez prezesa Zondy na rzecz Instytutu Polski Suwerennej Zbigniewa Ziobry miała pomóc w ucieczce byłego wiceministra Marcina Romanowskiego. I piszemy o areszcie dla zamieszanego w aferę szefa PKOl Radosława Piesiewicza (s. 6). A jeśli Romanowski rzeczywiście ukrywa się w Naddniestrzu, to nie bez przyczyny – to miejsce, gdzie władza demokratycznych państw nie dociera.

Populistyczna prawica opowiada dziś modną, antyelitarną narrację także za pieniądze technologicznych elit biznesowych. O tym, że ta narracja źle się historycznie kojarzy i że w Polsce antyelitaryzm pojawił się już dawno, opowiada w wywiadzie (s. 27) amerykański politolog David Ost.

A o tym, że ta opowieść wrosła już w kulturę popularną, przekonywał Karol Nawrocki, organizując swój odpowiednik Campusu Polska Przyszłości, czyli spotkanie dla młodych w ośrodku prezydenckim w Juracie. Impreza była kameralna, ale scena jak na dużym letnim festiwalu. Występowali Kubańczyk i Skolim. Ten pierwszy, raper i freakfighter, zasłynął choćby utworem „Made in Polonia": „Hajs, nieważne jak, zarabiam cały czas". A ten drugi – piosenkarz i biznesmen – nagrał w duecie z Cleo piosenkę, która mogłaby być hymnem wolnoamerykanki w polskim wydaniu: „Do patentów mamy łeb, byle nie narobić się, ale więcej mieć/ Lubimy dobre patenty, drobne przekręty".

Nawet w social mediach słychać było głosy sprzeciwu, bo Skolimowi zdarza się przesuwać granice wolności za daleko („Rozkładam nogi twoje i biorę to, co moje"). Lecz ostatecznie w sieci zwykle wygrywa w komentarzach opcja wolnościowa, deregulacyjna, antypaństwowa. Tradycyjne media są spychane do narożnika jako elitarne. Jeśli tak, to ta elitarność polega na tym, że na naszych łamach fejkowy Brzoska ani wygenerowany w AI Nawrocki nie namawiają nikogo do wpłaty pieniędzy na szemraną inwestycję.

eprasa.pl 0eac8d3e91

Albatros travel

Albatros 40 lat

Tajwan
- wyspa skarbów

2 posiłki dziennie

NOWOŚĆ

Fascynująca podróż do kraju, w którym tysiącletnie tradycje i religijne rytuały harmonijnie współistnieją z pulsującym rytmem nowoczesnych metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tajpej. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 3** Tajpej. Zwiedzanie miasta: Muzeum Narodowe, Hala Pamięci Czang Kaj-szeka i wieżowiec Taipei 101. **Dz. 4** Tajpej – Taichung. Szybka kolej, rezydencja Wufenglin i nocny targ Feng Chia. **Dz. 5** Taichung – Jezioro Słońca i Księżyca. Świątynia Wenwu i rejs po jeziorze Sun Moon. **Dz. 6** Jezioro Słońca i Księżyca – Tainan - Kaohsiung. Wycieczka po Tainanie: ulica Anping, starożytny fort i lokalny targ. **Dz. 7** Kaohsiung. Największy posąg Buddy na Tajwanie. Wizyta w lokalnej społeczności i warsztacie parasoli papierowych. **Dz. 8** Kaohsiung – Taitung. Wizyta w dzielnicy artystycznej Pier-2 i na farmie kakao. **Dz. 9** Taitung – Hualien. Wycieczka rowerowa przez pola ryżowe i wizyta w muzeum Bento. **Dz. 10** Hualien – Yilan – Tajpej. Punkt widokowy Qingshui, lokalny obiad i plantacje herbaty. **Dz. 11** Tajpej. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Pingxi. **Dz. 12** Wylot z Tajpej do Warszawy. **Dz. 13** Powrót do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 01/11 2026, 01/04, 26/09 2027 | od 14.998,-

2 posiłki dziennie

Jezioro Garda i Północne Włochy

Cudowna wycieczka nad słynne jezioro Garda połączona ze zwiedzaniem Wenecji, Werony i pięknego Tyrolu Południowego.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno. **Dz. 2** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 3** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 4** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 6** Wenecja – spacer po mieście i rejs przez lagunę. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 21/04, 12/05 2027 | od 5.498,-

Najpiękniejsze Parki Narodowe USA

Wspaniała podróż z Los Angeles, tętniącej życiem stolicy filmu, przez parki narodowe, pustynne krajobrazy i stolicę hazardu Las Vegas aż do San Francisco.

Podróż rozpoczynamy w Los Angeles i przemierzamy kultowe krajobrazy Dzikiego Zachodu. Odwiedzimy Monument Valley, Wielki Kanion, Yosemite i Dolinę Śmierci, zestawiając dziką naturę z metropoliami: Las Vegas, San Francisco i Hollywood oraz legendarną Route 66.

15 dni | Wyloty z Warszawy 28/04, 07/07, 08/09 2027 | od 19.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL33**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 0eac8d3e91

Piesiewicz za kratkami

Trzy miesiące spędzi w areszcie Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Prokuratura postawiła mu zarzuty płatnej protekcji oraz faworyzowania wierzycieli. Pod koniec ub.r. Piesiewicz triumfalnie oznajmiał pozyskanie dla PKOl sponsora, giełdy kryptowalut Zondacrypto. Ale w kwietniu giełda upadła, jej prezes Przemysław Kral się ulotnił, a straty klientów wstępnie podliczono na 350 mln zł (o Piesiewiczu i Zondacrypto pisałem pierwszy raz w POLITYCE 44/25 w tej rubryce i w POLITYCE 45/25 w tekście „Kryptol", wracałem do sprawy w polityka.pl). Teraz Kral, który przejął ten biznes kilka lat temu w bardzo niejasnych okolicznościach po zaginięciu Sylwestra Suszka, twórcy giełdy BitBay, poprzedniczki Zondy, poszedł na współpracę z prokuraturą, licząc na złagodzenie kary.

Piesiewicz miał obiecać Kralowi interwencję w Urzędzie Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który przyglądał się działalności Zondy. Dostał za to od Krala zegarek wart 40 tys. euro. To podpada pod płatną protekcję. Piesiewicz odzyskał też zainwestowane na giełdzie 200 tys. euro już po tym, jak innym klientom zablokowano wypłaty, czyli stał się wierzycielem uprzywilejowanym, na co również jest paragraf.

To spektakularny koniec jednej z najbardziej bezczelnych karier z czasów rządów PiS i symbolu kleptokratycznej natury tej władzy. Ponad trzy lata temu POLITYKA jako pierwsza ujawniła, że Piesiewicz został wszechwładnym prezesem w koszykówce po to, by wyprowadzać w formie prowizji od umów sponsorskich miliony złotych, przy których ów zegarek to błahostka. Podpisywanie umów ze spółkami Skarbu Państwa umożliwiał mu jego kolega Jacek Sasin, wówczas szef Ministerstwa Aktywów Państwowych. Ta znajomość była też dla Piesiewicza główną kartą przetargową, gdy ubiegał się o fotel prezesa PKOl. W istocie przesłanki płatnej protekcji zaistniały już, gdy działał w sporcie. Piesiewicz powoływał się na wpływy u Sasina, obiecywał załatwienie sponsorów, odniósł korzyść majątkową. Gdy wreszcie jego działalności zaczęła się przyglądać prokuratura, okazało się, że tylko w ciągu dwóch lat wyprowadził z koszykówki w formie prowizji ponad 7 mln zł.

Za płatną protekcję grozi mu osiem lat więzienia, ale prawdziwą karą byłaby dla niego konfiskata majątku, który zgromadził dzięki znajomości z Sasinem. Aresztowanie prezesa narodowego komitetu olimpijskiego przyciągnęło uwagę mediów na całym świecie i ściągnęło na Polskę niesławę. A w PKOl ochotę na zastąpienie Piesiewicza mają ci, którzy trzy lata temu najgoręcej go popierali.

MARCIN PIĄTEK

Dwa Campusy

Campus Polska Przyszłości wrócił na olsztyńskie Kortowo po rocznej smucie wywołanej porażką **Rafała Trzaskowskiego** w wyborach prezydenckich. Z relacji uczestników i komentarzy na wolontariackich grupkach wynika, że ani frekwencja, ani atmosfera nie równały się tej przed dwoma laty.

Poza tym wydarzenie toczyło się swoim rytmem. Był turniej w tenisa, panele o bezpieczeństwie i demokracji, goście specjalni. Z uczestnikami spotkali się laureat Pokojowej Nagrody Nobla Aleś Białacki, dziennikarz Andrzej Poczobut, artystka Mery Spolsky czy astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski.

Największym echem odbiły się wystąpienia dwóch liderów koalicji rządzącej: marszałka Włodzimierza Czarzastego i premiera **Donalda Tuska**. Przewodniczący Lewicy bronił Ukraińców w Polsce („nie ma bezpiecznej Polski bez bezpiecznej Ukrainy"), przestrzegał przed prawicą, a nawet zdążył wypomnieć Trzaskowskiemu incydent z debaty prezydenckiej, gdy schował otrzymaną tęczową flagę.

Szef rządu musiał się zmierzyć z niezadowoleniem sympatyków koalicji. Podtrzymał poparcie dla Macieja Berka, przestrzegał przed „złymi ludźmi", a na pytanie, czy czas oddać władzę, odpowiedział: „jakby był ktoś lepszy, to by tę władzę wziął". „Młodzi muszą wziąć odpowiedzialność za kraj. Po tamtej stronie młodzi już to robią. Nie pozwólcie, by młoda prawica przejęła rządy" – przestrzegał premier, kierując uwagę na drugą imprezę dla młodych organizowaną w Juracie.

Przyszłość.pl była imprezą dwudniową dla młodzieży do 26. r.ż. I znów: były debaty, był sport, byli goście. Na scenie wystąpili **Skolim**, raper Kubańczyk, sportowy komentator Przemysław Babiarz i koreańscy pianiści. Pierwsza dama piła popularną wśród młodzieży matchę, o Polsce rozmawiali influencerzy Marcin Giełzak i Jakub Dymek, a z uczestnikami na plaży spotkali się prezydenccy ministrowie i szef BBN. Organizatorom nie sprzyjała pogoda, frekwencja była kiepska. Imprezę przewidziano na tysiąc uczestników, choć na zdjęciach zamieszczanych przez Kancelarię Prezydenta RP i ta liczba wydaje się na wyrost.

Oba Campusy miały przyciągnąć uwagę najmłodszych, którzy w przyszłym roku znów mogą zadecydować o losach kraju. W 2023 r. przechylili szalę na korzyść koalicji, w 2025 r. podarowali prezydenturę **Karolowi Nawrockiemu**. Imprezy dowiodły jednego: ciekawi goście to za mało.

MICHAŁ TOMASIK

© KATARZYNA ZEREMBA/PAP, TOMASZ WASZCZUK/PAP, LUXON_GIT/INSTAGRAM

eprasa.pl 0eac8d3e91

Koniec bezkarności?

Anna Siewierska
Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Ostatni tydzień wakacji okazał się wyjątkowo gorący. Zeznania Przemysława Krala, prezesa Zondacrypto, uruchomiły lawinę wydarzeń, której kulminacyjnym punktem było aresztowanie Radosława Piesiewicza. Widok prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego w kajdankach na krótką chwilę połączył, rozdartą na pół, Polskę. Z analizy Res Futury wynika, że aż 94 proc. komentujących tę sprawę w internecie uznało zatrzymanie słynącego z zamiłowania do absurdalnie drogich zegarków dobrego znajomego Jacka Sasina za słuszne. Większość emocji zogniskowała się wokół przekonania, że choć działania służb są mocno spóźnione, to dają też nadzieję na koniec bezkarności różnej maści złodziei w białych kołnierzykach.

Radość z tej coraz rzadszej w naszym kraju zgody zepsuła jednak informacja, że obrońcą założyciela giełdy kryptowalut, która oszukała tysiące Polaków, nie jest już Bartosz Lewandowski z Ordo Iuris, lecz… poseł Roman Giertych. Polityk KO tłumaczy, że Krala broni społecznie, a jego klient współpracuje z prokuraturą. Nawet jeśli delikatnie łagodzi to gorzki posmak konfliktu interesów, to nie zmienia też faktu, że prawica dostała w ten sposób koło ratunkowe. I uchwyciła się go kurczowo! Podczas gdy politycy Prawa i Sprawiedliwości od tygodnia kasują zdjęcia z Piesiewiczem i Kralem, Republika, czyli coś na kształt telewizji i telezakupów w jednym, próbuje przekonać Polaków, że Zondacrypto to afera Donalda Tuska, czego Giertych, w roli obrońcy Krala, ma być ostatecznym i namacalnym dowodem. Co prawda, w luksusowym hotelu na Ibizie z Kralem spotkał się poseł PiS Michał Moskal, zaufany człowiek prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ale Tomasz Sakiewicz ma własny interes, żeby przekonać Polaków, że milionowe wpływy dla prawicy od Zondacrypto to w gruncie rzeczy zwykła prowokacja. Najpewniej na zlecenie rządu albo nawet samej Brukseli.

W odpowiedzi mecenas Giertych zapowiedział ujawnienie całej serii nagrań z udziałem czołowych polityków prawicy, a poparcie dla działań służb w ciągu kilku dni z 94 proc. spadło do 58,4 proc., bo afera Zondacrypto przestała być postrzegana w kategoriach kryminalnych i wpisała się w stary schemat wojny dwóch politycznych plemion. Co się Żurek napracował, to mu Giertych zepsuł.

Emocje rozgrzał też brutalnie szczery wywiad Pawła Zalewskiego. Wiceminister obrony narodowej po spotkaniu z zastępcą sekretarza obrony USA przyznał, że „Polska nie chce mieć głowic nuklearnych na swoim terenie". I znów na moment fala krytyki połączyła głosy z każdej strony politycznego spektrum. Najgłośniej, co staje się już powoli normą u ludzi prezydenta Karola Nawrockiego, który decybele ceni wysoko, krzyczał Marcin Przydacz. Oburzenia wypowiedzią Zalewskiego nie zmniejszył nawet fakt, że negocjowany wciąż udział Polski w programie NATO Nuclear Sharing nigdy nie zakładał, że amerykańskie głowice jądrowe będą na stałe rozmieszczone na terenie Polski. I to nie tylko dlatego, że sprzeciwiają się temu niektórzy sojusznicy, w tym same Stany Zjednoczone, lecz również z bardziej banalnego powodu – nasz kraj nie ma infrastruktury do trwałego przechowywania głowic nuklearnych. Planowany parasol ochronny od początku zakładał dostosowanie polskich samolotów F-35A do przenoszenia broni jądrowej, a nie do jej trwałego rozmieszczenia na terenie Polski. Niestety, politycy wszystkich opcji są obecnie w amoku zbrojenia i nawet jeśli Borsuka mylą z Rosomakiem, a Pioruna z Krabem, to łączy ich przekonanie, że czym więcej, tym lepiej. I nikt im nie będzie mówił, że coś „nie jest ani możliwe, ani pożądane".

Generalnie tydzień upłynął więc stabilnie – we wzajemnych oskarżeniach, na obrzucaniu się błotem, a nawet zarzucaniu sobie „skurwysyństwa". Jesień będzie gorąca tego roku.

Nowy rok szkolny: idą zmiany

Zreformowane mają zostać stołówki. Raz w tygodniu wszyscy uczniowie zjedzą posiłek wegetariański. W pozostałe dni szkoła musi zapewnić im wybór między daniem mięsnym a roślinnym. Co najmniej dwa razy w tygodniu zupy mają być warzywne. Szkoły i przedszkola mają też preferować wodę jako podstawowy napój podawany dzieciom. 1 września wejdzie w życie również **zakaz używania smartfonów w podstawówkach**. Ma obowiązywać podczas lekcji, przerw i innych zajęć. Telefony będzie można jednak do szkół zabierać, placówki będą albo tworzyć specjalne miejsca do przechowywania urządzeń, albo nakazywać wyłączanie ich po wejściu do budynku i chowanie na dnie plecaka. Ale trudno będzie dzieci do tego zmusić. „Zainteresowanie niewypasionymi telefonami z drugiej ręki rośnie, niebawem popyt przewyższy podaż" – pisał niedawno na polityka.pl Dariusz Chętkowski, nauczyciel i publicysta.

Walka o edukację zdrowotną zakończyła się decyzją, że moduł z wiedzą o seksualności nie będzie obowiązkowy, będą się go uczyć jedynie chętni, za zgodą rodziców. Jednocześnie grupa posłów PiS pod przewodnictwem Przemysława Czarnka zaskarżyła rozporządzenie MEN do Trybunału Konstytucyjnego jako rzekomo niezgodne z konstytucją. Na to rozstrzygnięcie wciąż czekamy.

W klasach IV–VI wrócą zajęcia przyrody w wymiarze trzech godzin tygodniowo i co najmniej dwóch w bloku. Podział na biologię, chemię, fizykę i geografię nastąpi dopiero od klasy VII. Barbara Nowacka zdecydowała się również utrzymać **zakaz prac domowych w podstawówkach**, ku oburzeniu większości nauczycielek, liczących na powrót do starego systemu. Jednocześnie każda wykonana przez ucznia pisemna praca domowa musi być sprawdzona, a uczeń ma otrzymać o niej informację zwrotną.

W szkołach podstawowych od września będą działały tak naprawdę **dwa systemy nauczania**. Klasy pierwsze i czwarte będą działały według nowej reformy, Kompasu Jutra, zakładającej m.in. odchudzenie podstaw programowych, skrócenie listy lektur, przeznaczenie więcej czasu i miejsca na pracę projektową, eksperymenty edukacyjne, a także więcej zajęć i zadań praktycznych. Pozostałe roczniki (a także szkoły ponadpodstawowe) wciąż będą uczyły się po staremu. Według MEN taki system zapobiegnie chaosowi programowemu, a według krytyków jedynie go zagwarantuje.

Podwyżek wynagrodzeń dla nauczycieli w tym roku nie przewidziano, jedynie wyrównanie inflacyjne (3 proc. od 1 stycznia 2027 r.). Wielu cenionych i doświadczonych belfrów pewnie powie z tego powodu dość. Dla młodych nauczycieli to też nie będzie zachęta. AGSZCZ

eprasa.pl 0eac8d3e91

Wstrząs systemowy

Świat współczuje **Nepalowi** i **Tybetowi**. Rankiem 26 sierpnia oberwał się fragment jednego z topniejących nepalskich lodowców. Lawina lodu, wody, błota i skał przeszła nepalsko-tybetańskim pograniczem i popędziła w dół dolin rzek Bhote Kośi i Triśuli, zabierając po drodze całe miejscowości. Wstrząs sejsmiczny wywołany obrywem osiągnął magnitudę 5,2. Do końca miesiąca w Nepalu odnaleziono ciała blisko tysiąca ofiar i poszukiwano ponad 4 tys. osób. W Tybecie odszukano 16 ofiar śmiertelnych, pół tysiąca uznawano za zaginione. Wśród poszkodowanych znaleźli się mieszkańcy, budowniczowie elektrowni wodnych i turyści.

Skutki katastrofy będą odczuwalne przez lata. Lawina spustoszyła doliny, znikło kilkadziesiąt mostów, uszkodzone są główna droga do Chin i szlaki wykorzystywane przez himalaistów. Trudności jest więcej. Gospodarkę duszą następstwa wojny z Iranem, w tym spowolnienie, wysokie ceny paliw i zmniejszony ruch turystyczny. To pierwszy tak poważny kryzys, z którym musi się mierzyć nowy nepalski rząd. Na jego czele stoi od wiosny premier Balendra Śah. 36-letniego rapera i byłego burmistrza Katmandu wyniosły do władzy protesty obywateli z pokolenia Z, oburzonych porządkami dotychczasowej elity politycznej.

Akcja ratowniczo-poszukiwawcza została ograniczona szczupłością zasobów i intensywnością monsunowych deszczów. Z początku Śah nie zgadzał się na udział zagranicznych ekip, wzywał do słania wsparcia finansowego. Mógł o tym przesądzić styl premiera, oskarżanego przez krytyków o autorytarne zapędy. A także pamięć o fatalnej koordynacji z 2015 r., gdy po trzęsieniu ziemi do Katmandu przyjechało bardzo wielu ratowników. Chodzi też o granicę z Tybetem, izolowanym przez Pekin. Zresztą Chiny o sytuacji po swojej stronie informują bardzo oszczędnie, sącząc wiadomości z Tybetu ograniczone do propagandowych haseł. Czyszczą też swój internet z nagrań wykonanych przez świadków.

Powodzi błyskawicznej o takim przebiegu nie wychwycił system ostrzegania. Istniejące automatyczne wodowskazy zaprojektowano do alarmowania o gwałtownym wezbraniu, tymczasem były porywane przez lawinę, zanim zdążyły ją odnotować. Takie zjawiska występują powszechnie w górach z lodowcami. W 2021 r. w podobnej tragedii w Indiach zginęło 200 osób, energię obrywu porównano do 15-krotności bomby zrzuconej na Hiroszimę. Rozpadający się topniejący lodowiec daje symptomy i przy zaawansowanym technicznie systemie można je wykryć. Udało się m.in. w zeszłym roku w Szwajcarii, gdy nikt nie zginął w zmiecionej przez lawinę wsi Blatten. W Nepalu o zagrożeniu informowano się za to telefonicznie. Dzięki temu dyrektor jednej ze szkół średnich mógł nakazać ewakuację. Placówka przestała istnieć w ciągu 10 minut, uratowało się 900 uczniów. JW

Ameryka bez wyjścia

Po niemal czterech tygodniach spokoju w niedzielę znów doszło do wymiany ognia między USA i Iranem. Zaczęli Amerykanie – prewencyjnie. Przez ostatni miesiąc udało im się względnie oczyścić z min morskich południowy szlak przez Ormuz (najbardziej oddalony od irańskiego wybrzeża) i liczba przepływających statków zaczęła rosnąć. Według Waszyngtonu Irańczycy zamierzali właśnie wystrzelić nowe miny z dwóch miotaczy na wyspie Larak leżącej w cieśninie, ale unieszkodliwiły je amerykańskie drony. W odpowiedzi Irańczycy zaatakowali amerykańskie bazy w Jordanii i Zjednoczonych Emiratach Arabskich – w obu przypadkach bezskutecznie.

Przez ostatni miesiąc prezydent Donald Trump próbował wojny ekonomicznej. Jej ukoronowaniem miał być tzw. gospodarczy D-Day (od nazwy dnia lądowania Amerykanów w Normandii w 1944 r.). Chodziło o zmasowane sankcje wtórne, czyli wymuszenie na państwach i firmach, wciąż robiących interesy z Iranem, zerwanie tych kontaktów pod groźbą odcięcia od amerykańskiego systemu finansowego, co dla wielu z nich oznaczałoby wyrok śmierci. Problem w tym, że nie dla wszystkich. Groźbie przeciwstawiły się Chiny, które kupują 80 proc. eksportowanej wciąż przez Iran ropy naftowej. Chińska stanowczość cieszy Iran, ale sytuacja ekonomiczna staje się w tym kraju bardzo zła. Inflacja zbliża się do 130 proc., radykalnie spada siła nabywcza wynagrodzeń – o ile jeszcze w marcu średnia płaca stanowiła równowartość 105 dol., o tyle dziś to już zaledwie 85 dol. Jednocześnie reżim się radykalizuje. Wśród ostatnich nominacji warto zwrócić uwagę na Mohsena Rezaei, który został szefem irańskiego BBN; jeszcze w latach 90. chełpił się, ilu ludzi „zarżnął" w pierwszych latach po rewolucji 1979 r., a teraz zapowiada, że tak samo będzie „zarzynał" Amerykanów.

Konflikt, który rozpoczął się 28 lutego agresją Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran, ugrzązł między skałami Ormuzu. Na tę cieśninę, łączącą Zatokę Perską i Ocean Indyjski oraz stanowiącą wąskie gardło transportu ropy, nałożone są wciąż dwie blokady – amerykańska i irańska. To efekt pierwszej, gorącej fazy konfliktu, która zakończyła się w kwietniu zawieszeniem broni. Czerwcowy pokój przewidywał m.in. określenie nowego statusu Ormuzu, ale stanowiska wydają się sprzeczne. Amerykanie chcą powrotu do wolności żeglugi w cieśninie, Irańczycy – kontroli i opłat za przepływ. Prezydent Trump prawdopodobnie będzie próbował „zwyciężyć" w tym konflikcie przed listopadowymi wyborami do Kongresu. Irańczycy liczą, że presja zbliżających się wyborów wymusi amerykańskie ustępstwa. ŁW

© RAJESH KUMAR SINGH/AP/EAST NEWS, DP, HEIKO JUNGE/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 0eac8d3e91

Dziury w niebie

Prawie 40 zabitych w rosyjskim uderzeniu na podkijowską wieś **Myła** to bilans tragiczny w wielu wymiarach. Słabnąca obrona ukraińskiej stolicy nie strąciła nadlatującego drona, mimo że z podobnymi wcześniej dobrze sobie radziła. Wieczorny nalot z piątku na sobotę nie był nadzwyczajny, jeśli chodzi o liczbę wykorzystanych rakiet i dronów, ale Rosja używa coraz doskonalszej broni – pocisków balistycznych i napędzanych odrzutowo Szahedów. Prawdopodobnie taki dron uderzył w niepozorny magazyn na zachód od Kijowa, a potem rozpętało się piekło. Ani miejscowa ludność, ani – jak się również okazało – cywilne władze nie wiedziały, że w magazynie były przechowywane materiały wybuchowe, paliwo rakietowe, a także głowice bojowe i amunicja. Wszystko naraz zaczęło eksplodować, pożar przeniósł się na 50 pobliskich budynków, w tym dom opieki. Większość zabitych to jego pensjonariusze.

Wołodymyr Zełenski nie krył wściekłości, gdy z marsową miną i zaciśniętymi zębami opisywał skutki ataku. Wstępnie obciążył odpowiedzialnością siły zbrojne, ale szczegóły ma wyjaśnić śledztwo.

Wiadomo, że magazyny i wytwórnie broni w Ukrainie ukrywa się wśród cywilnej infrastruktury. Nawet w Kijowie bywają trafiane przez rosyjskie rakiety. Ale skala tragedii w Myłej przekroczyła akceptowalne koszty wojny, rosnące z tygodnia na tydzień przez kryzys z Patriotami. Z okazji święta niepodległości Ukraina miała dostać „pewną ilość" rakiet od zachodnich sojuszników, ale oni sami zmagają się z brakami, których nie ma jak wypełnić. Niedobór najważniejszych systemów antyrakietowych jest krytyczny – przekazali mediom wojskowi NATO, którzy w ubiegłym tygodniu spotykali się w Brukseli z wysłannikiem Pentagonu. Elbridge Colby wie o tym, bo wydrenowanie zapasów przez wojnę z Iranem blokuje wojskowe działania USA, nie tylko na Bliskim Wschodzie.

Nie było zaskoczeń, Europa znowu usłyszała, że Ukrainie pomagać ma sama, choć niedawno Donald Trump rozważał „licencję na Patrioty" dla Kijowa. Ich brak Rosja wykorzystuje bezwzględnie. Kreml właśnie zapowiedział kampanię wzmożonych ataków na ukraińską energetykę, które mają być odpowiedzią na coraz skuteczniejsze uderzenia Ukrainy w jej zaplecze handlowe i paliwowe. Zachodni świat trzyma kciuki za sukcesy Ukrainy, ale obawia się desperacji Putina. Specjalny wysłannik USA, szef CIA John Ratcliffe, miał zawieźć do Moskwy ostrzeżenie, by Kreml nawet nie myślał o atakowaniu NATO. Gdy o tym, że do wojny z Rosją nie dojdzie, zapewnia Trump, wszelkie obawy są uzasadnione. MŚ

Haakon po Haraldzie

9 września Norwegia pochowa króla Haralda V, który zmarł w wieku 89 lat. Tron przejął jego 53-letni syn. Jak w większości europejskich monarchii udział koronowanej głowy państwa w polityce ograniczony jest do funkcji reprezentacyjnych, ceremonialnych i symbolicznych. Świetnie z tej roli wywiązywał się popularny i prostolinijny Harald, ożeniony z dziewczyną spoza arystokracji. Stawkę podbił syn. Jego wybranką została samotna matka z rozrywkową przeszłością. M.in. przez to norwescy Glücksburgowie długo uchodzili za najbardziej zwyczajną z europejskich rodzin królewskich, stojącej na czele inkluzywnego społeczeństwa. Teraz przechodzą poważny kryzys wiarygodności. Królewski pasierb Marius Borg Høiby (pozostaje poza linią dziedziczenia) przebywa w areszcie domowym z elektroniczną bransoletą. W czerwcu został skazany na cztery lata pozbawienia wolności i uznany za winnego 34 z 40 zarzutów, w tym gwałtów i przemocy domowej.

W tym roku ujawniono także, że żona Haakona, królowa Mette-Marit, kontaktowała się z Jeffreyem Epsteinem, nowojorskim finansistą i przestępcą seksualnym. Obciążające jest to, że Mette-Marit utrzymywała związki z Epsteinem już po jego skazaniu. Osobnym rozdziałem jest królewski szwagier, mąż księżniczki Marty Ludwiki (też nie ma praw do tronu). Durek Verrett pochodzi z Sacramento i z zawodu jest terapeutą alternatywnym. Określa się też jako szaman, a specjalizuje się w głoszeniu teorii spiskowych i w wybitnie nienaukowych zmyśleniach o metodach leczenia, także chorób nowotworowych. Para wzbudza kontrowersje tym większe, że korzysta ze statusu Marty Ludwiki, m.in. sprzedała prawa medialne do relacji ze swoich zaślubin.

80 proc. Norwegów powitało **Haakona VIII** w nowej roli z wiarą, że będzie dobrym monarchą. Odebrał wykształcenie typowe dla europejskich następców tronu. Studiował nauki polityczne w progresywnym uniwersytecie w kalifornijskim Berkeley i ekonomię rozwoju w London School of Economics, kuźni globalnego liberalizmu, gdzie napisał pracę magisterską poświęconą handlowi międzynarodowemu i Afryce. Odbył służbę w marynarce wojennej, w wojsku skakał ze spadochronem. Za młodu był bywalcem festiwali muzycznych, prasa pisała o „rockowym księciu". Deklarował, że gdyby nie pochodzenie, zostałby profesjonalnym surferem. Panowanie rozpoczyna z kredytem zaufania wypracowanym przede wszystkim przez tatę, bo to coraz bardziej gasnący Harald podtrzymywał przez lata poparcie i sympatię poddanych. JW

eprasa.pl 0eac8d3e91

Start do Mety

Ludzie tracący oszczędności życia, lekarze, naukowcy, celebryci, którym ukradziono wizerunek. Dzieci uzależnione od algorytmów. Coraz dłuższa jest lista grzechów, których pośrednimi sprawcami są big techy i ich platformy. U nas Rafał Brzoska wypowiedział im właśnie wojnę, ale ta już trwa, uczestniczy w niej cały świat.

MARTYNA BUNDA

Tuż przed długim rodzinnym urlopem w Singapurze biznesmen Rafał Brzoska znów zobaczył na Facebooku swoją twarz i nazwisko. Tym razem był zakuty w kajdanki, a tytuł wieszczył jego „tragiczny koniec". Zdjęcie miało przyciągnąć uwagę i przekierować klikających w link użytkowników Facebooka prosto w ręce złodziei.

Minęły cztery miesiące od przełomowego postanowienia Sądu Administracyjnego, w którym zakazano Mecie (konglomerat technologiczny wyrosły z Facebooka Marka Zuckerberga, w jego skład wchodzą także m.in. Instagram i WhatsApp) publikowania podobnych postów z udziałem Omeny Mensah, żony Brzoski, i wskazano wprost, że koncern może być współodpowiedzialny za ciągnące się od lat przypadki używania zdjęć i nazwisk pary w przestępczych celach. Tym razem biznesmen w odwecie opublikował na swoim profilu na Facebooku linki do biznesowych profili kierownictwa Mety – osób pośrednio odpowiedzialnych za trwający od lat stan rzeczy. Jak napisał, „ku pamięci tych, którzy mogliby kiedyś chcieć tych ludzi zatrudnić". Przy okazji dodał, że lobbyści big techów mogą mieć wpływy w Radzie

Małgorzata Rozenek-Majdan
Robert Lewandowski

ds. Cyfryzacji przy Ministerstwie Cyfryzacji i w Radzie Nowych Mediów przy Kancelarii Prezydenta – więc mogą kształtować opinie tych instytucji na temat scammingu (oszustwo polegające na wzbudzeniu u kogoś zaufania, a następnie wykorzystaniu tego zaufania do wyłudzenia pieniędzy lub danych).

Nazajutrz biznesmen odkrył, że jego konto na Instagramie zostało zablokowane. Meta przywróciła je co prawda do życia, nie tłumacząc przyczyn nagłego wyłączenia, ale wtedy Rafał Brzoska, już z rodzinnego wyjazdu do Azji, rozpoczął w sieci akcję zbierania podpisów pod obywatelską petycją, która miałaby wreszcie zmusić koncern do usuwania podobnych publikacji. „150 proc." – za każdą złotówkę zarobioną na publikowaniu postów, które popychają obywateli w ręce przestępców, koncerny miałyby płacić 1,50 zł na Fundusz Kompensacyjny, czyli dla ofiar przestępstw dokonanych za pomocą ich platform. W ciągu pierwszych pięciu dni na stronie pojawiło się ponad 100 tys. podpisów, a w sieci rozpętała się dyskusja, jakiej nie było od lat. A niebawem ogłosił kolejną inicjatywę: uruchomienie ScamWatch, specjalnie utworzonej platformy do wykrywania scamu w sieci.

Grosz do grosza

W akcję Brzoski na nieszczęście Mety włączają się kolejni celebryci. – *Może wreszcie po latach coś się zmieni. I nie chodzi nawet o szarganie nazwiska mojego i innych znanych osób, ale o tysiące ludzi, którzy każdego dnia tracą pieniądze, a nieraz dorobek życia* – mówi Małgorzata Rozenek-Majdan. – *Tracą go, bo ufają nam, a trafiają prosto w ręce wysoko wyspecjalizowanych złodziei.*

Omenaa Mensah i Rafał Brzoska

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, ANGELA WEISS/AFP/EAST NEWS, JACEK KURNIKOWSKI/AKPA

O jakich sumach mówimy, najwięcej wiadomo ze śledztwa przeprowadzonego przez agencję Reuters i opublikowanego w listopadzie 2025 r. Dziennikarze Reutersa dotarli do licznych dokumentów wewnętrznych Mety pochodzących z różnych działów koncernu: finansów, bezpieczeństwa, inżynierii i lobbingu. Według tych materiałów z reklam powiązanych z oszustwami oraz reklam zakazanych towarów i usług miałoby pochodzić ok. 10 proc. przychodów firmy, czyli ok. 16 mld dol. rocznie.

Szczególnie niepokojąca jest podkategoria, którą sama Meta określała jako *higher risk scam ads*. Codziennie Facebook i Instagram wyświetlały użytkownikom 15 mld takich reklam, a koncern zarabiał na nich co roku ok. 7 mld dol. Dziennikarze Reutersa podkreślali, że problem nie polega na tym, że system czegoś nie zauważa, albo – jak oficjalnie twierdziła Meta – że nie da się stworzyć narzędzi pozwalających wyłapać i wyeliminować wszystkie takie reklamy. Z dokumentów Mety wynikało raczej, że zarabianie na oszustwach kosztem oszukanych mogło być – choćby wstydliwym i przemilczanym – jednak elementem biznesplanu.

Sam system oceniający rzetelność reklam Mety jest dość pokrętny. Opiera się na liczbie zgłoszeń od użytkowników Facebooka, że dana treść jest oszustwem. Z sieci automatycznie usuwane są te posty, co do których system Mety wskazywał 95-procentowe prawdopodobieństwo oszustwa, ale jeśli system oceniał to prawdopodobieństwo na bardzo duże, ale nie 95 proc., Meta nie usuwała reklamy, za to pobierała od nadawcy zwiększone opłaty. Meta tłumaczyła, że wyższa cena reklamy miałaby sprawić, że oszustwo stanie się mniej opłacalne, ale wewnętrzne dokumenty zwracały uwagę raczej na drugą stronę tego mechanizmu: Meta sprzedawała mniej reklam podejrzanym scammerom, lecz zarabiała na nich znacznie więcej...

Inna rzecz to działanie systemu szacującego ryzyko. Według dokumentów z 2023 r. opublikowanych przez Reutersa użytkownicy Facebooka i Instagrama wysyłali ponad 100 tys. zgłoszeń oszustw tygodniowo, a Meta błędnie odrzucała aż 96 proc. z nich. Systemy działały inaczej, gdy chodziło o posty prostych użytkowników, a inaczej, kiedy szło o firmy płacące grube tysiące za reklamy. Konta płacące za reklamy bardzo dużo nie były blokowane nawet wówczas, gdy liczba karnie zdjętych reklam przekraczała 500. Te konta, które wydawały dużo, mogły więc publikować latami, podczas gdy zwykłe konta były blokowane już przy ósmym przypadku oszukańczej reklamy.

Według dokumentów wewnętrznych Mety tylko w 2024 r., w ciągu sześciu miesięcy, koncern zarobił 3,5 mld dol. na postach, w których w celach przestępczych podszywano się pod znane nazwisko lub oszukiwano w inny sposób. Wewnętrzne dokumenty koncernu zakładały co prawda stopniowe odchodzenie od publikowania takich reklam, ale sam koncern założył już na wstępie, że spadek przychodów nie będzie większy niż 0,15 proc. rocznie. Po publikacji Reutersa Meta przekonywała, że dokumenty zostały przedstawione wybiórczo, ale nie wytłumaczyła się przekonująco ani z zarabianych na przestępstwach pieniędzy, ani z działania algorytmów, ani z własnej polityki względem scamów.

Drabina do piekła

Polski rynek udało się wstępnie oszacować w innych badaniach: Juniper Research. W lutym 2026 r. na zlecenie Revoluta powstał model scamowania w Europie – na Facebooku, Instagramie, TikToku, Snapchacie, X i Linkedln. Na Polskę przypadło 37 mld wyświetleń scamów i ok. 127 mln euro przychodów z tych ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ reklam – ok. 725 mln zł rocznie, 2 mln zł dziennie. Przestępcom opłaca się płacić miliony za oszukańcze reklamy, bo jedna dobrze złowiona w ten sposób osoba traci średnio kilkadziesiąt tysięcy euro w Europie i kilkadziesiąt tysięcy złotych w Polsce.

Podstawowy model przestępczej działalności to skłonienie kogoś do zakupu „udziału w inwestycji" i okradzenie człowieka na 800–1000 zł. Ale pozostawiony oszustom numer telefonu jest sprzedawany dalej, średnio za kilka tysięcy złotych. Kolejny element przestępczej siatki to odpowiednio przeszkoleni pracownicy call center, wyciągający ze swojej „inwestycji" kilkadziesiąt tysięcy złotych, a najlepiej całe oszczędności i dodatkowy kredyt. I tak to właśnie wygląda w praktyce. W Świdniku oszukana „na wizerunek prezydenta" 63-letnia kobieta straciła 250 tys. zł, 77-latek z Opola, skuszony fejkiem z wizerunkiem znanego prezentera i prowadzony przez wyspecjalizowanego w kradzieżach „konsultanta", utopił 475 tys. zł. Warszawiak pod wpływem „rozmowy dwóch celebrytów o inwestycjach w złoto" pożyczył w banku – i stracił – 260 tys. zł. Radziejów, Głubczyce, Tczew, Gorzów Wielkopolski, Zamość, Rzeszów, Sulechów, Kowary, Gdańsk – niemal w każdym polskim większym mieście toczy się postępowanie w sprawie okradzenia obywatela, nieraz na setki tysięcy złotych.

Trwają co najmniej cztery duże śledztwa, m.in. w Łodzi, Krakowie i Sosnowcu, dotyczące w sumie 3,2 tys. ofiar i ponad 120 mln zł strat. Pomniejszych jest znacznie więcej, a łączne sumy mogą sięgać miliardów. Z tego powodu w marcu 2026 r. prokurator generalny wydał specjalne ogólnopolskie wytyczne dotyczące prowadzenia postępowań w sprawie fałszywych platform inwestycyjnych, określając je jako „dynamicznie rosnącą kategorię spraw" i podkreślając ich transgraniczny charakter.

Postępowania ujawniają skalę, ale niewiele zmieniają, jeśli chodzi o stan rzeczy. Sprawa, która wyrosła z doniesienia Roberta Lewandowskiego i jego skargi na sfałszowany wywiad, w którym zachęcał do inwestycji w bitcoina, częściowo już się zakończyła. Kiedy w październiku 2024 r. do sądu trafiał akt oskarżenia, poszkodowanych było 600 osób, a straty sięgały ponad 40 mln zł, ostatecznie na ławie oskarżonych posadzono jednak tylko obywatela Gruzji i obywatelkę Ukrainy, którzy nadzorowali złodziejskie call center, ale nie osoby, które naprawdę zarobiły na przestępstwach.

Platformy internetowe zarabiają na oszustwach niczym paser, ale konstrukcja sieci sprzyja też ukrywaniu tożsamości przestępców.

Model dojrzały

Proceder trwa od tak dawna, że model biznesowy okrzepł. Zarabiają przestępcy, zarabiają platformy społecznościowe, a obywatele wciąż się na to łapią, bo model podlega udoskonaleniom. Zaczęło się już w 2019 r. od oszustwa „na Roberta Lewandowskiego". Rok później wystartowała pierwsza naprawdę duża kampania, w której grupą docelową oszustów był starszy wiekiem elektorat prawicy. Potencjalnym ofiarom wyświetlano logo państwowego koncernu Orlen jako rzekomego gwaranta wypłat, a obok migały twarze Andrzeja Dudy, Mateusza Morawieckiego, Daniela Obajtka czy Magdaleny Ogórek, którzy „potwierdzali gwarancje Orlenu". W materiałach padały stwierdzenia, że tym, którzy się zapiszą i wykupią akcje, Orlen będzie przelewał po kilka tysięcy złotych miesięcznie. Obiecywano, że rząd chce ulżyć Polakom, którym należy się dostęp do narodowego majątku...

Model okazał się zaskakująco skuteczny. Niebawem podobne fejki były już zjawiskiem masowym. W 2020 r. „Robert Lewandowski" znów namawiał do inwestycji w kryptowaluty, a niebawem „Julia Wieniawa" zwierzała się redakcji „Dzień Dobry TVN", jak zarabia miliony, „Małgorzata Rozenek" zachwalała rzekome obligacje; ukazał się też rozbudowany *deepfake* z „Wojciechem Cejrowskim", który „uruchamiał finansową rewolucję" we współpracy z fałszywą wersją portalu „money.pl". Wykorzystywano twarze Kuby Wojewódzkiego i Martyny Wojciechowskiej, byli „Donald Tusk", „Adam Glapiński", „Andrzej Duda", „Mateusz Morawiecki", „Lech Wałęsa" i jeszcze „Monika Olejnik". I grubo ponad setka innych znanych nazwisk.

Z czasem coraz częściej ofiarą padali też eksperci w swoich branżach. Dr Hanna Stolińska wykorzystana do sprzedaży rzekomych środków odchudzających. Okradziona z wizerunku została pisarka Sylwia Chutnik. Szczególna grupa to lekarze. Lista wybitnych onkologów, kardiochirurgów, okulistów, których dorobek wykorzystano do okradania Polaków, jest długa. – *To, że oglądaliśmy siebie w coraz bardziej absurdalnych odsłonach, to raz. Ale za szczególnie podłe uważam to, jak łatwo okradano ludzi, żerując na tym, że mieli do nas zaufanie* – opowiada Małgorzata Rozenek-Majdan, której wizerunek wykorzystywano rekordowo często. – *Płakałam, czytając kolejne wiadomości od kogoś, kto stracił dorobek życia, bo uwierzył, że to ja go do czegoś namówiłam.*

Był czas, gdy Małgorzata Rozenek-Majdan nawet kilka razy w tygodniu publikowała na Facebooku ostrzeżenia przed oszustami, a tymczasem w Messengerze wciąż pojawiały się nowe wiadomości od okradzionych osób. Ktoś kupił magiczne suplementy i dziwił się, że nie działają, ktoś przelał oszczędności. – *Skala tych kradzieży jest ogromna* – dodaje Rozenek-Majdan. – *Zdecydowanie nie jest to problem, który kilka znanych osób mogłoby rozwiązać z poziomu edukacyjnych postów, choćby i codziennie wrzucanych na swoje profile.*

Tym bardziej że i same profile znanych osób bywały kradzione. Fejkowe posty na fałszywym koncie Małgorzaty Rozenek-Majdan na Facebooku, powiązane z fałszywymi reklamami, zyskiwały nawet po 250 tys. odsłon. A tymczasem przestępcy płynnie przeszli w nowy format: już nie sfałszowane wywiady, ale przyciągające klikbajty nagłówki, za którymi czekały linki do przestępczych stron. Ktoś walczył o życie w szpitalu, ktoś zmarł, ktoś coś ukradł, pobił kogoś, został pobity. Aresztowania, przestępstwa, alkohol, narkotyki – wrzucano wszystko, co mogło skłonić użytkowników sieci do kliknięcia w link, który prowadził prosto do oszustwa. Jednocześnie, wraz z przyspieszeniem w rozwoju AI, niebezpiecznie rosła jakość tych fałszywek – coraz częściej są nie do odróżnienia od prawdziwych filmów. Rafał Brzoska opowiada, że potem dzwoniły dzieci i pytały, co się właściwie dzieje.

Głuchy telefon

Okradzeni z wizerunku celebryci i eksperci zwykle na początku próbowali skłonić prokuraturę do zajęcia się sprawą, ale to nie była metoda skuteczna. – *Złożenie zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa to zawsze kilka godzin spędzonych na komisariacie. Tymczasem te sprawy nie były przez policję traktowane priorytetowo* – mówi Małgorzata Rozenek-Majdan.

Dr Hanna Stolińska odwiedziła kilka komend i wszędzie słyszała, że nie ma komu przyjąć jej zgłoszenia – a poza tym szukaj wiatru w polu, oni i tak nic nie poradzą. Skutecznej pomocy nie

eprasa.pl 0eac8d3e91

doczekał się żaden ze znanych lekarzy, wrabianych w firmowanie nazwiskami przestępstw. Duże śledztwo, prowadzone w Rzeszowie, które rozpoczęło się od zawiadomienia złożonego przez Roberta Lewandowskiego, to raczej wyjątek niż reguła.

To, że platformy internetowe, głównie Meta, zarabiają na oszustwach, odgrywając coś w rodzaju roli pasera, to jedno, ale kolejnym kłopotem jest to, że konstrukcja sieci sprzyja ukrywaniu tożsamości przestępców. O samych złodziejach najwięcej wiadomo z dziennikarskich śledztw. Scam Empire, prowadzone przez międzynarodową, nonprofitową organizację dziennikarstwa śledczego OCCRP i szwedzką telewizję SVT, pozwoliło zidentyfikować firmę z Tbilisi zarządzającą trzema biurami i zatrudniającą ponad 80 pracowników. Okradła niemal 7 tys. osób na 35 mln dol. Dziennikarzom udało się wyśledzić szefów tej struktury, ale bez pewności, kto stał na samej górze. Za to gruntownie prześledzono łańcuchy pomniejszych firm, które świadczyły dla oszustów „zwyczajną usługę marketingową".

W Polsce udawało się dotąd rozbijać głównie poziom call center, ale temat wciąż jest rozwojowy. Europejskie organy ścigania w ostatnich latach coraz częściej rozpracowują nie call center, ale tych, którzy faktycznie zarabiają. Wielką „fabrykę reklam" odnaleziono niedawno w San Diego – firma masowo wynajmowała cudze konta na Facebooku, żeby omijać mechanizmy kontroli platformy. Kolejną namierzono w Bułgarii. W skoordynowanej operacji Belgii, Bułgarii, Niemiec i Izraela organy ścigania wykryły wręcz pełną strukturę korporacyjną – z osobnymi działami infrastruktury, sprzedaży, reklamy, przepływów finansowych i prania pieniędzy...

Meta współpracuje z prokuratorami i przekazuje informacje pozwalające identyfikować sieci scammerów (w jednej z operacji jej śledczy pomogli doprowadzić do 21 zatrzymań, wyłączając jednocześnie ponad 150 tys. powiązanych kont). Problem w tym, że sama Meta nie identyfikuje znacznej części swoich płatników; narzędzia płatnicze są tak skonstruowane, że Meta zna tożsamość tylko trzech na czterech klientów płatników.

Skoro Mety nie skłoniła do reakcji skala oszustw, może lepiej zadziała gigantyczny kryzys wizerunkowy, jaki ją dotknął.

Wyważanie drzwi

Celebrytom okradanym z wizerunku pozostawała walka z wiatrakami. – *Miejmy nadzieję, że to się w końcu zmieni. Bo tempo, w jakim przybywa podpisów pod petycją „150 proc.", pozwala wierzyć, że wreszcie, po latach, coś się w tej sprawie przełamie* – komentuje Małgorzata Rozenek-Majdan. A przecież temat od lat jest też znany polskim instytucjom. W 2022 r. został dostrzeżony przez zespół CERT, podlegający polskiemu Ministerstwu Cyfryzacji. Także KNF mówiła o przemysłowym charakterze przestępczego procederu. W 2024 r., w raporcie działającego przy Komisji Nadzoru Finansowego zespołu do spraw cyberbezpieczeństwa, portale społecznościowe, w tym Facebook, uznano za główny kanał dystrybucyjny dla współczesnej działalności przestępczej – ale na odezwach i diagnozach poprzestano.

Urząd Ochrony Konsumentów i Konkurencji zaczął postępowanie w sprawie Facebooka w maju 2024 r. Powstał raport, jednoznacznie źle oceniający politykę Mety. Opisywano brak staranności przy rozpatrywaniu skarg użytkowników i bagatelizowanie problemu; brak prób stworzenia narzędzi zapobiegających oszustwom, na których tak ochoczo i łatwo zarabiano. Ale jednocześnie UOKiK podkreślał w raporcie, że sam ma w tej sprawie związane ręce, bo – w tym akurat zakresie – prawo do nakładania sankcji na Metę należy wyłącznie do Komisji Europejskiej. Wobec czego tam właśnie przekazano polskie ustalenia.

Sprawa w Komisji trwa. Na przełomie 2025 i 2026 r. unijne organizacje konsumenckie dołączyły do skargi sprawozdanie ze wspólnie przeprowadzonego eksperymentu, którego wyniki okazały się druzgocące: organizacje zgłosiły platformom niemal tysiąc oszukańczych reklam w ciągu kilku tygodni w 13 krajach, z czego Meta odrzuciła około połowy jako niezasadne. W raporcie podkreśla się, że wyniki pokazują kompletny brak skutecznego działania. Ale choć zarzut publikowania wprowadzających w błąd reklam jako problemu systemowego został Mecie postawiony w 2024 r., wciąż jeszcze nic konkretnego nie wiadomo. Komisja wstępnie stwierdziła naruszenia, a Meta dostała możliwość odpowiedzi, przedstawienia argumentów i wprowadzenia zmian. Już po akcji Rafała Brzoski do oskarżeń dołączył się polski minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, dodatkowo wnioskując do Komisji o ukaranie Mety. Ale zanim Komisja mogłaby nałożyć na Metę taką karę (sięgającą maksymalnie 6 proc. globalnego rocznego obrotu), minie jeszcze sporo czasu.

Pytanie, co może się stać już dziś. 100 tys. podpisów zebranych w ramach akcji Rafała Brzoski mogłoby być symboliczne, bo właśnie tylu nazwisk trzeba, żeby Sejm obligatoryjnie zajął się takim projektem. Tu jednak pojawia się problem – żeby skutecznie złożyć obywatelski projekt ustawy, podpisy muszą zostać złożone na papierze, a oryginały tych arkuszy – trafić do biura sejmowego. Przepisy o obywatelskich ustawach uchwalano w innych czasach, gdy nie było jeszcze nawet powszechnie dostępnego internetu. Platforma wyszukująca scam pokaże Mecie, jak łatwo jest stworzyć skuteczne narzędzia tam, gdzie zdaniem koncernu jest to niemożliwe.

Tymczasem najwięcej mogłaby więc zrobić sama Meta – gdyby chciała. Skoro nie skłoniła jej do tego skala oszustw, może lepiej zadziała gigantyczny kryzys wizerunkowy, jaki właśnie dotknął korporację. Tym bardziej że na jeden kryzys nakładają się kolejne – w Stanach Zjednoczonych ruszył w sierpniu historyczny proces przeciwko Meta o przedkładanie przez firmę zysków ponad bezpieczeństwo i uzależnianie młodzieży. Już po tygodniu proces przerwała ugoda, w ramach której koncern ma zapłacić nawet do 17,1 mld dol. i wprowadzić szereg zabezpieczeń ograniczających korzystanie ze swoich platoform nieletnim. Ugoda zamyka roszczenia występujących wspólnie przeciwko Mecie 29 amerykańskich stanów, ale nie zamyka kolejnych pozwów prywatnych i składanych przez szkoły.

Przełom wiąże się tu z wymuszeniem na koncernie całkowitej przebudowy struktury i algorytmów. Rzecz przypomina to, co w latach 90. dotknęło koncerny tytoniowe, ukrywające przed konsumentami szkodliwość swoich produktów, bo zarzuty wobec Mety mówią o świadomym ukrywaniu szkodliwego wpływu ich treści na psychikę. Sądząc po „wzmożeniu obywatelskim" uzyskana ugoda nie będzie ostatnim epizodem tej historii. Okradzeni z wizerunku celebryci, ofiary finansowych oszustw, wreszcie zwykli ludzie, zmęczeni tym, co muszą oglądać w sieci, też już się rozpędzili. Walka trwa.

MARTYNA BUNDA

eprasa.pl 0eac8d3e91

Lider krakowskiego wyścigu wyborczego Łukasz Gibała. Zgłosiło się 24 kandydatów.

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Miejskie paradoksy

Wielka polityczna gra toczy się również na boiskach lokalnych. W Krakowie kandydaci partyjni walczą o drobne przewagi, raczej bez szans na pokonanie bezpartyjnego faworyta. Ale już w Warszawie stawka rośnie: czy Rafał Trzaskowski powinien się obawiać referendum?

RAFAŁ KALUKIN

Koniec wakacji zawsze przynosi polityczne ożywienie i w obu miastach zacznie wkrótce przybywać emocji. Kampania prezydencka w Krakowie wchodzi w decydującą fazę. Kończy się czas na ostateczną rejestrację kandydatów i wkrótce ruszą debaty. Wybory odbędą się 27 września. A już nazajutrz minie z kolei termin złożenia podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odwołania Rafała Trzaskowskiego. Warto więc przyjrzeć się bliżej sytuacji w obu miastach, gdyż lokalne rozstrzygnięcia najpewniej nie będą obojętne dla ogólnej dynamiki politycznej rok przed wyborami do parlamentu.

Kampania w Krakowie nie przyciągała do tej pory większej uwagi. Nawet zbieranie podpisów przebiegało trudniej niż zazwyczaj. Jako pierwszy zarejestrował swoją kandydaturę Michał Drewnicki z PiS, a niedługo po nim dostarczył swoje podpisy również lider wyścigu Łukasz Gibała. Ale na to jest czas do czwartku.

eprasa.pl 0eac8d3e91

Rozdęta stawka 24 zgłoszonych kandydatów powinna się zatem skurczyć.

Chociaż się starali, nie zdołali rozruszać leniwej wakacyjnej atmosfery. Z niedawnego sondażu ośrodka Opinie24 dla Polityki Insight bowiem wynika, że aż jedna czwarta Krakowian wciąż nie wie, na kogo głosować. Przy takim marginesie niepewności trudno więc o daleko idące prognozy. Tym bardziej że te wybory są stosunkowo mało upartyjnione. Mniej więcej jedna piąta Krakowian rozważa oddanie głosu wbrew swoim ogólnokrajowym preferencjom.

A wszystko za sprawą Łukasza Gibały, czyli jak na razie głównego beneficjenta majowego referendum, w wyniku którego odwołany został prezydent Aleksander Miszalski z KO. Co prawda nie on był formalnym organizatorem tamtej akcji, ale nikt w mieście nie ma wątpliwości, że to właśnie Gibała pociągał za sznurki i zorganizował zaplecze.

To już czwarte podejście upartego przedsiębiorcy, który wyrobił sobie nazwisko na kontestacji Jacka Majchrowskiego, wcześniej rządzącego Krakowem przez pięć kadencji. Półtora roku temu Gibała był już bardzo blisko celu, ale w drugiej turze minimalnie przegrał z Miszalskim, którego niosła jeszcze fala rozbudzona 15 października 2023 r. Tyle że prezydent z KO okazał się wyjątkowo niezdarny i kiedy lokalne problemy nałożyły się na ogólną zmianę politycznego nastroju po porażce Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich, niegroźnie wyglądająca z początku akcja referendalna okazała się tornadem.

W sondażu dla Polityki Insight Gibała dostał 25 proc., co zapewnia mu sporą przewagę nad konkurencją, chociaż bez widoków na wygraną w pierwszej turze. W partyjnych sztabach nie ma jednak wielkiej wiary w pokonanie faworyta. Jego elektorat jest najlepiej zmobilizowany; to naturalny kandydat wyborców, którzy poszli głosować przeciwko Miszalskiemu. Należy więc zakładać, że zaangażują się w wybór następcy.

W przeszłości Gibała był związany z Platformą i Ruchem Palikota, ale jako późniejszy krytyk lokalnego układu ze skłonnością do demagogii ewoluował na pozycje „antysystemowe". To dzisiaj problem głównie dla partii prawicowych, których zwolennicy chętnie orientują się na bezpartyjnego Gibałę. Nielojalnych jest w elektoracie PiS jedna trzecia, a w Konfederacji – aż połowa.

I to właśnie konfederata Bartosz Bocheńczak najbardziej na tym dzisiaj traci, chociaż oplakatował niemal całe miasto i otwarcie wspiera go Sławomir Mentzen. Niewiele to przyniosło, gdyż Bocheńczaka popiera raptem 3 proc. wyborców. Na mijankę z kandydatem PiS raczej się zatem nie zanosi, a zapewne taki był główny cel.

Inna sprawa, że Łukasz Drewnicki z PiS również nie ma powodów do satysfakcji. Z niespełna 8-procentowym poparciem znajduje się poza podium, mobilizując wyraźną mniejszość elektoratu swojej partii. Nie pomogło więc jak dotąd wystawienie radnego z Nowej Huty, która pozostaje tradycyjnym bastionem PiS. Podobnie jak wsparcie Beaty Szydło, z którą Drewnicki jest kojarzony. Szczytem byłoby pewnie wciśnięcie się do drugiej tury, ale to dosyć mało prawdopodobne.

W tle toczy się również aksamitna rywalizacja ze środowiskiem Mateusza Morawieckiego. Rozwój Plus co prawda zrezygnował z wystawienia własnego kandydata i poparł Drewnickiego, ale jest to pocałunek judaszowy. Bo jeżeli nominat PiS zawiedzie, „rozwojowcy" natychmiast wykorzystają okazję do wzmocnienia przekazu o zmierzchu PiS i konieczności szukania nowej formuły.

Ale Monika Piątkowska z KO znajduje się nawet pod większą presją. Jej odpadnięcie po pierwszej turze w ogólnie liberalnym mieście byłoby dla obozu Donalda Tuska fatalnym scenariuszem. Kolejnym dowodem na to, że zaczyna się sypać i jego zwolennicy się odwracają. A Piątkowska nie ma łatwego zadania, gdyż musi dźwigać brzemię kompromitacji Miszalskiego.

Zaciera więc tropy i startuje pod szyldem własnego komitetu, chociaż z poparciem KO oraz PSL. W kampanii podkreśla swoją lokalność oraz doświadczenie wieloletniej urzędniczki z krakowskiego ratusza. Z kalkulacją, że bazowy elektorat pojmie ową grę pozorów, bo przecież Piątkowska jest senatorką KO, a wyznaczył ją osobiście premier Tusk. Co wyszło zresztą mało zręcznie, gdyż akt nadania został przez niego wręczony, nie wiedzieć czemu, w Warszawie.

Chociaż wiąże się z tym dużo większy problem. Lokalna partyjna elita nie uznaje bowiem Piątkowskiej i – jak słyszymy – krakowskie struktury KO odmówiły wsparcia w kampanii, żeby jakimś cudem nie odniosła sukcesu. Plan jest bowiem taki, żeby dać wygrać Gibale, a następnie – wykorzystując większość w radzie miejskiej – konsekwentnie go blokować, jak nie przymierzając Nawrocki Tuska. Wtedy w kolejnych już terminowych wyborach można będzie wykreować kandydata z wewnętrznego kręgu.

Tak więc udawana niepartyjność Piątkowskiej w jakimś sensie się urealniła i kandydatka musiała sobie poszukać zewnętrznego zaplecza, korzystając głównie ze wsparcia dawnej ekipy Majchrowskiego. W sondażu dla Polityki Insight Piątkowska zajmuje na razie drugie miejsce z poparciem 15 proc. To przede wszystkim wyborcy, którzy na wezwanie Miszalskiego świadomie zbojkotowali niedawne referendum.

Wejście do drugiej tury to konieczny plan minimum. A czy Gibałę da się pokonać? Trudna sprawa, bo w drugiej turze faworyt wciąż ściągał głosy wyborców zarówno prawicy, jak i „antysystemowej" od jakiegoś czasu Partii Razem. Niemniej sympatycy Piątkowskiej liczą, że nadrobi dystans w bezpośrednich debatach dzięki swoim kompetencjom i samorządowemu doświadczeniu. Jak również świeżości, gdyż Gibała po wielu nieudanych podejściach jest już trochę zużyty.

Tyle że musi uważać na kandydatkę Nowej Lewicy Darię Gosek-Popiołek, która też ma apetyt na drugą turę. Jej partia sporo zainwestowała w kampanię popularnej w mieście posłanki, która dostała teraz niespełna 9 proc. i zajmuje trzecie miejsce. Czyli na poziomie ogólnopolskich notowań Nowej Lewicy i zarazem dwa razy więcej, niż dostała w tym samym badaniu kandydatka Razem. A to dla Włodzimierza Czarzastego kwestia kluczowa.

Zbuntowana lewica ostrzyła sobie zęby na te wybory, wystawiając współprzewodniczącą Razem Aleksandrę Owcę. Wystartowała z impetem i przez całe lato była ruchliwa, ale efekty są na razie poniżej oczekiwań. Nieco ponad 4 proc. to co prawda wynik na poziomie ogólnopolskiego poparcia dla Razem, niemniej środowisko Adriana Zandberga po ostatniej kampanii prezydenckiej uwierzyło we własną zdolność do rozbudzania kampanijnych emocji i teraz jest trochę zawiedzione. Na grupach społecznościowych zaczęły się już nawet rozliczenia, co nie pomoże w decydującej fazie kampanii.

A czasu zostało niewiele, chociaż sztaby liczą, że po wakacjach miasto wróci do życia, a wraz z tym emocje wyborcze. Tylko ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ że w wyborach odbywających się poza cyklem bywa z tym różnie. Przeważnie rozstrzygają się przy niższej frekwencji, nie w pełni odzwierciedlając nawet lokalne preferencje. A tym bardziej ogólnokrajowe, co nie zmienia faktu, że takie starcia zazwyczaj rozgrywają się na emocjonalnym podbiciu, dzięki czemu miewają później wpływ na ogólną polityczną dynamikę.

Czy Rafałowi Trzaskowskiemu grozi powtórka z Krakowa? Teoretycznie ma w ręku dużo silniejsze karty niż Miszalski. Wygrał prezydenturę już w pierwszej turze, podczas gdy Krakowianin z minimalną przewagą w drugiej. Jego partia jest również lepiej okopana w stolicy. W 2023 r. KO dostała tutaj 43 proc. głosów, podczas gdy w Krakowie – 34 proc. Jako jej kandydat w wyborach na prezydenta RP też nieco lepiej wypadł u siebie (68 proc. w drugiej turze) niż na gościnnym występie w stolicy Małopolski (62 proc.).

Stołeczna samorządność zawsze była zresztą specyficzna, gdyż mieszkańcy w swoich politycznych wyborach częściej kierują się tutaj ogólnymi sympatiami partyjnymi. Trudno więc sobie wyobrazić w Warszawie karierę jakiegoś lokalnego odpowiednika Gibały z jego zdolnością zorganizowania sprawnej akcji referendalnej i dostarczenia politycznej alternatywy na wypadek przyspieszonych wyborów.

I z pewnością nie jest kimś takim inicjator Stołecznej Operacji Referendalnej (SOR) Maciej Wilk. Dał się wcześniej poznać jako prezes Stowarzyszenia Tak dla CPK, ale poza obiegiem prawicowym jego rozpoznawalność jest niewielka. Tymczasem żeby taka akcja miała sens, należało ją odpartyjnić i upozować na autentyczny oddolny ruch sprzeciwu. Bywa z tym jednak różnie, bo wolontariusze zbierający w mieście podpisy często sprawiają wrażenie słabo zorientowanych w temacie, co stało się paliwem do spekulacji, iż zostali tak naprawdę wynajęci.

Głównym hasłem referendum jest odpartyjnienie Warszawy, a jako pretekst służy afera w Szpitalu Południowym. Stąd mrugnięcie okiem w szyldzie inicjatywy, tyle że aktywiści w kamizelkach z napisem SOR równie dobrze mogą dezorientować słabiej zorientowanych mieszkańców. Pozostałe zarzuty tworzą chaotyczną kompilację, w której mieszają się hasła bliskie Konfederacji (za dużo biurokracji i za mało przestrzeni dla samochodów), lewicowe (wąski zasób mieszkań komunalnych), eksploatowane od dawna przez PiS (zwietrzała sprawa awarii w Czajce) oraz ogólnie słuszne (chaos przestrzenny, brak wizji rozwojowej).

Ale nie ulega wątpliwości, że prawdziwy patron tej akcji ukrywa się gdzieś w zaciszu Nowogrodzkiej i chodzi mu głównie o przetestowanie pozycji Trzaskowskiego, który jest dzisiaj słabym ogniwem obozu władzy. Z tego powodu lewicowe ruchy miejskie zdystansowały się od referendum i tylko ich były lider Jan Śpiewak oficjalnie się angażuje. Raczej też nie przysłużyli się inicjatywie tacy sojusznicy, jak Grzegorz Braun i Janusz Korwin-Mikke, którzy włączyli się do agitacji.

Jeżeli tempo zbierania podpisów nie wzrośnie, akcja skończy się fiaskiem. Bo na razie jest ich raptem 50–60 tys., a przynajmniej tak podają organizatorzy. Potrzeba ich z kolei co najmniej 132 tys. (czyli 10 proc. uprawnionych wyborców), chociaż w takich przypadkach niezbędna jest nadwyżka na poziomie 30 proc. Podczas weryfikacji tyle bowiem zazwyczaj odpada z powodu błędów.

Wilk i jego ludzie zagrali *va banque*, decydując się odpalić akcję już z początkiem sierpnia. Chcieli wykorzystać patriotyczne zgromadzenie z okazji rocznicy powstania warszawskiego, ale za cenę wpadnięcia później w wakacyjną flautę. Teraz trzeba będzie nadganiać i teoretycznie powinno być łatwiej, gdyż miasto wraca do normalnego życia. Skądinąd natężenie remontów ulic oraz transportu miejskiego było tego lata bezprecedensowe i jeżeli chociaż część z nich przeciągnie się do rozpoczęcia roku szkolnego, może to być istotny bonus dla SOR.

Otoczenie Trzaskowskiego z ratusza (i podobno on sam) nastawiają się na to, że do referendum raczej mimo wszystko dojdzie. Bo jeżeli nawet w spontanicznej zbiórce będzie brakować podpisów, trudno mieć złudzenia, że PiS nie wyciągnie pomocnej ręki. Partie startujące od dawna w wyborach dysponują bowiem bazami danych swoich zwolenników, którzy już się w przeszłości podpisywali, zostawiając swoje dane adresowe. Dzięki temu nie muszą się przemęczać z każdorazową akwizycją, gdyż wystarczy bezpośrednio zwrócić się do już sprawdzonych wyborców.

I jeżeli dzięki takiemu lewarowi uda się doprowadzić do referendum, może się to okazać sporym wyzwaniem dla ratusza. Ogólna polityczna sekwencja oraz wadliwa konstrukcja przepisów o referendum odwoławczym niwelują bowiem ogólne atuty wynikające z nadal silnej pozycji Trzaskowskiego i jego formacji w mieście stołecznym.

A wszystko dlatego, że zawsze łatwiej jest zmobilizować wkurzoną mniejszość niż rozproszoną większość. Zwłaszcza w epoce cyfrowych algorytmów i farm trolli, które kolportują negatywny przekaz. Ale już mobilizacja zwolenników wyłącznie w celu zachowania status quo to dużo większe wyzwanie. Przeciętny sympatyk urzędującego prezydenta dużo chętniej fatyguje się bowiem na typowe wybory, w których startują inni kandydaci. Wygrane referendum to sukces pozorny, bez specjalnej premii w postaci satysfakcji z odparcia wroga.

Jedyny przypadek wygranego referendum dzięki mobilizacji zwolenników w mieście o statusie prezydenckim miał miejsce w 2009 r. w Sopocie. Był on jednak szczególny, gdyż ówczesny prezydent Jacek Karnowski został oskarżony przez byłego współpracownika o korupcję (jak się później okaże – niesłusznie) i musiał bronić nie tylko stanowiska, ale też własnej reputacji. Nie mógł więc sobie pozwolić na zbagatelizowanie referendum, tylko musiał stanąć do rywalizacji. A ponieważ był w Sopocie bardzo popularny, jego zwolennicy poszli masowo do urn.

Ale poza tym prezydenci niemal zawsze wzywają do bojkotu, co jest po prostu strategią bezpieczniejszą. Referendum jest bowiem nieważne, kiedy bierze w nim udział mniej niż trzy piąte mieszkańców głosujących wcześniej w wyborach. Sęk jedynie w tym, że zawsze ujawnia się jakaś grupa sympatyków danego włodarza, która w dobrej wierze mimo apelu postanawia oddać głos w jego obronie. I chociaż na ogół nie zdają sobie z tego sprawy, wyświadczają mu niedźwiedzią przysługę, przykładając rękę do podniesienia frekwencji. Zarazem ich głos nie waży aż tak wiele, żeby wyrównać dysproporcję w rozkładzie poparcia, skoro większość elektoratu została w domu.

W kręgu politologów nazywa się to paradoksem bytomskim. W tym śląskim mieście w 2012 r. doszło bowiem do odwołania rady miasta właśnie dzięki głosom oddanym przez zwolenników jej pozostania. Przepisy są zatem absurdalne, skoro pod pozorem poszerzenia mechanizmu demokratycznego skłaniają do tego, żeby demobilizować. Należałoby to zmienić i pomysłów nawet nie brakuje (np. zaliczać do frekwencji wyłącznie głosy oddane

eprasa.pl 0eac8d3e91

Rafał Trzaskowski nie ma innego wyboru, jak grać na bojkot referendum, bo to jednak mniejsze ryzyko.

za odwołaniem albo wprowadzić regułę, że każdy głos przeciwko odwołaniu podnosi próg frekwencyjny), tylko że nie ma do tego klimatu politycznego. Prędzej już pojawiają się niemądre głosy, żeby w ogóle skasować wszelkie progi, bo przecież „im więcej demokracji, tym lepiej". Przy dramatycznie skracających się cyklach zużycia politycznego i upartyjnieniu polityki lokalnej to jednak prosta droga do destabilizacji samorządności.

A teraz jeszcze wszyscy mają w pamięci przypadek Miszalskiego, który przegrał pomimo wezwań do bojkotu, co w narracjach prawicowych zostało sprzedane jako wyraz pogardy dla demokracji i typowego dla jego środowiska elitaryzmu. I to samo spotka z pewnością Trzaskowskiego, jeżeli pójdzie w ślady prezydenta Krakowa, co może mu przysporzyć dodatkowych przeciwników. Zarazem jego zwolennicy tak samo mogą mieć problem ze zrozumieniem, dlaczego sięga po strategię, która w Krakowie zawiodła. Tyle że Trzaskowski raczej nie ma innego wyboru, jak grać na bojkot, bo to mimo wszystko dużo mniejsze ryzyko.

Spójrzmy na liczby. Żeby ewentualne referendum w Warszawie było ważne, musiałoby w nim wziąć udział co najmniej 467 tys. mieszkańców. Czy jest możliwe wygenerowanie takiej frekwencji samymi tylko zwolennikami opozycji? W wyborach samorządowych z 2024 r. czwórka prawicowych kandydatów zebrała łącznie raptem 236 tys. głosów. Ale już w drugiej turze ubiegłorocznych wyborów prezydenckich na Karola Nawrockiego zagłosowało sporo więcej, gdyż 362 tys. wyborców. A jeżeli zliczymy jeszcze głosy oddane w pierwszej turze na kandydatów spoza obozu rządzącego (czyli z wyłączeniem Trzaskowskiego, Magdaleny Biejat i Szymona Hołowni), ta liczba urośnie do 427 tys.

I to jest być może górny potencjał antytrzaskowskiej opozycji w Warszawie. Oczywiście traktując to bardzo szacunkowo i mając świadomość, że emocje z kampanii prezydenckiej trudno byłoby powtórzyć rok przed kolejnym wielkim starciem. Niemniej sama kampania referendalna może pozostawić jakiś ślad w głowach mieszkańców stolicy i nie tylko, bombardowanych jeszcze przez wiele tygodni realnymi bądź wyimaginowanymi niedociągnięciami tej prezydentury. Bo gdyby miało faktycznie dojść do głosowania, musiałoby się odbyć gdzieś na przełomie listopada i grudnia.

Warto więc dmuchać na zimne i starannie przygotować komunikację. Tę adresowaną zwłaszcza do własnego zaplecza, żeby się nie pogubiło w zawikłanej w sytuacji i nie ulegało pozornej pokusie wzięcia udziału w „święcie demokracji". Bo jeżeli coś się obsunie i jakimś cudem wydarzy się paradoks warszawski, to już będzie katastrofa nie tylko dla samego Trzaskowskiego, lecz całego jego obozu.

RAFAŁ KALUKIN

© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 0eac8d3e91

Berek w Trybunale?

Ogłaszając przejście ministra Macieja Berka do „innych zadań” w Trybunale Konstytucyjnym, premier złożył obietnicę wielkiego przełomu, której trudno będzie dotrzymać.

EWA SIEDLECKA

„My mamy dzisiaj masakrę, bo te instytucje zostały zmasakrowane przez PiS. I jak widzę bandyckie czasami metody z tamtej strony, to nie będę udawał, że jestem taka ciotuleńka, która nie jest w stanie oddać” – tak premier Donald Tusk, ogłaszając kandydaturę ministra Berka do Trybunału Konstytucyjnego, uzasadniał złamanie zobowiązania, że ten rząd nie będzie posyłał do Trybunału swoich polityków i urzędników. „Miejcie do mnie pretensje, ale pomóżcie nam uzdrowić sytuację w Trybunale. Musimy to zrobić. I ja się nie cofnę” – dodał.

I pretensje odezwały się zewsząd. Skrytykowali ten ruch premiera m.in. byli prezesi Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Zoll, Jerzy Stępień i Marek Safjan. Zastrzegając, że nie kwestionują wyjątkowych kompetencji dr. Macieja Berka, wskazują, że taka polityczna w sposób oczywisty kandydatura rujnuje szansę na rzecz znacznie ważniejszą niż odbicie TK z rąk PiS: jest nią odbudowanie społecznego zaufania do niezależności TK.

Organizacje zajmujące się monitorowaniem praworządności wystąpiły z apelem do dr. Macieja Berka, aby sam wycofał swoją kandydaturę, która w międzyczasie już się pojawiła na stronie Sejmu. „(...) jako organizacje społeczne, które od ponad dekady w różnych formach zabiegały o przywrócenie niezależności tej instytucji, czujemy się w obowiązku zabrać głos. Ostatnie wydarzenia stawiają bowiem pod znakiem zapytania rzetelność przywracania praworządności i dalsze powodzenie naprawy sądownictwa konstytucyjnego w Polsce" – zaczęły swój apel Fundacja Helsińska, Instytut Spraw Publicznych, FOR, Fundacja Panoptykon, Fundusz Obywatelski im. Ludwiki i Henryka Wujców, Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Wolności, Lepsza Demokracja i Stowarzyszenie Watchdog Polska. Dalej piszą: „(...) metodą naprawy tej instytucji nie może być jej »odbicie« lub »przejęcie« przez inną większość rządzącą. Istnienie Trybunału Konstytucyjnego jako organu władzy sądowniczej ma sens jedynie wówczas, gdy jest on niezależnym arbitrem (...) sądy i trybunały nie tylko muszą działać niezależnie i bezstronnie, ale też obywatele muszą ową niezależność i bezstronność dostrzegać i w nią ufać. Nie jest to możliwe w przypadku wyboru sędziów, których związki z rządem są widoczne na pierwszy rzut oka".

Stracone złudzenia

„Osiem lat gadania i manifestowania w obronie APOLITYCZNOŚCI sądów za czasów PiS jak krew w piach. (...) Jego [Macieja Berka] wejście do TK pokaże, że KO niczym nie różni się od PiS – chce mieć zaufanych politycznie ludzi w instytucji, która ma być apolityczna" – to z kolei facebookowy komentarz prof. Marcina Matczaka, dobrze oddający emocje części osób głosujących w 2023 r. na KO z przekonaniem, że będzie działała praworządnie.

Zdaniem zaś prof. Ewy Łętowskiej (podkast w polityka.pl), sędzi TK w stanie spoczynku, największym problemem kandydatury Macieja Berka jest nie tyle to, że kandyduje wprost z ministerialnego fotela, ile to, że rekomenduje go premier, w dodatku jako swoją prawą rękę.

Wszyscy krytycy kandydatury Macieja Berka zauważają też, że jako sędzia będzie mało użyteczny, skoro od 2007 r. miał wpływ na kształt przyjmowanego prawa jako przewodniczący Rządowego Centrum Legislacji, sekretarz Rady Ministrów i minister-członek Rady Ministrów.

Uruchomili się oczywiście internauci, dla których odbicie TK i innych instytucji z rąk PiS jest absolutnym priorytetem i funkcją honoru. A także tacy, którzy owo odbicie traktują jako konieczny pierwszy krok do odbudowy Trybunału, krok, który nie przekreśla jego apolityczności. Ich czołowym przedstawicielem jest prof. Wojciech Sadurski.

Realistyczny plan Sadurskiego

Ale uporczywie wracało pytanie: co takiego może zrobić sędzia TK Maciej Berek, czego nie dokona żadna z siedmiu osób już wybranych przez Sejm obecnej kadencji do TK ani wszystkie razem? I której nie mógłby zrobić inny sędzia, nienaznaczony politycznie? To, że wraz z jego wyborem nowi sędziowie zyskają przewagę jednego sędziego w TK, nie zmieni faktu, że tylko troje z siedmiu nowo wybranych prezes TK Bogdan Święczkowski dopuścił do orzekania, bo tylko od nich prezydent Karol Nawrocki odebrał ślubowanie. I można wątpić, czy odbierze je od Macieja Berka.

Jak włączyć do orzekania pozostałych? Mówi się o jakimś planie Tuska, wymyślonym ponoć przez ministrów Waldemara Żurka i Macieja Berka. Minister Żurek od pewnego czasu zapowiada, że późną jesienią Trybunał będzie funkcjonował „w pełnym legalnym składzie".

Prof. Wojciech Sadurski tydzień przed informacją premiera o nowej misji ministra Berka opisał w „Gazecie Wyborczej „realistyczny plan na odtworzenie Trybunału": „Siedmioro niedawno wybranych sędziów zbiera się tam, gdzie im się uda, skoro pan Święczkowski będzie po rejtanowsku tarasował czworgu z nich wejście do budynku w Al. Szucha. Wybierają tymczasowo ze swojego grona przewodniczącego, wyłącznie dla koordynacji i reprezentacji na zewnątrz i po prostu zaczynają pracować jako Trybunał. (...) Aparat ten [administracyjny TK] zobowiązany jest do przekazywania wszelkich dokumentów i materiałów urzędowych sędziom, właściwie wybranym przez Sejm. To od strony rządu powinien w tej sprawie wyjść jasny komunikat, aby administracja Trybunału miała pełną jasność co do kroków, które powinna podjąć. (...) Aparat ministra finansów musi szybko zapewnić, by legalne dochody nowych sędziów trafiały na ich indywidualne rachunki. (...) z moich informacji wynika, że wkrótce po stronie koterii pana Święczkowskiego kilku sędziów się wykruszy i przejdzie na jasną stronę mocy. (...) Niektórzy mogą sądzić, że Karol Nawrocki będzie mógł sabotować zrekonstruowany Trybunał, nie powołując prezesa (...) [ale] PiS-owska ustawa o TK z grudnia 2016 (...) po 10 latach okazała się strzałem w stopę ze strony PiS. Przewidziano mianowicie, że do czasu powołania nowego prezesa pracami Trybunału kieruje najstarszy stażem sędzia (uwzględniając także staż w sądach powszechnych). Dziś taką sędzią będzie Anna Korwin-Piotrowska, wybitna sędzia sądów powszechnych, prezeska Stowarzyszenia Sędziów Themis, wybrana do TK w marcu 2026".

Sędzią TK z najdłuższym stażem jest jednak nie Anna Korwin-Piotrowska – 27 lat stażu, lecz Wojciech Sych – 31 lat (kadencję w TK skończy w maju 2028 r.). Prof. Sadurski skupił się zapewne na nowych sędziach, ale skoro sędzia Wojciech Sych jest wybrany legalnie, to nie ma prawnego uzasadnienia, żeby go pomijać. Raczej należałoby go przekonać do dołączenia do secesjonistów. Wspomniany zaś przez prof. Sadurskiego przepis pisowskiej ustawy, który ma dać władzę sędzi Korwin-Piotrowskiej, to art. 11 ust. 2 ustawy z 30 listopada 2016 r. o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym, który dotyczy jednak wyłącznie sytuacji, w której powstaje wakat na stanowisku prezesa TK.

Kto i w jakim trybie miałby stwierdzić, że ten wakat powstał i Bogdan Święczkowski nie jest prezesem TK? Być może prof. Sadurski przyjął, że stało się to automatycznie, gdy TSUE w grudniu 2025 r. w sprawie skargi Komisji Europejskiej stwierdził, że w związku z orzekaniem w TK wadliwie wybranych sędziów (dublerów) i wadliwym wyborem Julii Przyłębskiej na funkcję prezesa TK: TK „nie spełnia wymogów niezawisłego i bezstronnego sądu ustanowionego uprzednio na mocy ustawy". A skoro wybór Święczkowskiego odbył się w tym ▶

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ samym trybie, to należy uznać, że pośrednio wyrok TSUE dotyczy także jego.

Załóżmy, że tak. Ale czy to znaczy, że nie jest on prezesem TK? Przecież TSUE nie stwierdził, że wadliwy sposób wyboru Przyłębskiej oznacza, że nie była ona prezeską TK...

Wiele wad i pułapek pomysłu prof. Sadurskiego wymienia w swojej polemice prof. Matczak. M.in. to, że skutkiem będą dwa Trybunały: jeden uznawany przez zwolenników PiS i drugi uznawany przez zwolenników rządzącej koalicji. Trybunał i antyTrybunał, prezes i antyprezes, wyroki i antywyroki. Cóż, to niekoniecznie uzdrowi sytuację.

Przecięcie czy środki nudne

Ale natura propozycji prof. Sadurskiego (tej ministrów Żurka i Berka nie znamy) nie polega na precyzyjnym wynajdywaniu kruczków prawnych. To przecięcie węzła gordyjskiego. A co będzie później, zobaczy się później. Najważniejsze, żeby przestać marudzić. Żeby pokazać sprawczość, stworzyć fakty dokonane, jak minister Bartłomiej Sienkiewicz, który po prostu wszedł do TVP i ją przejął.

Polemizując, prof. Matczak pisze: „Trybunału nie naprawimy aktem secesji, ale nieubłaganym kalendarzem, trzymaniem się procedury i cierpliwością – czyli tymi samymi nudnymi środkami, których lekceważenie kosztowało nas ostatnie trzy lata bezczynności w tej sprawie".

Z jednej strony efektowne cięcie, z drugiej – środki nudne i żmudne. W dodatku niepowodujące, że odbicie Trybunału nastąpi, gdy KO i koalicjanci mają władzę, którą mogą stracić po wyborach. Z drugiej strony nie ma się co tak spieszyć, bo odbicie TK teraz nie zapobiegnie temu, że jeśli PiS dojdzie do władzy, to rozpędzi odbity Trybunał, wytaczając postępowania dyscyplinarne sędziom, którzy „zamachnęli się na władzę prezesa Święczkowskiego".

Temu, co ewentualnie zrobi PiS z Trybunałem, obecnie rządzący nie mogą zapobiec, i dobrze to wiedzą. Więc ich celem nie jest zabezpieczenie TK przed odbiciem przez PiS, ale przedwyborcze podniesienie własnej wiarygodności. I tu pytanie: czy wolą być wiarygodni dla wyborców oczekujących przede wszystkim sprawczości (czyli – jak to się mówi – dowożenia obietnic), czy dla tych, dla których ważniejsza jest praworządność? A więc: odbicie Trybunału teraz czy troska o jego przyszłą wiarygodność?

Premier Tusk, powierzając misję w Trybunale swojej prawej ręce i oświadczając, że nie chce już być „ciotuleńką", pokazuje, że bardziej liczy się z tymi pierwszymi. To ich głosami ma nadzieję wygrać.

Maciej Berek ma być – jak mówią niektórzy politycy KO – dla nowych sędziów liderem. Za liderem się podąża. Dokąd? Do bardziej zdecydowanych kroków? Jakich? Dziś żaden nowo wybrany sędzia nie orzeka. Czworo – bo nie dopuszcza ich prezes Święczkowski. Troje, których dopuszcza – w proteście przeciwko temu, że składy sądzące wyznaczane są z pominięciem pozostałych czworga legalnie wybranych przez Sejm. Może sędzia Berek zmieni tę strategię i dopuszczeni zaczną orzekać, próbując przegłosowywać starych sędziów?

Na razie troje dopuszczonych sędziów blokuje odbywanie Zgromadzeń Ogólnych Sędziów TK, zrywając kworum, gdy prezes uniemożliwia pełnoprawny udział czworgu niedopuszczanym sędziom. A bez uchwały Zgromadzenia Święczkowski nie może np. posłać do sejmu projektu budżetu TK na przyszły rok. To może się skończyć brakiem finansowania Trybunału, więc jest poważnym środkiem nacisku. We właśnie ogłoszonym przez rząd projekcie budżetu na 2027 r. Trybunał nie został uwzględniony.

Prezydent wciąż analizuje

Jesienią spodziewany jest wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie skargi sędziów TK niedopuszczanych do orzekania. Już w ramach tymczasowego zabezpieczenia ETPCz nakazał ich dopuszczenie, co nie zostało wykonane przez prezesa Święczkowskiego i szerzej: przez państwo polskie, które nie znalazło sposobu, by im orzekanie umożliwić.

Skarżący wskazali m.in., że działania prezydenta, który nie odbierając od nich ślubowania, blokuje im możliwość podjęcia sędziowskich obowiązków, są niedopuszczalną ingerencją w niezależność sądownictwa i prowadzą do uzależnienia wykonywania funkcji sędziowskiej od decyzji prezydenta, chociaż nie ma on do tego konstytucyjnych kompetencji. Innym punktem skargi jest brak skutecznego środka wyegzekwowania prawa skarżących do orzekania.

Nie należy się spodziewać, że wyrok ETPCz, stwierdzający, że działanie prezesa Święczkowskiego narusza Europejską konwencję praw człowieka, spowoduje, że przestanie on ją naruszać i dopuści sędziów do orzekania. Choć nie można wykluczyć, że uznanie za naruszenie konwencji działań prezydenta wpłynie na Karola Nawrockiego. Tym bardziej że przecież nie odmówił do tej pory żadnemu z sędziów odebrania ślubowania, a jedynie od miesięcy „analizuje", czy powinien to ślubowanie od nich odebrać.

Zatrzymanie na gorącym uczynku

Nie można też wykluczyć, że wyrok ETPCz zmiękczy tych starych sędziów TK, którzy i tak mają już dość wymuszania na nich przez Święczkowskiego orzekania na zamówienie PiS. A wtedy może nabrałby realizmu lansowany przez Ryszarda Kalisza scenariusz zatrzymania prezesa Święczkowskiego „na gorącym uczynku" przestępstwa niedopełnienia obowiązku. Wtedy w ciągu 48 godzin Zgromadzenie Ogólne TK mogłoby mu uchylić immunitet, a prokuratura – postawić także inny zarzut: nielegalnego stosowania inwigilacji Pegasusem Romana Giertycha. Ale takie zgromadzenie musiałby zwołać wiceprezes TK Bartłomiej Sochański, uważany za człowieka Święczkowskiego. No, chyba żeby uznać, że mamy do czynienia ze wspomnianym wakatem, co upoważniłoby do zwołania Zgromadzenia sędziego Sycha jako najstarszego stażem. Ale wakat to nie jest chwilowa nieobecność.

Autentyczny wakat nastąpiłby, gdyby udało się doprowadzić do wytoczenia Bogdanowi Święczkowskiemu postępowania dyscyplinarnego, w którego wyniku zostałby wydalony ze stanu sędziowskiego z powodu naruszenia przepisów prawa – np. Europejskiej konwencji praw człowieka – i uchybienia godności urzędu sędziego TK. Takie postępowanie mógłby zainicjować któryś z sędziów. Wtedy wiceprezes TK losowałby najpierw skład trzyosobowy, a w drugiej instancji – pięcioosobowy Sądu Dyscyplinarnego, przy czym nikt ze składu trzyosobowego nie może wejść do pięcioosobowego. To zaś oznacza, że za ukaraniem Święczkowskiego wydaleniem z zawodu musieliby też być niektórzy starzy sędziowie.

Może gdzieś w tym wszystkim jest miejsce dla twórczej wykładni prawa, niestandardowego wykorzystania procedur itp., przy których ważną rolę odegrałaby tak chwalona wiedza prawnicza Macieja Berka i umiejętność jej praktycznego zastosowania? Może.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl 0eac8d3e91

Od lewej: **Marcin Romanowski i jego adwokat Bartosz Lewandowski w 2024 r.**

Wiatr z Naddniestrza

Skąd naprawdę Marcin Romanowski wysłał na początku sierpnia wniosek do sądu o list żelazny? To pytanie od kilkunastu dni rozgrzewa polityczne podwórko.

ANNA DĄBROWSKA

Dla PiS to spory kłopot, jeśli były wiceminister sprawiedliwości rządów Zjednoczonej Prawicy faktycznie przebywa w Naddniestrzu, separatystycznym regionie Mołdawii kontrolowanym przez rosyjskie służby. Na Marcinie Romanowskim ciąży 11 zarzutów w śledztwie dotyczącym wyprowadzania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. W grudniu 2024 r. dostał na Węgrzech ochronę międzynarodową. Europejski nakaz aresztowania działa na terenie Unii Europejskiej, ale ówczesny premier Viktor Orbán nie wydał ani Zbigniewa Ziobry, byłego ministra sprawiedliwości, ani Romanowskiego. W kwietniu, po przegranych przez Fidesz wyborach, obaj politycy opuścili Węgry. Ziobro otrzymał wizę dziennikarza TV Republika i mógł wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

„Pomidor" – stwierdził kilka dni temu mec. Bartosz Lewandowski, także prawnik Ziobry, w programie „Super Expressu", pytany o miejsce pobytu Romanowskiego. Wątpliwości jest coraz więcej i nawet rozmówcy z PiS potwierdzają, że nie chodzi o list żelazny. – *Marcin tak jak Ziobro chce wylecieć do USA i o to wszystko się rozchodzi. Nie sądzę, choć też nie można wykluczyć, że ukrył się chwilowo u Rosjan, co dla nas w PiS nie wygląda najlepiej* – mówi ważny polityk z partii Jarosława Kaczyńskiego.

Teraz Tyraspol?

W połowie sierpnia premier Donald Tusk mówił, że Romanowski „na 99 proc." przebywa w Naddniestrzu. Tego samego dnia „Gazeta Wyborcza" podała, że „Romanowski był widziany w Tyraspolu, stolicy Naddniestrza", powołując się na źródła w polskich służbach. Pojawiają się informacje, że korzysta tam z gościnności księży sercan. Zakon ten na terenie Naddniestrza prowadzi pięć parafii. Związany jest z nim też ksiądz Michał O., jak Romanowski oskarżony m.in. o udział w grupie przestępczej i przywłaszczenie milionów złotych z FS.

„Rzeczpospolita" ujawniła, że list do prokuratury zawierał ślady biologiczne polityka, ale służby nie mają „koronnego dowodu", że faktycznie przebywa on w Naddniestrzu. I w ogóle – według ustaleń „Rz" – nic się tu nie zgadza. Wniosek o list żelazny ma datę 12 lipca, a wysłany został prawie dwa tygodnie później. Romanowski twierdzi, że przebywa w Tyraspolu pod adresem, który okazał się pustym placem. Pieczęć na kopercie świadczy o tym, że list nadano z odległego o kilkanaście kilometrów miasta Bendery.

Prokuratura Krajowa twierdzi, że były wiceminister blefuje, a informacji o pobycie w Naddniestrzu praktycznie nie można zweryfikować. Jeden z polityków PiS uważa, że mec. Lewandowski wymyślił całkiem sprytną strategię: – *Potwierdzenie, że Romanowski jest w Naddniestrzu,* ▶

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ *oznaczałoby uchylenie przez sąd Europejskiego Nakazu Aresztowania. Jeśli nie ma go na terenie Unii Europejskiej, to ENA nie obowiązuje. I o to w tym chodzi. A bez ENA legalnie może sobie wyjechać, gdziekolwiek zechce na świecie.* Lewandowski oświadczył na X, że w związku z wnioskiem o uchylenie ENA dla Romanowskiego złożył do Sądu Okręgowego w Warszawie wniosek o przesłuchanie premiera. Dodał, że oświadczenie szefa rządu jest „nieocenionym wsparciem dla mojego Mandata i jest istotnym dowodem".

27 sierpnia Warszawski Sąd Okręgowy odrzucił wniosek mecenasa o uchylenie ENA wobec Romanowskiego, uznając, że „w oczywisty sposób nie zasługuje na uwzględnienie". Wniosek o przesłuchanie Tuska pozostawił bez rozpoznania. Sędzia Tomasz Grochowicz podkreślił, że „aktualne miejsce pobytu ściganego nie zostało w sposób kategoryczny ustalone i potwierdzone. Jednocześnie nie ma żadnego jednoznacznego i niezaprzeczalnego dowodu wskazującego na fakt opuszczenia terytorium Unii Europejskiej przez ściganego". Dlatego ENA utrzymano.

Wielu w PiS uważa, że Romanowski, który – inaczej niż Ziobro – nie ma rodziny i dzieci, powinien dać się zamknąć w Polsce i zostać symbolem odwagi i męczeństwa.

Sędzia podkreślił też, że „postawa ściganego, podjęte przez niego działania w sposób niewątpliwy wskazują na próby utrudniania i destabilizacji postępowania karnego". Na rozpoznanie czeka wniosek podpisany przez Romanowskiego o objęcie go listem żelaznym, posiedzenie sądu wyznaczono na 30 września. List żelazny ma być gwarancją, że jeśli stawi się przed polskim sądem, to nie trafi do aresztu. Prokuratura jest przeciwna wydaniu listu. Romanowski może paść ofiarą przepisów uchwalonych przez rząd PiS – Ziobro uzależnił wydanie listu żelaznego od zgody prokuratora. Zmianę tę oprotestowała część środowiska sędziowskiego i ówczesna opozycja. Dziś może się to obrócić przeciw Romanowskiemu.

Z Zondacrypto do Dubaju?

W minionym tygodniu prokurator generalny Waldemar Żurek wydał oświadczenie dotyczące afery Zondacrypto. Chodzi o finansowanie przez giełdę Zondacrypto, której prezesem jest Przemysław Kral, m.in. „działań podejmowanych przez osoby pomagające zbiegłemu byłemu wiceministrowi sprawiedliwości Marcinowi Romanowskiemu". W kwietniu wyszło na jaw, że powiązany z Ziobrą Instytut Polski Suwerennej otrzymał 450 tys. zł z kancelarii adwokackiej Krala. Czy z tych pieniędzy Kral finansował kogoś, by ten pomagał ukrywać się Romanowskiemu? Prokuratura tego ujawnić nie chce, ale Lewandowski twierdzi, że to uderzenie w niego, gdyż do 25 sierpnia był obrońcą Krala. Zapewnia, że ani Kral, ani Zondacrypto nie finansowali jego usług dla Romanowskiego.

Z ustaleń dziennikarzy Wirtualnej Polski i TVN24 wynika, że były wiceminister brał pod uwagę ewakuację do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. I to właśnie w otoczeniu Krala, jak donoszą media, szukano możliwości powołania w Dubaju podmiotu gospodarczego, co otworzyłoby politykowi Suwerennej Polski drogę do uzyskania tam wizy rezydenta. Pierwsze rozmowy miały się odbyć w marcu, przy okazji budapeszteńskiego szczytu środowisk konserwatywnych CPAC Hungary, a w kontakty z biznesmenem z ramienia Romanowskiego zaangażowany był mec. Lewandowski. Z informacji śledczych i dziennikarskich wynika, że o fiasku operacji przesądził status Romanowskiego. Żaden z lokalnych podmiotów nie zdecydował się na rejestrację firmy na rzecz ściganej osoby pełniącej ważne funkcje publiczne (status PEP).

Nowogrodzka codziennie musi się mierzyć z pytaniami o zniknięcie ważnego w resorcie Ziobry polityka, posła obecnej kadencji. Oficjalna instrukcja przekazu dnia dla polityków PiS opiera się na niewiedzy i odcięciu. – *Najlepiej zmieniać temat, mówić, że to przykrywka dla afer KO i nieudolności rządu Tuska* – mówi ważny polityk PiS. I dodaje, że jeśli dziennikarz nie daje za wygraną, to: – *Mamy powtarzać, że nie wiemy, gdzie jest pan Romanowski. Nie utrzymuje z nami kontaktu. I że to sprawa polityczna. I dodawać, że stanąłby przed sądem, ale nie może, bo pod rządami Tuska nie ma w Polsce praworządności.*

Narracja PiS

Nawet po doniesieniach, że może ukrywać się w Naddniestrzu, nie grozi mu choćby zawieszenie w partii. „A na jakiej podstawie?" – oburzał się niedawno na konferencji w Siedlcach kandydat PiS na premiera Przemysła Czarnek. „Mówimy o osłabieniu Wojska Polskiego, oddawaniu pocisków Patriot Ukraińcom, rozbrajaniu, i to jeszcze w sytuacji bezpośredniego zagrożenia ze strony Rosji, a pan mnie pyta, czy Romanowski będzie w partii, czy nie? Kogo to obchodzi?". Mariusz Błaszczak pytany, czy wierzy w niewinność Romanowskiego: „Widzę, że nie mamy szansy pod rządami Donalda Tuska na uczciwy proces". Jacek Sasin w Radiu Zet: „Fakty są takie, że w Polsce nie ma praworządności i osoby ścigane z politycznych przyczyn, a w tym przypadku tak jest, po prostu wybierają taką drogę, aby uniknąć represji. Jak w Polsce wróci praworządność, to i minister Romanowski stanie przed sądem (...). Wybrał taką drogę, jaką wybrał, ja nie chcę tego oceniać, nie wiem, gdzie przebywa, i tyle na ten temat mam do powiedzenia".

Klasyczna ucieczka do przodu. Z jednej strony partia nie bierze odpowiedzialności za uciekiniera, z drugiej podtrzymuje narrację o braku praworządności pod rządami Tuska. Wielu w PiS uważa, że Romanowski, który w odróżnieniu od Ziobry nie ma rodziny i dzieci, powinien dać się zamknąć w Polsce na kilka miesięcy i stać się symbolem odwagi i męczeństwa PiS pod rządami KO. Jednak nikt otwarcie przeciw Romanowskiemu nie stanie. – *Musimy jakoś go bronić, bo przecież przed wyborami mogą posypać się polityczne zatrzymania i trzeba powtarzać, że tu chodzi tylko o zemstę na PiS. Musimy być konsekwentni w obronie naszych ludzi, nawet Romanowskiego* – tłumaczy rozmówca z PiS. Ale jeden z polityków mocno związanych z centralą partii mówi, że tak po ludzku to trudno bronić Romanowskiego. – *Także przez tę ucieczkę wśród naszych ludzi jest postrzegany jako postać wybitnie niesympatyczna, że jest cwaniakiem, że dealuje ze służbami ruskimi.*

Według ważnego polityka z władz partii plan byłego wiceministra sprawiedliwości jest oczywisty i prozaiczny. Chce uciec do jakiegoś bezpiecznego dla siebie miejsca i tam przeczekać do zmiany władzy w Polsce. – *Najbardziej chciałby jak Ziobro do Stanów Zjednoczonych, które zagwarantują mu możliwość dalszego funkcjonowania i względny spokój. Słyszałem też, że chciałby startować do Sejmu.*

eprasa.pl 0eac8d3e91

Poza nielicznymi najwierniejszymi kompanami z dawnej Suwerennej Polski, jak Michał Wójcik czy Mariusz Gosek, w partii nie chcą go na listach wyborczych. Podobno nawet większość ziobrystów uważa taki pomysł za przesadę. – *Ale może Jarosław się ugnie i da mu jakieś ostatnie miejsce na liście w Warszawie, z której liczone są głosy Polonii, i to wśród niej Romanowski będzie robił sobie kampanię* – mówi poseł PiS.

Nasz rozmówca, trochę jakby na pocieszenie, w całej sprawie widzi też coś pozytywnego dla swojego obozu. Jego zdaniem elektorat KO czuje się rozczarowany tym, że nie udaje się ściągnąć do Polski ani Ziobry, ani Romanowskiego, i to go demobilizuje. Ocenia przy tym, że ewentualne straty wizerunkowe zostały już poniesione, a twardy elektorat PiS i tak nie uwierzy w oskarżenia.

Morawiecki się cieszy

Sprawa Romanowskiego z widoczną ulgą przyjmowana jest wśród stronników Mateusza Morawieckiego. Czuć zadowolenie, że polityczny ciężar obrony czołowych postaci PiS to już nie ich sprawa. Były premier, pytany na konferencji prasowej o domniemaną ucieczkę Romanowskiego do Naddniestrza, mówił: „Gdyby tak rzeczywiście było, jeśli to się potwierdzi, byłoby to skrajnie naganne i nie miałbym tutaj żadnych słów usprawiedliwienia". Morawiecki ma też osobiste powody, aby uderzać w Romanowskiego. Na taśmach Tomasza Mraza, byłego dyrektora Funduszu, który jest tzw. małym świadkiem koronnym, słychać głos Romanowskiego: „Ojciec Mateusza Morawieckiego to ruski agent, a on sam – nie wiem, niemiecki albo jedno i drugie".

Ziobro mówił o Romanowskim, swoim najbliższym współpracowniku, że „to człowiek o bardzo mocnym kręgosłupie moralnym, o bardzo silnych wartościach". Podkreślał, że wie, co mówi, bo „z Marcinem zjedliśmy beczkę soli". Romanowski nie pozostał dłużny w komplementowaniu. „Jest trochę prawdy w tym, że jestem człowiekiem do zadań specjalnych Zbigniewa Ziobry. Miałem przyjemność poznać go przy pierwszym specjalnym zadaniu przy pracy w komisji Rywina (ruszyła w 2003 r. – przyp. red.). Był to dla mnie skok na głęboką wodę. Spotykaliśmy się w Sejmie i tak zaczęła się nasza współpraca, a potem znajomość i przyjaźń" – przyznał Romanowski (rocznik 1976) na antenie Polskiego Radia w programie „Nieznani znani".

Ziobrze młodego prawnika, który dopiero co skończył studia na uniwersytecie w Toruniu, polecił Janusz Kochanowski, który kilka lat później zginął w katastrofie smoleńskiej. Romanowski był współautorem końcowego raportu komisji, który Sejmowi przedstawił Ziobro. Od tamtej pory uchodzi za jednego z jego najwierniejszych żołnierzy.

Choć Marcin Romanowski od lat związany był z Warszawą, na wyborczy przyczółek wybrał Lubelszczyznę. W 2019 r., mimo zabiegów o wizerunek „swojego człowieka" i zasilenia lokalnych gmin środkami z Funduszu Sprawiedliwości, mandat poselski przemknął mu koło nosa. PiS w bardzo przychylnym dla siebie regionie zgarnął osiem z trzynastu mandatów. Romanowski z 7436 głosami nie wszedł do Sejmu. Zabrakło mu 351.

„Efekt FS nie zadziałał" – pisali eksperci Funduszu Sprawiedliwości pracujący przy kampanii ówczesnego wiceministra. W wewnętrznych raportach sztabowcy ubolewali nawet, że pikniki z dmuchańcami przyniosłyby lepszy skutek niż dotacje dla strażaków. Wyciągnięte wnioski i zintensyfikowane pompowanie pieniędzy w okręg chełmski przyniosły efekt w 2023 r. Jak ujawnił resort Adama Bodnara, z 224 mln zł rozdanych z FS poza konkursami aż 19 mln trafiło do okręgu Romanowskiego, dając mu fotel na Wiejskiej. W marcu tego roku decyzją Prezydium Sejmu Marcin Romanowski został pozbawiony diety parlamentarnej. Świadczenie zamrożono, dopóki poseł nie pojawi się na sali plenarnej. Co prawda on sam zrezygnował z uposażenia w styczniu 2025 r., ale Kancelaria Sejmu wciąż wypłaca co miesiąc 25 tys. zł ryczałtu na utrzymanie biura poselskiego.

Koniec wieńczy Dzieło

W 2015 r., gdy PiS wygrał wybory, Ziobro wrócił do resortu sprawiedliwości, a dwa lata później mianował Romanowskiego dyrektorem Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości. W ramach Instytutu stworzył Pracownię Liderów Prawa, kuźnię nowych elit prawniczych, „które będą również propagować oraz rozwijać kulturę prawną opartą na chrześcijańskich wartościach" – jak opowiadał Romanowski portalowi wPolityce.pl. Funkcjonowała na podobnych zasadach jak Akademia Lidera w ośrodku Opus Dei (Dzieła Bożego) przy ul. Filtrowej w Warszawie.

Sam Romanowski był członkiem komisji rewizyjnej Stowarzyszenia Promocji Kultury i Nauki, jednego z najważniejszych ośrodków formacyjnych Opus Dei w Polsce, i jej numerariuszem. Numerariusze są osobami świeckimi, pracują zawodowo i jednocześnie żyją w celibacie, najczęściej mieszkając w ośrodkach Opus Dei. W pisemnych umowach z prałaturą Dzieła zobowiązują się do czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, a także dzielą się ze wspólnotą swoim majątkiem. Romanowski, choć zarabiał w resorcie ponad 200 tys. zł rocznie, to – jak wynika z jego oświadczeń majątkowych – nie miał oszczędności.

Po wyjeździe na Węgry został zatrudniony w Polsko-Węgierskim Instytucie Wolności, organizacji ściśle powiązanej z obozem Orbána. Odpowiada ona m.in. za węgierską odsłonę CPAC (Conservative Political Action Conference), jednej z największych konferencji amerykańskiej prawicy. Z ostatniego oświadczenia majątkowego Romanowskiego wynika, że w 2025 r. zarobił tu 17,5 mln forintów (ok. 207 tys. zł).

„Opus Dei to normalność – mówił Romanowski kilka lat temu w Polskim Radiu. – Każdy ma w Kościele swoją drogę. Celibat to jest moja droga, moje przeżywanie wiary i chrześcijaństwa oraz większa dyspozycyjność. Każdy rodzaj wyboru jest poświęceniem". Dziś te słowa nabierają osobliwego wymiaru. W PiS mówią, że Ziobro w trosce o własny interes urządził się w USA i poświęcił relację z Romanowskim. Nowogrodzka na razie zachowuje powściągliwą solidarność, lecz jeśli się potwierdzi, że poseł ukrywa się w Naddniestrzu, będzie się go wypierać. Pytanie, jakie tajemnice dotyczące polskiego państwa poświęci Romanowski i jak bardzo okaże się dyspozycyjny, aby chronić siebie, gdziekolwiek jest?

ANNA DĄBROWSKA

Wśród stronników Morawieckiego wyraźnie czuć ulgę i zadowolenie z tego, że polityczny ciężar obrony czołowych postaci PiS to już nie ich sprawa.

eprasa.pl 0eac8d3e91

Kiedyś niedoszły premier z Krakowa, a dzisiaj internetowy celebryta z Podkarpacia. O Janie Rokicie znów jest głośno i znów zaskakuje niekonwencjonalnymi wystąpieniami. Jak jest możliwe połączenie prawicowej orientacji z bezwarunkowym poparciem Ukrainy?

Gawędziarz

RAFAŁ KALUKIN

„To zdumiewająca idea, żeby o mnie pisać, bo przecież to ja mam opisywać ludzi kształtujących rzeczywistość. Ale jeżeli Pan nalega, traktuję to jako nobilitację i zapraszam do siebie" – kurtuazyjnie zaznaczył przy umawianiu wizyty.

Podróż na południowe Podkarpacie to czysta przyjemność. Mijane po drodze pola, łąki i zadrzewienia układają się w barwną mozaikę. Cieszą oko zadbane wioski i przysiółki. Krajobraz stopniowo się jednak fałduje, zza horyzontu już wkrótce zaczną się wyłaniać Bieszczady. Ale żeby dotrzeć do wsi Górki, należy w pewnym momencie zjechać z szosy na Sanok, a potem postarać się nie przegapić obsianej platanami wąskiej dróżki.

Jest słoneczne popołudnie. Gospodarz siedzi na ganku, przebierając świeżo zerwany szpinak. Pod ręką otwarty tomik z poezją Williama Blake'a. Miejsce faktycznie wydaje się stworzone do mistycznych kontemplacji, bo wokół cisza, zieleń i prawie żadnej cywilizacji w zasięgu wzroku. Dom raczej niewielki, ponadstuletni, ale dostosowany do współczesnych wygód. Dawniej chłopska chata, a dzisiaj wypełniona po sufit książkami inteligencka samotnia.

Chociaż wygląda na to, że po okresie życia na uboczu Jan Rokita trochę się już zdążył znudzić wiejskim spokojem.

Znaleźć swoje Bieszczady

Kraków pozostawił osiem lat temu i nie widać, żeby jakoś bardzo tęsknił. Coraz rzadziej zresztą odwiedza rodzinne miasto. Jeszcze niedawno w miarę regularnie wpadał poprowadzić zajęcia ze studentami, ale i z tego właśnie zrezygnował. Teraz już tylko żona Nelly krąży pomiędzy miastem i wsią, pomieszkując na przemian w obydwu domach. Zafascynował ją ostatnio taniec, dużo ćwiczy i nawet bierze udział w turniejach. Miała nadzieję wciągnąć męża do pary, ale Jan woli swoje grządki i ule.

Przed czym chciał uciec? Opowiada, że kamienica, w której mieszkał od dziecka, znalazła się nagle w strefie wiecznej imprezy i odtąd przyjemne mieszczańskie życie stało się udręką. Ale dawni znajomi na ogół widzą to wszystko trochę inaczej. Ich zdaniem Rokita chciał po prostu uciec przed dotychczasowym życiem, w którym wszystko było naznaczone polityką, przywołując przykre wspomnienia.

Początkowo zaspokajał jeszcze tę potrzebę licznymi podróżami do Włoch, które jednak zaczęły go z czasem przerastać finansowo. W miarę narastania kolejnych życiowych problemów coraz bardziej się alienował od swojego kręgu towarzyskiego, po kolei zrywając większość krakowsko-politycznych znajomości. Aż pewnego dnia po prostu zniknął z miasta.

I tym sposobem słynny kiedyś filcowy kapelusz statecznego krakowskiego mieszczanina poszedł w odstawkę, żeby ustąpić miejsca słomkowemu. Bo Jan Rokita pewnie nie byłby sobą, gdyby nowego etapu życia nie podkreślił odpowiednią stylizacją. Z długą siwą brodą trochę

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 0eac8d3e91

przypomina ludowego świątka, chociaż wielu dopatrywało się inspiracji Tołstojem. Biorąc to zazwyczaj za kolejne dziwactwo Rokity, ale kiedy już objawił się jako internetowy Sabała, który w podkarpackim plenerze snuje polityczne „gawędy" dla widzów Kanału Zero, nowy wizerunek okazał się w sumie całkiem trafiony.

„Moją ambicją jest, abyśmy spróbowali wspólnie myśleć o polityce. Nie będę ukrywać swoich poglądów, ale nie zakładam, że słuchać mnie będą tylko podobnie myślący. Wręcz przeciwnie, poglądy ma się po to, ażeby prezentować je ludziom myślącym inaczej. To w moim przekonaniu istota debaty" – oznajmił w swoim debiucie nieco ponad rok temu, w końcówce wyborów prezydenckich.

Chociaż na samym początku chyba nie był do końca przekonany, czy sprawdzi się w nowej dla siebie roli. W pierwszych słowach asekurował się, że nie był to jego pomysł i jedynie dał się namówić szefom Kanału Zero. Ale program właściwie od samego początku dorobił się sporej, mniej więcej stutysięcznej widowni, która w większości pewnie nawet nie miała wcześniej pojęcia o poprzednich wcieleniach siwobrodego gawędziarza spod Bieszczad.

Prawy człowiek z misją

Każdy odcinek obowiązkowo zaczyna się od wizytacji grządki, kwietnika bądź pasieki, co już jednak zaczyna wychodzić Rokicie trochę bokiem. Gospodarstwo jest niewielkie i po nakręceniu 60 odcinków coraz trudniej aranżować kolejne takie scenki bez powtarzania się. Na szczęście polityka pozostaje na tyle żywa, że zawsze jest o czym opowiadać.

Najchętniej oczywiście o Tusku i Kaczyńskim, co nie powinno dziwić, gdyż obu poznał przecież na wylot. Wobec obecnego premiera Rokita jest niezmiennie krytyczny, nie tylko z powodu ogólnej orientacji. Można odnieść wrażenie, że obwinia Tuska niemalże o całe zepsucie dzisiejszej polityki, szczególnie o jej relatywizm i instrumentalne podejście do wartości. Do prezesa PiS zachowuje z kolei stosunek nieco ironiczny, aczkolwiek wyrozumiały.

Zgodnie z zapowiedzią Rokita nie wygłasza jednak manifestów i stosunkowo rzadko moralizuje, co młodej w większości widowni Kanału Zero na początku bardzo się podobało. Dosyć zresztą niejednorodnej, gdyż w komentarzach ujawniali się zwolennicy rozmaitych prawicowych orientacji. Mieli oni jednak jedną wspólną cechę, czyli kibicowali Karolowi Nawrockiemu. Sprawy zaczęły się zatem komplikować, kiedy Rokicie nie spodobało się prezydenckie weto w sprawie SAFE, a później jeszcze mocniej zaprotestował przeciwko odebraniu Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego.

I ogólnie można było odnieść wrażenie, że to nie krytyka jedynie incydentalna. I faktycznie potwierdza, że nie wyrobił sobie jeszcze pełnej opinii o Nawrockim, mając świadomość, że nawet zawahanie nie podoba się jego publiczności, która w komentarzach coraz częściej daje temu wyraz.

Ale jeszcze poważniejszym źródłem napięcia stała się ostatnio jego nieugięta postawa w sprawie Ukrainy, którą Rokita zaleca wspierać bez względu na wszystko. I nie uznaje tu już żadnych kompromisów, podobnie jak nie gryzie się w język. Jeszcze w lipcu narobił hałasu atakiem na Przemysława Czarnka, któremu zarzucił, że swoją antyukraińską krucjatą wspiera cele Moskwy oraz całej globalnej „osi zła". I zrobił to nie byle gdzie, bo w tekście dla tygodnika „Sieci", w którym antypisowskie herezje nie mają przecież racji bytu. Redakcja zażądała w odpowiedzi zmian w tekście, a Rokita odmówił, po czym zerwał wieloletnią współpracę. Trochę to wyglądało na celową prowokację z jego strony, ale zapytany o to zaprzecza i dodaje, że jest gotów publikować na rozmaitych łamach, byleby nie za darmo i bez cenzury.

A niedługo później zerwała się kolejna burza. Tym razem po jego wizycie na „grillu" Mateusza Morawieckiego, kiedy w publicznej dyskusji zgodził się z podsuniętym mu prowokacyjnym poglądem, że Polska powinna stać przy Ukrainie, nawet gdyby miała ona kiedyś wciągnąć na swoje sztandary tradycję nazistowskich jednostek wojskowych SS Galizien. Przy okazji trochę złamał swoją dotychczasową zasadę prawicowej neutralności, prawiąc Morawieckiemu komplementy i wskazując go jako największą nadzieję prawicy, co również nie umknęło uwadze polityków PiS i ich sympatyków.

Wkrótce okazało się jednak, że nie było to poparcie bezwarunkowe. Bo kiedy lider Rozwoju Plus w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim dołączył do prawicowej licytacji na dowalanie Ukrainie, Rokita postanowił mu to wygarnąć w jednym z prasowych felietonów. I wygląda na to, że chyba polubił takie wbijanie szpilek we wrażliwe miejsca, wręcz kontentując się burzliwymi reakcjami i nie przejmując trochę już zauważalnym ubytkiem świeżo nabytej popularności.

W każdym razie deklaruje, że nie zamierza odstępować od swoich pryncypiów. Tym bardziej że wysokość jego honorarium w Kanale Zero nie zależy od liczby wyświetleń, na czym zapewne sporo traci, ale przynajmniej nie nawiedza go pokusa konformizmu. Czyli krótko mówiąc, powrócił stary dobry Jan Rokita.

Bohater historii alternatywnej

Kiedy jeszcze funkcjonował jako czynny polityk, należał do wąskiego grona najbardziej wyrazistych postaci na scenie. Przeważnie o nim mówiono, że inteligentny, lecz zarazem trudny. Jego erudycyjne wystąpienia niemal za każdym razem przykuwały uwagę, chociaż często drażniły nawet jego politycznych sojuszników. Od kiedy jednak w 1989 r. pojawił się jako młody człowiek w poważnej polityce, zawsze chciał chodzić własnymi ścieżkami.

Ze swoim konserwatywnym sznytem odstawał od Unii Demokratycznej, do której przystąpił na początku lat 90. Jak na standardy prawicowej AWS, z którą związał się pod koniec dekady, był z kolei nie dość sarmacki. Kiedy cała energia reformatorska transformacji skupiała się w tamtych czasach na reformach rynkowych, Rokitę zafascynowało traktowane po macoszemu państwo i jego instytucje.

Wydawało się, że znajdzie spełnienie w Platformie Obywatelskiej. W komisji śledczej badającej aferę Rywina odegrał rolę życia, stając się na krótko najjaśniejszą polityczną gwiazdą. Choć wtedy jeszcze sądził, że najważniejsze dopiero przed nim. Jego marzeniem było stanąć na czele rządu PO-PiS, który zapisze się w historii głębokimi reformami ustroju i państwa. Przygotowywał się do tego miesiącami, angażując do pisania programu grono wybitnych ekspertów. Marzenia rozwiały się jesienią 2005 r., kiedy PO przegrało z PiS podwójne wybory i plan wspólnych rządów runął z wielkim hukiem.

Gdyby historia III RP potoczyła się inaczej, dziś byłby pewnie jednym z jej bohaterów. Tyle że zamiast wielkiej koalicji urodziła się wielka polaryzacja, której Rokita okazał się na koniec zbędnym odpadem. Najpierw nie dał się przekabacić Jarosławowi Kaczyńskiemu, który próbował go wykorzystać do rozbicia PO, oferując ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ stanowisko premiera w mniejszościowym rządzie PiS. Choć dziś trochę żałuje, że się jednak nie skusił, gdyż – jak argumentuje – stanowisko szefa rządu mimo wszystko dawało możliwości zrobienia czegoś sensownego dla państwa.

Trwał jednak przy Platformie, która go jednak coraz mniej potrzebowała. Stał się niewygodny, gdyż swoim istnieniem przypominał o wspólnocie PO-PiS, a nawet wciąż próbował zabiegać o jej odnowienie. Dyskretnie wypychany przez Tuska – a na sam koniec zaskoczony przez żonę Nelly, która w kampanii 2007 r. związała się z obozem PiS – tuż przed zamknięciem list wyborczych ogłosił odejście z polityki. Zrobił to w charakterystycznym dla siebie teatralnym stylu: w trakcie telewizyjnego wywiadu, odpinając mikrofon i opuszczając studio przed końcem.

Po latach wspomina tamte zdarzenia bez większych emocji. Tak po prostu wyszło, sporą rolę odegrał przypadek. Trochę nawet sam bije się w piersi, że popełnił błąd w zasadniczej diagnozie. Zbyt pochopnie uwierzył, że jego wysiłki sejmowego śledczego wywołały moralny wstrząs i zbiorowe pragnienie przeprowadzenia wielkiej sanacji państwa. Teraz widać, że komisje śledcze były jedynie poligonem populizmu i agresywnej polaryzacji.

Jako głównego winowajcę fiaska projektu PO-PiS Rokita nadal zresztą wskazuje Kaczyńskiego, który po wygraniu podwójnych wyborów miał już całkiem stracić zainteresowanie układem z PO. Ale nie czyni z tego zarzutu prezesowi PiS, tylko raz jeszcze sobie. Bo zgrzeszył naiwnością, biorąc za dobrą monetę ich osobistą umowę o wspólnych rządach, czego w polityce nigdy nie wolno robić. Tymczasem należało wtedy przygotowywać alternatywne warianty na wypadek kryzysu projektu PO-PiS. Spróbować chociażby porozumieć się z propaństwową częścią ówczesnej elity SLD, czyli takimi politykami jak Marek Belka oraz Jerzy Hausner, dzięki czemu być może udałoby się ocalić rozumną politykę przed szaleństwem polaryzacji.

W tych pozornie zaskakujących rozważaniach odbija się jednak ogólne przeświadczenie Rokity, że polityka przed Tuskiem i Kaczyńskim była lepsza. Z nostalgią wspomina reformatorskie lata 90. i martwi go wykoślawiona społeczna pamięć o tamtej dekadzie. Mniej więcej w jej połowie, będąc politykiem solidarnościowej opozycji, mobilizował ponadpartyjne poparcie, żeby pomóc rządzącym postkomunistom przepchnąć ustawę o ważnej reformie administracji rządowej. Dzisiaj to brzmi jak bajka o żelaznym wilku, ale w tamtym czasie takie historie były możliwe.

Nie nagina się również pod współczesne prawicowe narracje. Nadal broni dobrej pamięci o swoim politycznym mistrzu Bronisławie Geremku oraz polemizuje z prawicową legendą „nocnej zmiany" z 1992 r. Jakiś czas temu sam nawet przypomniał w jednym z artykułów, że osobiście złożył w Sejmie wniosek o wotum nieufności dla rządu Olszewskiego, a z kolei rola Tuska w tamtych wydarzeniach została po latach nadmiernie zdemonizowana. Toteż kiedy później politycy PiS próbowali po występach Rokity ponownie sklejać go z „lewym czerwcowym", nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Po pierwsze, katolik

Jak więc pogodzić szacunek do własnej przeszłości ze współczesnym prawicowym Rokitą? Daje do zrozumienia, że po prostu pogodził się z realiami. Jako polityk przegrał, gdyż jego ideał polityczny nie został zrealizowany. Z kolei w beztreściowej polityce, która sprowadza się do samego konfliktu, już nie widział dla siebie miejsca. Musiał zatem wreszcie przyjąć do wiadomości, że czasy się zmieniły i stare nie wróci. W tej sytuacji nie można ślepo trzymać się kryteriów z minionej epoki, bo jeżeli programy polityczne stały się już tylko mniej lub bardziej istotną dekoracją, nikt rozumny nie będzie się przecież nimi kierował w swoich wyborach.

I tak nie pozostaje nic innego, jak po prostu przestawić obiektyw na inne rozumienie polityki. Kierować się wyłącznie zasadniczymi orientacjami, co Rokita nazywa wyborem metapolitycznym, czyli odnoszącym się do spraw najważniejszych. – *A dla mnie akurat najważniejsza jest religia, chociaż pewnie nigdy nie byłem z tą sferą jakoś szczególnie kojarzony. W pierwszej kolejności uważam się jednak za katolika i dopiero później Polaka* – tłumaczy. I tak oto we współczesnym konflikcie kulturowo-cywilizacyjnym, który dosięga przecież nawet idei Boga, jego wybór staje się jednoznaczny.

Ale to nie wszystko, bo jednocześnie Rokita utożsamia chrześcijaństwo z Zachodem. I z tego bierze się jego żelazne poparcie dla Ukrainy. Tłumaczy, że panicznie boi się wschodnich despotii. Nie tylko Rosji, ale i Chin, Korei Północnej, Iranu. To jest właśnie „oś zła", której należy się jednoznacznie przeciwstawiać. I w tej sytuacji zaatakowana Ukraina okazuje się najdalej wysuniętym przyczółkiem Zachodu.

I według Rokity jest to wystarczający powód, żeby Ukrainy bezwzględnie bronić. Inne argumenty są dla niego drugorzędne. Choćby nawet miało chodzić o polską rację stanu. Tym bardziej kwestie historycznej pamięci nie powinny nam mącić obrazu. Rokita zresztą nie wyklucza, że Ukraina stanie się dla nas państwem wrogim, choć i to nie wpływa na jego podejście. A już w ogóle zdaje się nie przejmować nasilającymi się atakami na ukraińską diasporę w Polsce. Zresztą jego zdaniem to tylko nagłaśniane w mediach incydenty.

A na samej górze metapolitycznej konstrukcji ustawia figurę Donalda Trumpa, którego w realiach globalnej cywilizacyjnej konfrontacji uznaje za jedynego przywódcę chrześcijańskiego Zachodu. Pod każdym względem, zarówno w polityce zagranicznej, kiedy atakuje Iran, jak i wewnętrznej, kiedy powstrzymuje „szaleństwo" kulturowej lewicy. Bez względu na rozliczne i powszechnie znane ułomności Trumpa. W logice wyboru metapolitycznego ważniejszy jest sam kierunek polityki, ogólna ambicja, wskazanie celu.

Wszystkie istotne przed laty wartości tracą z kolei znaczenie. Nawet demokracja wcześniej czy później zapewne upadnie po kolejnym szalonym ruchu wahadła pomiędzy skrajnymi biegunami. Dawny Rokita byłby taką wizją przerażony, ale dzisiejszy ze spokojem zapowiada być może nieuchronne nadejście autokracji. Sam zresztą nie tak dawno w tekście o Piłsudskim pochwalił marszałka za przeprowadzenie zamachu majowego. A przecież wiadomo, że kiedy tego rodzaju refleksje ogłasza autor niebędący zawodowym historykiem, to raczej na pewno używa historii jedynie jako kostiumu i chce nam sprzedać jakąś aktualną rację.

Ale czy tak jest również w przypadku 67-letniego byłego polityka, który niemal przez całe życie szukał sposobu, żeby się odróżnić od otoczenia? Czy naprawdę pragnie uczyć myślenia, czy też po prostu lubi być oryginalny i robić ferment? Zapytany o to, Jan Rokita cytuje znane słowa Antoniego Słonimskiego: „W monarchii będę rewolucjonistą, a w republice będę wielbił króla". Ale w jakim celu to robi, to już pewnie wie tylko on sam.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 0eac8d3e91

Marsz „Polska za pokojem" z udziałem prawicowych polityków europosła Grzegorza Brauna oraz posła na Sejm RP Włodzimierza Skalika. Na fot. Kamraci w strojach organizacyjnych pod logo ruchu gaśnicowego Brauna.

© MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

Dobrze, że nie jest jutro

Rozmowa z politologiem Davidem Ostem o tym, jak prawicowi populiści podbierali wyborców demokratom, i o tym, że to się zaczęło już w czasach Solidarności.

JAKUB HALCEWICZ: **– Mija właśnie 50 lat od pierwszego pana pobytu w Polsce. Co w niej robił młody amerykański lewicowiec?**

DAVID OST: – Studiowałem na State University of New York w Stony Brook. Trafiłem na wyjątkowy moment historyczny – *détente*, czyli odprężenia między Wschodem a Zachodem. Dzięki temu mogłem studiować w Moskwie, a później we Wrocławiu. Pierwszy raz przyjechałem do Polski w styczniu 1976 r., w ostatnim roku gierkowskiego dobrobytu. W 1981 r. wróciłem już jako doktorant. Chciałem pisać o polskiej opozycji. Był marzec, trwał kryzys bydgoski.

Czyli moment szczególnego napięcia między komunistycznymi władzami a Solidarnością.

Pojechałem do Gdańska, nikogo nie znając. Kupiłem gazetę, w której przeczytałem o strajku okupacyjnym w Bydgoszczy. Znalazłem pociąg, byłem na miejscu akurat w dniu pobicia Jana Rulewskiego przez milicję. Powiedziałem, że jestem dziennikarzem. Wpuszczono mnie do okupowanego budynku. To, co zobaczyłem, było niezwykle ciekawe: odbywały się powszechne głosowania w najróżniejszych sprawach. Mówili mi: „Pan jest Amerykaninem. Przepraszamy, nie umiemy jeszcze robić demokracji tak jak wy". Odpowiadałem: „To, co tutaj widzę, jest demokracją, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem".

To było aż tak ciekawe?

Byłem wielkim entuzjastą idei społeczeństwa obywatelskiego i jednym z pierwszych, którzy o niej pisali. Fascynowała mnie wizja demokracji, która nie opiera się ani na rynku, ani na wszechwładnym państwie, ale na aktywnych obywatelach. Próbowałem opisać doświadczenie Solidarności jako projektu nowej demokracji. Już wtedy jednak pisałem, że ta wizja zderzy się z rzeczywistością państwa. ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶To znaczy?

W 1991 r. wróciłem do Polski. Było jasne, że entuzjazm, który pamiętałem z lat 1980–81, zniknął. Wszyscy oczekiwali, że teraz będzie lepiej, ale niewiele osób rozumiało Okrągły Stół i zachodzące zmiany.

A wybory 4 czerwca?

Nie stały się symbolem zmiany dla zwykłych ludzi. Nie było jednego momentu, jednej uroczystości, jednego dnia, kiedy wszyscy mogliby powiedzieć: „Od dziś żyjemy w nowym państwie". A kiedy wróciłem dwa lata później, zobaczyłem już coś zupełnie innego: ogromne bezrobocie, upadające fabryki i narastające rozczarowanie. Wtedy zrozumiałem, że transformacja stanie się najważniejszym tematem moich badań. Jeździłem do Mielca, Stalowej Woli, na Śląsk. Do Mielca trafiłem akurat tuż po dużym strajku w Polskim Zakładzie Lotniczym, tzw. strajku rozpaczy. Pukałem do drzwi biur Solidarności, rozmawiałem z ludźmi w zakładach, nocowałem w hotelach robotniczych. Nie przyjechałem z gotową tezą. Chciałem po prostu słuchać. Pytałem: „Co się dzieje? Jak żyjecie? Co myślicie?".

Zrozumiał pan tam, że Solidarność się kończyła?

Robotnicy mówili, że zostali sami. Że nie wiedzą już, kto reprezentuje ich interesy. Nie mogą liczyć ani na państwo, ani na związek zawodowy. Jednocześnie widziałem, że lokalni działacze Solidarności, często świetni, wykwalifikowani robotnicy, sami stawali się zwolennikami liberalnych reform. Coraz częściej starali się tylko studzić gniew własnych załóg, zamiast go reprezentować. Awansowali, trafiali do nowych instytucji państwa. Budowali system. Politycznie oznaczało to coś bardzo ważnego: ruch, który wcześniej reprezentował robotników, przestawał to robić.

Dawni liderzy za szybko stali się strażnikiem nowego systemu?

Pamiętam rozmowę z działaczem Unii Demokratycznej w Rzeszowie przed wyborami w 1993 r. Zapytałem o pomysły na zdobycie głosów robotników z Mielca i podobnych miast. Odpowiedział mniej więcej: „Będzie trudno, nie możemy niczego obiecać, trzeba zacisnąć pasa". Pomyślałem, że politycznie to musi skończyć się katastrofą. Ruch, który zorganizował miliony ludzi, zmarnował swój kapitał społeczny. Pamiętam pierwsze numery „Gazety Wyborczej": lekcje business English, wskazówki, jak się zachowywać w zachodnim świecie, np. żeby nie nosić białych skarpet do czarnych butów. Problem polegał na tym, że „Gazeta" mówiła niemal wyłącznie do powstającej klasy średniej. Robotnicy mieli się dostosować.

Kiedy zobaczył pan, kto może ich przejąć?

Nie od razu było jasne, że robotnicy pójdą na prawo. Ale prawica zaczęła dostrzegać tę pustkę szybciej niż liberałowie. Chyba w 1993 r. w Stalowej Woli zobaczyłem plakat zapowiadający spotkanie Mariana Jurczyka. Poszedłem. Znałem go z I Zjazdu Solidarności i wiedziałem, że reprezentuje nurt narodowy. Mówił, że wszystko idzie źle, ponieważ Polską rządzą ludzie, którzy zmienili nazwiska – czyli Żydzi. Jurczyk przedstawiał się jako obrońca polskich robotników, używając antysemickiego języka.

W kolejnych latach prawica coraz pewniej budowała własną narrację. Jurczyk, a później Porozumienie Centrum, mówili: „Dawni przywódcy was zdradzili, naród został zdradzony". Oraz: „Polską nie rządzą prawdziwi Polacy, władzę i własność trzeba oddać narodowi". W ten sposób gniew, który kiedyś organizowała demokratyczna opozycja, zaczął być organizowany przez nacjonalistyczną prawicę.

Pana nowa książka nosi tytuł „Red Pill Politics". „Czerwona pigułka" – pojęcie przejęte przez prawicę z filmu „Matrix" – ma oznaczać przejrzenie na oczy i odrzucenie rzekomych kłamstw liberalnych elit. W Polsce zobaczył pan ten mechanizm wcześniej niż na Zachodzie?

Moja książka „Klęska Solidarności" ukazała się po angielsku w 2005 r., zanim PiS po raz pierwszy doszedł do władzy. Pisałem w niej, że prawica znajduje się w bardzo dobrej sytuacji, bo liberalne centrum i lewica przestały reprezentować ludzi pracy. W Polsce właściwie nie było już lewicy – większość jej środowisk starała się udowodnić, że są przede wszystkim liberałami. Widziałem więc, jak robotnicy i ludzie spoza elit przestają utożsamiać się z lewicą, a zaczynają z nacjonalistyczną prawicą. To właśnie jest punkt wyjścia „Red Pill Politics". Najpierw zobaczyłem to w Polsce, potem podobne procesy zacząłem dostrzegać w Stanach Zjednoczonych i w wielu krajach Zachodu.

W Polsce widziałem, że liderzy Solidarności, którzy wcześniej uważali się za demokratyczną lewicę i rzeczywiście budowali społeczeństwo obywatelskie, po zwycięstwie nie potrafili już zdobyć szerokiego poparcia. Tymczasem prawica zaproponowała język, który przypominał wczesny język ruchów faszystowskich: pozbądźmy się liberałów, zbudujmy politykę wyłącznie dla narodu, a wszystko będzie dobrze – z mistyczną wizją narodu jako wspólnoty, która rozwiąże wszystkie problemy.

Czy współcześni prawicowi populiści to już faszyści?

W każdym kraju trwa podobna dyskusja. Moja teza jest następująca: faszyzm i prawicowy populizm to są dwa typy tej samej polityki, którą nazywam polityką Red Pill, używając terminu z prawicowej manosfery. Dzisiejsi „populiści" nie stosują przemocy na skalę dawnego faszyzmu, ale mają podobne prawicowe poglądy i cele. Odwołują się do wykluczającej natury „narodu", dążą do antyliberalnego systemu, przejmując od lewicy robotników i osoby spoza elity. Pisząc „Red Pill Politics", postanowiłem wrócić do źródeł i przeczytać o faszyzmie wszystko, co mogłem. Niewiele osób naprawdę zastanawia się, czym był faszyzm jako zjawisko polityczne.

Do jakiego wniosku pan doszedł?

Pod koniec XIX w. wszyscy widzieli rosnącą siłę robotników i partii socjalistycznych. Klasyczna prawica była elitarna. Bała się mas. Tymczasem faszyści powiedzieli: jesteśmy prawicą, ale jesteśmy też masą, stoimy po stronie robotników. To była ich najważniejsza innowacja. Gardzili elitami, bo uważali, że są zbyt słabe, zbyt liberalne i nie potrafią „po męsku", czyli nawet stosując przemoc, rozprawić się z przeciwnikami.

Nie inspirowali buntu, tylko go przejęli?

Robotniczy bunt już istniał. Pytanie brzmiało: kto go zorganizuje i nada mu polityczny kierunek. Przez długi czas robiły to partie socjalistyczne. Po pierwszej wojnie światowej socjaldemokracja coraz słabiej organizowała robotników i coraz rzadziej występowała przeciwko kapitalizmowi. W tę pustkę weszli faszyści. Przypomniało mi to Polskę po 1989 r. Liberałowie i dawna lewica przestali mówić językiem ludzi pracy. Prawica zrobiła dokładnie odwrotnie.

Ci ludzie często rozstrzygają o wyniku wyborów. Czy ich reprezentowanie jest dziś zadaniem lewicy, czy całego mainstreamu?

Nie chodzi już tylko o lewicę, ale o przyszłość liberalnej demokracji. Oczywiście na Zachodzie to właśnie socjaldemokracja przez dziesięciolecia była jednym z jej fundamentów. Łączyła

eprasa.pl 0eac8d3e91

wartości liberalne z reprezentowaniem ludzi pracy. Dlatego kiedy mówię dziś o lewicy, mam na myśli szeroki obóz demokratyczny – liberałów i socjaldemokratów, którzy wspólnie przeciwstawiają się radykalnej prawicy.

W epoce globalizacji osób niezadowolonych jest bardzo wiele. Prawica potrafi skutecznie kierować ich frustrację przeciwko migrantom, mniejszościom, kobietom czy innym przeciwnikom.

A strona liberalna nadal „wie lepiej"?

Czasami odnoszę takie wrażenie. W Polsce dodatkowo istnieje silna tradycja inteligencji jako moralnego przewodnika społeczeństwa. Nie wszędzie na Zachodzie wygląda to podobnie. W Stanach Zjednoczonych intelektualiści nigdy nie cieszyli się takim prestiżem. Bohaterami byli raczej przedsiębiorcy niż ludzie pióra. Z pewnym niepokojem słucham, kiedy pojawia się język typu „my, demokraci". To może sprawiać wrażenie, że część społeczeństwa jest z definicji mniej rozumna albo mniej odpowiedzialna.

Mówi pan o Polsce, ale „Red Pill Politics" chyba przede wszystkim jest książką o Ameryce. Czego dziś najbardziej się pan obawia?

Kiedy zaczynałem pisać, sytuacja była poważna, ale nie aż tak zła jak dziś. Z roku na rok staje się coraz bardziej niebezpieczna. Takiemu ruchowi jak Trumpa nie wystarcza zwycięstwo wyborcze. Widać to choćby w polityce imigracyjnej. Ludzie są zatrzymywani na ulicach i trafiają do ośrodków dla imigrantów, do których nawet kongresmeni – wbrew prawu – nie są wpuszczani. Wprawdzie sądy często uznają później, że administracja działała niezgodnie z prawem, ale w międzyczasie system zmienia się dzień po dniu. Sędziowie, którzy orzekają nie po myśli administracji Trumpa, są zastępowani osobami lojalnymi wobec prezydenta.

Gdy patrzę na przypadki deportacji, czuję się jak nie-Żyd w nazistowskich Niemczech – osoba, która nie jest na celowniku władzy i nie angażuje się w opór, może mieć wrażenie, że jej to jeszcze nie dotyczy. Państwo mówi: „pracuj, żyj spokojnie, nie sprzeciwiaj się".

Aż tak?

Władza zaczyna wyraźnie wskazywać nowych wrogów. Słyszymy zapowiedzi tworzenia struktur mających walczyć z lewicą, która znów jest przedstawiana jako „komunistyczna" czy „terrorystyczna". Podejmowane są próby ograniczenia finansowania organizacji obywatelskich wspierających środowiska demokratyczne.

Chodzi nie tylko o to, by kogoś skazać. Chodzi o wywołanie strachu. Przeciwko protestującym wszczynane są setki postępowań. Większość z nich ostatecznie upada w sądach, bo protestowanie jest legalne. Ale ludzie muszą zatrudniać prawników, wydawać pieniądze, żyć przez wiele miesięcy z pytaniem: „czy trafię do więzienia?". I właśnie o to chodzi – by przestali protestować.

Najbardziej boję się nie pojedynczych decyzji, ale tego, że krok po kroku zmienia się charakter państwa. Pojedyncze zmiany z osobna mogą wydawać się niewielkie. Razem tworzą jednak zupełnie nową rzeczywistość.

Trumpowi pozostało jeszcze dwa i pół roku prezydentury. Tegoroczne wybory do Kongresu prawdopodobnie zostaną przegrane przez jego obóz, ale nie wiemy, czy ich wynik zostanie zaakceptowany. Od ponad roku stosuję takie powiedzenie: „*The only good thing about today is that it is not yet tomorrow*" (dzisiaj jedyną dobrą rzeczą jest to, że to jeszcze nie jutro).

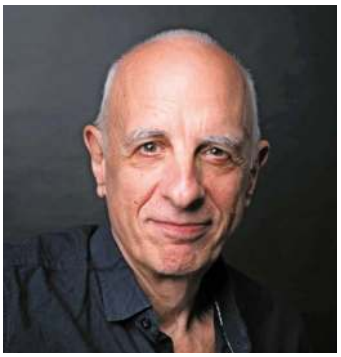

David Ost – politolog, autor m.in. książek „Solidarność a polityka antypolityki", „Klęska Solidarności". Publikował w polskiej prasie, m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Dzienniku". W Stanach Zjednoczonych jego artykuły ukazały się m.in. w „The New York Times" i „The Nation".

Intelektualista i historyk Tony Judt uważał, że demokrację chroni pamięć o katastrofach XX w., zwłaszcza o Holokauście. Pan twierdzi, że pamięć nie wystarczy.

Zgadzam się z Judtem, ale zwracam uwagę na coś innego. Interesuje mnie nie tylko faszyzm jako przemoc, ale także to, w jaki sposób faszyści zdobywali poparcie. Faszyzm wyrósł ze słabości demokracji liberalnej; pokazał, co się dzieje, gdy wielkie grupy społeczne czują się ekonomicznie wykluczone i politycznie porzucone.

Demokracja nie obroni się sama?

Nie. Ona wymaga ciągłego zdobywania społecznego poparcia. Nie wystarczy mieć racji ani odwoływać się do wartości. Trzeba jeszcze przekonać ludzi, że są częścią wspólnoty i że ktoś naprawdę reprezentuje ich interesy. Jeżeli demokratyczne centrum przestanie rozmawiać z ludźmi rozczarowanymi, ostatecznie skapituluje. I właśnie dlatego cały czas wracam do tego samego pytania: kto potrafi zorganizować społeczny gniew i w czyim imieniu będzie mówił? To jest najważniejsze pytanie współczesnej polityki.

Trump nie wydaje się już porywać tłumów tak jak w 2016 r., nie organizuje gniewu mas. Czy to znaczy, że fala radykalnej prawicy słabnie?

Nie wyciągałbym z tego zbyt daleko idących wniosków. Kiedy taki ruch zdobywa władzę, jego logika się zmienia. Na początku chodzi o mobilizację mas, później coraz bardziej o utrzymanie kontroli nad państwem i instytucjami. Tę logikę widzieliśmy zresztą także w Polsce.

Czy sukces Zohrana Mamdaniego w Nowym Jorku pokazuje, że ludzi oddanych wcześniej prawicy można odzyskać?

Mamdani pokazał, że ludzie niezadowoleni bynajmniej nie są trwale przypisani do radykalnej prawicy. Ich wyborami nie zawsze kieruje spójna ideologia. Mamdani zdobył duże poparcie wśród mniej uprzywilejowanych Nowojorczyków, ponieważ ich słuchał i odpowiadał na zgłaszane przez nich problemy, zamiast mówić, że tylko on wie, czego potrzebują. W polityce socjaldemokratycznej ludzie zachowują podmiotowość: mogą formułować własne postulaty i uczestniczyć w ich realizacji. To daje pewną nadzieję. Radykalna prawica nie ma monopolu na gniew ani na wyborców spoza elit. Lewica może ich odzyskać, jeśli potraktuje ich nie jako biernych odbiorców, lecz jako obywateli mających głos.

Dlaczego mimo wszystko warto jeszcze wierzyć w demokrację?

Kiedyś ludzie żyli w trudniejszych czasach niż obecne. Wielu ryzykowało własne bezpieczeństwo, walcząc o zmiany, których czasem nie udawało im się doczekać. Demokracja nie jest czymś gotowym i skończonym – to działanie z wiarą, że świat może być sprawiedliwy.

ROZMAWIAŁ KUBA HALCEWICZ

© JULITA DELBAR

eprasa.pl 0eac8d3e91

Piękna, czysta i biała

Dużo mówi się o tym, że Polską ostatnio zachwyca się zachodnia prawica. A krajowi prawicowcy puchną z dumy, bo oto spełnia się marzenie każdego polskiego patrioty: zyskujemy szacun na dzielni.

Warszawska ul. Złota zamieniona w zielony deptak

eprasa.pl 0eac8d3e91

ZIEMOWIT SZCZEREK

Nie jest tajemnicą, że do niedawna niemieccy, holenderscy czy brytyjscy nacjonaliści raczej nie przepadali za Polakami, którzy kojarzyli się im z zabierającymi pracę ich rodakom migrantami z biednej, zabłoconej, szarej i zalkoholizowanej Europy Wschodniej. Dziś wszystko się zmieniło: zachodni konserwatyści przecierają na filmikach z naszego kraju oczy ze zdumienia. Wiadomo: relatywnie niewielu tu u nas migrantów, czysto na ulicach (przynajmniej w centrum Warszawy, gdzie kręcone są najbardziej entuzjastyczne materiały). I nawet jeśli wiele z tych rzeczy to polityczna manipulacja, nakręcana przez rasistowską prawicę próbującą znaleźć „idealny biały kraj", lub – jak czasem można przeczytać w komentarzach na prawicowych profilach – „ostatnie refugium białych" czy „rezerwat europejskiej kultury" – nasi narodowcy mają powód do dumy: w końcu zostaliśmy przyjęci do klubu szkolnych twardzieli i z prześladowanego ucznia w brudnym i potarganym mundurku staliśmy się jednymi z tych, którzy mogą poniżać innych.

Jest to jednocześnie i zabawne, i jednak jakoś tragicznie zrozumiałe. Nawet jeśli ten „nowy, pozytywny stereotyp Polski" trudno traktować na serio. Bo owszem, Polska się faktycznie zmienia, ale przecież nadal poza Warszawą, centrami większych miast i autostradową infrastrukturą nie wygląda to wszystko jakoś specjalnie wystrzałowo. Zwłaszcza w porównaniu z oceniającym nas Zachodem: nadal bogatszym i pełnym zabytków długiego, arcydługiego trwania.

Łyżkę dziegciu włożył naszej prawicy Norweg Varg Vikerness, weteran black metalu o neonazistowskich ciągotach, który odsiedział karę za morderstwo i stał się ostatnio guru światowych edgy'owych skrajnych prawicowców. Wymienił w swoich społecznościówkach Polskę jako jeden ze swoich mniej ulubionych krajów, a to, co pisze czy mówi Varg, traktuje się w środowiskach jego wyznawców jak prawdę objawioną. Zapytany przez swych zdziwionych followersów, dlaczego Polskę ocenił tak źle – przecież to taki idealny biały kraj – odpowiedział właściwie słowo w słowo to, co mówili politycy niemieckiej AfD po akcji Sławomira Mentzena, w ramach której nasz naczelny konfederata pojechał do Berlina przypominać Niemcom, że ich przodkowie ponad 80 lat temu zniszczyli Warszawę. Słowem, Varg napisał, że Polacy płaczliwie kreują się na wieczne ofiary, które wszystko co złe próbują zrzucić na Niemcy. Trudno sobie wyobrazić, jak polscy skrajni prawicowcy mogą wybaczyć Mentzenowi ściągnięcie na Polskę niechęci najbardziej cool europejskiego „nacka".

Na szczęście jednak Polską zachwycają się ostatnimi czasy nie tylko rasiści i turbokonserwatyści. Zachwycają się nami również inne bańki, choć każda z innego raczej powodu: o ile zachodnia prawica chwali Polskę białą i konserwatywną, o tyle liberałom podoba się Polska europejska i modernizacyjna, zbrojąca się, by przed Rosją bronić europejskich wartości. Co bardziej liberalni Niemcy, ci, którzy nie przepadają za AfD, zachwycają się sąsiadem, który w końcu przełamał stereotyp nieudacznika z jego niewydolną *Polnische Wirtschaft*, a Czesi podziwiają nasz gospodarczy i infrastrukturalny awans i cieszą się tym, że pojawił się w końcu na północy kraj, do którego można jeździć bez ryzyka urwania zawieszenia samochodu, nabawienia się dolegliwości żołądkowych czy zostania okradzionym albo oszukanym, słowem – Czechom, jak w grze komputerowej, odblokowała się plansza na północ od Sudetów i Śląska, która do tej pory była raczej zatrzaśnięta na głucho i opisana hasłem „środkowoeuropejska wersja Syberii".

Dla liberalnej części Słowacji staliśmy się symbolem tego, czym mógłby być ich kraj, gdyby nie marnował czasu na prorosyjską politykę i upartyjnianie państwa przez ekipę Ficy, a na Litwie z kolei nasz stereotyp, wyznaczany do niedawna przez figurę Polaka z Wileńszczyzny, którego poglądy stanowią coś w rodzaju zagubionego ogniwa pomiędzy polskim religijnym konserwatyzmem a rosyjskim putinizmem, zmienił się w obraz potencjalnego obrońcy i sojusznika.

Wspólny mianownik tych zachwytów? Polska to kraj tradycyjny, który jednak zmienia się, buduje i idzie szybciej, niż Zachód i sąsiedzi się spodziewali. A to jest już bardzo bliskie starej zasadzie *creative tension*, kreatywnego napięcia pomiędzy wykluczającymi się pozornie cechami, wymyślonego dwie dekady temu dla Polski przez Wally'ego Olinsa, brytyjskiego specjalistę od brandingu, w tym od wymyślania narodowych strategii wizerunkowych. Człowieka, którego na początku lat dwutysięcznych polskie państwo wynajęło do naprawy swojego międzynarodowego obrazu. By – jak mówił sam Olins – wyrwać Polskę z jej ówczesnego wizerunku: kraju postkomunistycznego, szarego, błotnistego, nudnego i absolutnie nieciekawego, znajdującego się w samym środku tej mocno dla Zachodu niekonkretnej Europy, w której Słowenia myli się ze Słowacją, w której nie wiadomo, czy Polacy to przypadkiem nie Rosjanie, a Budapeszt i Bukareszt to jedno i to samo.

Mało kto bowiem zdaje się pamiętać, że przed tym polskim ostatnim *nation-brandingowym* zrywem, który kojarzy się z „chlebowością" i dymisją odpowiedzialnej za ten projekt prof. Barbary Mróz-Gorgoń, był jeszcze jeden. Również niezbyt udany. Sprawa skończyła się definitywnie dojściem do władzy PiS w 2005 r.: Wally Olins rzucił wtedy swoją robotę, bo – jak wspominał w późniejszych rozmowach z prasą – partia Kaczyńskich ze swoim konserwatyzmem, religijnymi obsesjami, obskurantyzmem („gejowskie Teletubisie"), krzykliwością, małostkowością, międzynarodową roszczeniowością, polskim egotyzmem i przede wszystkim katastrofalnym wizerunkiem w ówczesnej liberalnej Europie, „niszczyła wszystko", co Olinsowi udało się zbudować.

Samo pojęcie nation brandingu jest stosunkowo młode, XX-wieczne, ale różnice w postrzeganiu cech poszczególnych narodów, państw i krain są tak stare, jak kontakty z obcymi i ich opisywanie. Starożytni Grecy dzielili świat na siebie i „barbarzyńców": Persowie byli dla nich zniewieściali, miłujący luksus i podporządkowani despotom. Dla Rzymianina z kolei Grek był inteligentny, wygadany, ale śliski. Później Bizantyjczycy uważali łaciński Zachód za prymitywny, nieokrzesany i agresywny. Arabscy autorzy opisywali północnych Europejczyków jako wielkich, silnych, brudnych ludzi o dziwacznych obyczajach. Europejczycy odwzajemniali się stereotypem muzułmanina jako bogatego, zmysłowego, okrutnego i podstępnego.

Wewnątrz samej Europy też działała gotowa mapa charakterów. Francuzi uchodzili za eleganckich, lecz próżnych, Niemcy – za wojowniczych, ociężałych i wiecznie pijanych, Włosi – za inteligentnych, wyrafinowanych i zdradliwych, a Anglicy – za brutalnych i aroganckich. Słowian, jeśli ich w ogóle dostrzegano, ▶

© DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ przedstawiano jako twardych, lecz prymitywnych ludzi dalekich ziem na wschodzie, którymi często się pogardzało jako barbarzyńcami, szczególnie jeśli pochodziło się ze wschodnich marchii Niemiec i miewało z tymi Słowianami kontakt.

Sama Polska w oczach Zachodu była w średniowieczu krajem na obrzeżach chrześcijaństwa: świeżo ochrzczonym, odległym i nadal barbarzyńskim (ten wizerunek wykorzystywali np. Krzyżacy w antypolskich kampaniach, czy – jak byśmy dziś powiedzieli – hybrydowych walkach psychologicznych. Słowem, wtedy również byliśmy dla Zachodu europejskimi świeżakami, którymi jesteśmy z różnych powodów do tej pory.

Polska kojarzyła się też z rozległością, lasami, zimnem. Po unii z Litwą była coraz częściej postrzegana jako wielkie, nieco egzotyczne mocarstwo europejskiego Wschodu, broniące Europy przed niespecjalnie skonkretyzowanymi „wschodnimi hordami". Nie robiła jednak na ówczesnych Europejczykach specjalnie kuszącego wrażenia. Cóż: byliśmy jednym z niewielu krajów na świecie, z którego uciekł nawet król, bo miał ciekawsze rzeczy do roboty niż rządzenie Polską, i którego to króla Henryka Walezego dworzanin Philippe Descortes pozostawił po sobie pamflet na nasz kraj, w którym pisał wprost, że do Polski, „ziemi wiecznych mrozów, wiecznej zimy" z jej „lodowatymi płaszczyznami" za nic w świecie nie wróci. „Nienawidzę twoich równin, w których nigdy śnieg nie taje" – otrząsał się z obrzydzeniem Descortes po ucieczce z Polski u boku Walezego – „wstrętnym mi jest i twój naród, i powietrze, i zwyczaje". Warto przytoczyć ten wiersz szerzej, jest bowiem idealnym przykładem budowania (anty)marki.

„Polskie domy, polskie izby! Złoty wiek przypominacie, bowiem ludzie z bydlętami gnieżdżą się we wspólnej chacie" – pisał Descortes. „Lachy harde, lekkomyślne, barbarzyńskie, próżno chcecie Marsa wojowniczą sławę na szerokim zyskać świecie. Drzemać zwykliście za stołem półprzytomni, podchmieleni, wykąpani w win czerwieni – pijanice zatraceni! Żeście dotąd niepodbici przez sąsiadów, moi drodzy" – wyzłośliwiał się Descortes – „to nie przeto, żeście mężni, ale przeto – że ubodzy. Gdyby Polska miała klimat bardziej ciepły, bardziej miły, gdyby w niej bogate skarby i wystałe wina były. Miasta, rzeki, moc towarów słynnych z ceny i dobroci, wówczas diabli by was wzięli bardzo prędko, moi złoci...".

To wtedy właśnie, niedługo po końcu średniowiecza, europejskie stereotypy zaczęły przypominać te dzisiejsze. I nadawać europejskim ludom ich „charakter", rzekomo „przyrodzony" i „niezmienny". Podróżnicy ówcześni opisywali Polskę mniej więcej w duchu Descortesa: kraj nudny, paskudny, zacofany, zabłocony, pozbawiony infrastruktury, a do tego obskurancki i tyrański: polska prymitywna i bigoteryjna szlachta gnębi polskich chłopów tak, że ci nie mają czasu ani możliwości tworzyć oddolnej kultury ludowej, podobnej do tej, jaką tworzyły warstwy ludowe na Zachodzie, i zmuszeni są do wegetacji w prostackich budach z drewna, krytych słomą i tonących w błocku.

W oświeceniu Polska miała na Zachodzie wizerunek ambiwalentny: z jednej strony uchodziła za kraj zacofany, feudalny i anarchiczny: z liberum veto, magnacką oligarchią, słabym państwem i chłopskim poddaństwem – i tak ją opisywali zachodni wpływowi intelektualiści, na czele z Wolterem. Z drugiej jednak strony fascynowała jako osobliwa republika szlachecka, przywiązana do wolności i niechętna absolutyzmowi.

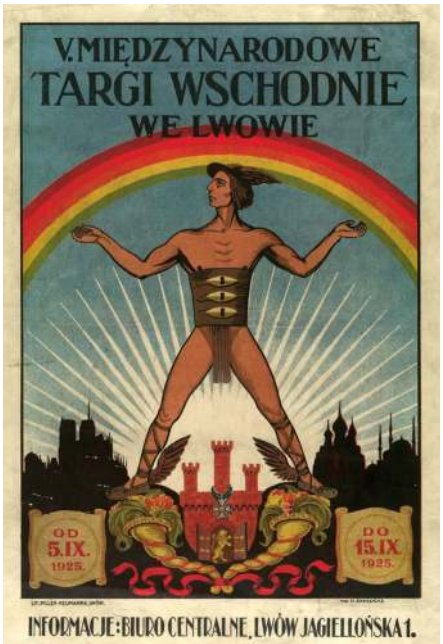

Jak się promowaliśmy w przeszłości. Od lewej: **portret polskiego szlachcica, rysunek z 1810 r. Polskie**

Z biegiem czasu państwa zapragnęły kontrolować sposób, w jaki widzą je inni. XIX-wieczne wystawy światowe np. były gigantycznymi pokazami narodowych tożsamości. Wielka Brytania przedstawiała na nich swoją przemysłową i imperialną potęgę, Niemcy – technikę i rzetelność. Później podobną rolę zaczęły odgrywać igrzyska olimpijskie, kampanie turystyczne itd. Ówczesna Polska nie mogła jednak wówczas niczego kontrolować i budować własnej marki, bo jej nie było: nie miała państwa, dyplomacji ani instytucji, które przedstawiałyby ją światu. Wizerunek Polaków poprawiali emigranci i powstańcy: był to obraz Polski romantycznej, rewolucyjnej, walczącej „za wolność naszą i waszą", wizerunek narodu-bojownika przeciw tyranii.

I tego właśnie chwycił się na początku XXI w. próbujący na nowo określić naszą markę Wally Olins. „Włosi kojarzą się ze stylem, Hiszpanie – z namiętnościami" – mówił po latach. „Polakom zamierzałem nadać kreatywną niepokorność i zadziorność".

Dopiero w międzywojniu Polska po raz pierwszy mogła świadomie budować własną markę państwową, a nie tylko narodową legendę: kraj wracał po 123 latach, miał nieustalone granice i na Zachodzie kojarzył się jednocześnie z romantycznym męczeństwem i zacofanym wschodem. Dlatego promowano przede wszystkim „Polskę odrodzoną" – państwo historycznie stare, ale jednocześnie młode, nowoczesne i dynamiczne. Najważniejszym narzędziem były wystawy światowe.

W Paryżu w 1925 r. spektakularny sukces odniosło polskie art déco; późniejsze ekspozycje łączyły modernizm z folklorem i historią. W Paryżu w 1937 r. pokazywano nowoczesną architekturę, wzornictwo, film, koleje, przemysł, turystykę i naukę; nagrodzona została aerodynamiczna lokomotywa Pm36. PKP, Lot i instytucje turystyczne produkowały ciekawe graficznie plakaty, na których Polskę sprzedawano przez Tatry, Kraków, Warszawę, folklor, uzdrowiska, ale też kolej, samoloty i nowocześniejące miasta. Kulminacją był Nowy Jork 1939. Hasłem ekspozycji była właściwie

eprasa.pl 0eac8d3e91

plakaty z dwudziestolecia międzywojennego. Plakat propagandowy z PRL, 1949 r.

„przeszłość i przyszłość Polski": przed pawilonem stanął zwycięski Jagiełło z mieczami grunwaldzkimi i słynna „złota wieża", a wewnątrz prezentowano historię, sztukę, rozwój komunikacji, „Polskę na morzu", przemysł, rolnictwo i rzemiosło. Świadomie, co ciekawe, ograniczano martyrologię. Ogólny przekaz brzmiał: Polska należy do cywilizacji łacińskiej, ma tysiącletnią historię, ale w 20 lat stworzyła sprawne, nowoczesne państwo. Czyli znów coś, co później Wally Olins nazwał „kreatywnym napięciem". Gdynia, COP, Lot i kolej miały dowodzić modernizacji, a Chopin, Wawel i Jagiełło – historycznej głębi.

W czasie drugiej wojny światowej wizerunek Polski na Zachodzie przeszedł od bohaterskiej ofiary agresji do kłopotliwego, z czasem coraz mniej istotnego sojusznika. We wrześniu 1939 r. Polska była pierwszym państwem, które stawiło zbrojny opór Hitlerowi; symbolem stały się Warszawa i Westerplatte. Później markę podtrzymywały Polskie Siły Zbrojne: lotnicy w bitwie o Anglię, Anders i Monte Cassino, Maczek w Normandii, polska marynarka oraz Armia Krajowa. Ważnym elementem przekazu było istnienie Polskiego Państwa Podziemnego – dowodu, że okupowany kraj nadal funkcjonuje politycznie. Problem pojawił się po wejściu ZSRR do koalicji antyhitlerowskiej. Katyń, konflikt z Moskwą i sprawa granic czyniły Polskę niewygodną dla aliantów: zaczęliśmy robić za szalonego hamulcowego, który na własną zgubę utrudnia budowę antyhitlerowskiej koalicji.

W PRL istniały właściwie dwa konkurencyjne wizerunki Polski. Oficjalny, promowany przez państwo, przedstawiał ją jako kraj odbudowany z wojennych ruin, nowoczesny, uprzemysłowiony, pokojowy i bezpiecznie osadzony w „obozie socjalistycznym". Eksportowymi symbolami były odbudowana Warszawa, Nowa Huta, przemysł stoczniowy, Chopin, polska szkoła plakatu, film, później także sukcesy sportowe. Turystyczna propaganda chętnie pokazywała Kraków, Tatry, Mazury i folklor, unikając szarej codzienności realnego socjalizmu.

Jak jednak w mediach twierdził specjalista od narodowego brandingu Andreas Markessinis: „Dopóki stereotypy są prawdziwe, są niemożliwe do usunięcia, żaden branding ich nie usunie, nic nie zmieni faktów". Dlatego na Zachodzie obraz Polski był znacznie bardziej złożony: Polska uchodziła za najbardziej niesforny i kulturowo „zachodni" kraj bloku wschodniego – katolicki, silnie narodowy, okresowo buntujący się przeciw Moskwie. Październik 1956, protesty 1968, 1970 i 1976, wybór Jana Pawła II, a przede wszystkim Solidarność, stworzyły niezwykle silną markę Polski jako społeczeństwa oporu. Utrwalił się jednak również obraz kraju szarego, biednego i represjonowanego, ale zarazem pełnego politycznej energii. Z Wałęsą, papieżem, Solidarnością i walką o wolność. Oraz standardowo – postkomunistyczną szarzyzną, błotem i zimnem.

Po 1989 r. kraje postsocjalistyczne próbowały uciec od etykiety „szarego Wschodu": biedy, blokowisk, Ład, kolejek i postsowieckiej prowincjonalności. Polska, Czechy i Węgry zaczęły przedstawiać się jako Europa Środkowa, czyli część Zachodu czasowo porwana przez komunizm. Estonia poszła dalej: odcinała się od postsowieckości, ciążyła wizerunkowo ku Skandynawii (jak inne kraje bałtyckie, tworząc koncepcję tzw. Bałto-Skandii) i zbudowała markę E-stonii – internetu, e-administracji, start-upów i błyskawicznej modernizacji. Słowenia podkreślała Alpy, zieleń, design i związki z Austrią oraz Włochami. Łotwa promowała się jako „The Land that Sings", wykorzystując tradycję masowych festiwali pieśni.

Wspólnym zabiegiem było zastępowanie ikon komunizmu kolorem, młodością i *coolness*: odrestaurowane starówki, kawiarnie, festiwale, kluby, tanie city breaki, design, kuchnia i natura. Czasem z przegięciem w drugą stronę, jak w Macedonii, gdzie rząd Nikoli Gruewskiego (jednego z „nieliberalnych" polityków, który znalazł azyl przed własnym wymiarem sprawiedliwości w orbanowskich Węgrzech) rozpoczął gigantyczną przebudowę centrum, mającą udowodnić, że Macedonia nie jest żadnym posocjalistycznym szarym betonem, tylko spadkobierczynią starożytnej Macedonii: modernistyczne i socjalistyczne fasady oblepiano mającymi wyglądać na starożytne gipsowymi kolumnami, tympanonami i pseudobarokowym detalem, stawiano monumentalne gmachy, mosty oraz dziesiątki pomników. Przeszłość przesuwano więc albo przed komunizm – do Pragi Habsburgów, średniowiecznego Tallina czy dawnej Europy Środkowej – albo całkiem w przyszłość, ku technologii i kreatywności. Tak wyglądały próby ponownego umieszczenia regionu na „mentalnej mapie Europy".

Ostatnio coś się zmieniło. Zamiast przekonywać Zachód, że „wcale nie jesteśmy szarym Wschodem", młodsze pokolenie zaczęło tę wschodniość przejmować, przerysowywać i sprzedawać na własnych zasadach. Internetowym symbolem stał się squatting Slav: przykucnięty dresiarz w Adidasie, blokowisko, papieros, słonecznik, wódka, stary samochód, techno i postsowiecka architektura. To, co wcześniej było oznaką zacofania, stało się memem i estetyką. Nastąpiło więc odwrócenie mechanizmu: „tak, jesteśmy ze Wschodu – ale to my zdecydujemy, co ten Wschód znaczy". Dawny kompleks peryferii zaczął być przerabiany w ironię, nostalgię i kulturowy kapitał. Może więc, szukając pomysłu na rebranding, przestać uciekać przed samym sobą i stawić czoła własnej „wschodniości", a nawet przekuć ją w atut.

ZIEMOWIT SZCZEREK

© POLONA, EAST NEWS (2), FORUM

eprasa.pl 0eac8d3e91

Pralnia fartuchów

Jak odbudować zaufanie do lekarzy? Co kilka lat potwierdzać ich prawo do wykonywania zawodu – proponuje dr Łukasz Rákász, pomysłodawca think tanku Niezależni Eksperci Zdrowia.

AGNIESZKA SOWA: **Ile pan zarabia, panie doktorze? Kiedyś takie pytanie byłoby nietaktem, dziś nie sposób go nie zadać.**

ŁUKASZ RÁKÁSZ: No, nie sposób po doniesieniach medialnych o lekarzach milionerach, choć nadal pozostaje nietaktem. Nawet jeżeli założymy, że przypadek młodego człowieka ze Szpitala Południowego, który – jak się wydaje – dyżurował w kilku miejscach jednocześnie, czy spółki neurochirurgów rozliczającej w NFZ inne zabiegi niż rzeczywiście wykonywano, to czarne owce, jakie mogą się trafić w każdym środowisku, i tak ucierpiała na tym opinia o całej grupie zawodowej. Która zresztą nie jest najlepsza już od lat.

Ludzie bardziej ufają doktorowi Google niż własnemu lekarzowi.

Dodam jeszcze, że niektórzy chodzą do kilku specjalistów jednocześnie, żeby wzajemnie ich weryfikować. Co czasem kończy się trzema różnymi opiniami od trzech różnych specjalistów, a lekarz POZ nie koordynuje tych działań. Nie ma takiego systemu opieki zdrowotnej, który by to wytrzymał finansowo. Nie mówiąc już o skutkach społecznych tak głębokiego braku zaufania.

Do zaufania zaraz wrócimy. Nie odpowiedział pan na pytanie o wysokość zarobków. Zatem: ile i czy jest pan na kontrakcie?

Oczywiście jestem na kontrakcie, jak niemal wszyscy lekarze. Prawie wszyscy pracują jako B2B, *business to business*, bo po prostu nie opłaca się inaczej. Ale to nie lekarze wymyślili ten system. Co do mnie, nie mam procentu od wykonanych zabiegów, bo nie chciałem takiej formy wynagrodzenia. Według mnie to ona odpowiada za dużą część patologii w ochronie zdrowia, bo wtedy zarówno samym lekarzom, jak i wszystkim pracującym w systemie ochrony zdrowia zależy przede wszystkim na tym, żeby wykonano jak najwięcej procedur. Nie mierzy się wyniku leczenia, ale liczbę wykonanych procedur.

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0eac8d3e91

W propozycjach ministerstwa nie ma nic o praktyce „procent od procedury". Jest za to propozycja, by lekarz musiał być zatrudniony na przynajmniej pół etatu.

System opieki zdrowotnej wymaga bardzo dużych zmian i można wprowadzać obowiązek zatrudnienia na etacie przynajmniej w jednym miejscu pracy, ograniczenie liczby godzin dyżurów czy maksymalnej stawki godzinowej, ale to nie da żadnej gwarancji poprawy standardów, bo ich nie ma. Dlatego zmiany trzeba zbudować na fundamentach, a takim fundamentem jest według mnie odbudowa zaufania do zawodu lekarza. I oczywiście zdaję sobie sprawę, że tego nie zrobi się od razu. Zaufanie traci się szybko, a odbudowuje latami.

Jak to zrobić, skoro, jak pan sam powiedział, w ochronie zdrowia nie ma oceny jakości, liczy się tylko liczba wykonanych procedur?

Zacznijmy od tego, jak jest. Dziś przyszły lekarz po skończeniu uczelni, zdaniu egzaminu LEK, odbyciu stażu i okazaniu zaświadczenia o dobrym stanie zdrowia z automatu dostaje dożywotnie prawo wykonywania zawodu. Prawa tego nie weryfikuje ani rynek, ani pacjent, który w tej układance jest pionkiem.

Czy naprawdę człowiek, który ma dostęp do naszego ciała, zdrowia, dokumentacji medycznej i najbardziej intymnych informacji o naszym życiu, powinien raz na zawsze otrzymywać społeczne zaufanie tylko dlatego, że kiedyś ukończył studia i uzyskał prawo wykonywania zawodu? Skoro pacjent musi ufać lekarzowi w najtrudniejszych chwilach życia, to kto i jak regularnie sprawdza, czy lekarz nadal zasługuje na to zaufanie? Jaka jest motywacja do trzymania standardów, skoro etyczni i nieetyczni lekarze jadą na tym samym wózku. Dlatego uważam, że należy prawo wykonywania zawodu uczynić odnawialnym.

Czyli dla niektórych nieodnawialnym?

Nie skupiałbym się na kiju, lecz na marchewce. Marchewką jest społeczne zaufanie. Ale również własne poczucie, że ciągle nadaję się do wykonywania tego skomplikowanego, ale wspaniałego zawodu. I nie ma w tej propozycji niczego niezwykłego, bo przecież podobne rozwiązania są w innych branżach społecznie newralgicznych. Piloci, kierowcy autobusów, ludzie obsługujący elektrownie jądrowe i przedstawiciele wielu innych zawodów muszą weryfikować co jakiś czas swoje umiejętności. I w wielu krajach na świecie lekarz też jest takim zawodem. Przez 15 lat pracowałem w różnych miejscach na świecie, m.in. w Wielkiej Brytanii. I tam każdy lekarz posiadający licencję musi przechodzić rewalidację, a jej celem jest potwierdzenie, że nadaje się do wykonywania zawodu.

A co o tym decyduje?

Brytyjski model opiera się m.in. na corocznych ocenach, danych z praktyki klinicznej oraz informacjach z systemów nadzoru jakości; rekomendacja jest zwykle budowana na podstawie ocen z pięciu lat. Przy czym nie musimy kopiować rozwiązań z innych państw. Możemy wypracować własne.

Nie boi się pan, że koledzy pana znienawidzą?

Nie sądzę, żeby tak się stało. Taki system oceny nie ma być polowaniem na lekarzy. Przeciwnie – powinien chronić pacjentów i uczciwych lekarzy przed tymi, którzy niszczą zaufanie do całego środowiska. Przecież tych dobrych i rzetelnych jest dużo więcej niż tych, którzy wolą iść na skróty. Rewalidacja nie powinna być kolejnym egzaminem, systemem kontroli ani mechanizmem opresji. Powinna być systemem stworzonym dla lekarzy, który pomaga im utrzymywać aktualne kompetencje, świadomie planować rozwój zawodowy i otrzymywać odpowiednie wsparcie, zanim pojawi się zagrożenie dla pacjenta.

Pacjent zagrożenia upatruje dziś w samym lekarzu, zastanawiając się np., czy nie będzie taniej amputować mu stopę cukrzycową, zamiast prawidłowo leczyć cukrzycę.

Rozmawiam z kolegami lekarzami i wszyscy mają głęboki, wewnętrzny żal o to, że rozpętała się taka nagonka na medyków. Chcieliby się od tego odciąć, wyraźnie powiedzieć, że to nie oni. I że nawet jeżeli niektórzy z naszych kolegów, którzy z nami pracują pod jednym szyldem, nie spełniają norm moralnych i prawnych, to nie oznacza, że można potępić całe środowisko. I bardzo by chcieli odbudować to zaufanie. A czy jest lepszy sposób niż wprowadzenie systemu, który pomagałby lekarzom kształcić się i doskonalić, by ostatecznie przejść weryfikację?

W założeniach to brzmi dobrze, tylko kto ma być tym uchem igielnym?

Jest już instytucja, która mogłaby się tym zająć, opracować ramy rewalidacji lekarzy – Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Dziś w Polsce lekarz ma obowiązek doskonalenia zawodowego. Powinien uzyskać co najmniej 200 punktów edukacyjnych w 48-miesięcznym okresie rozliczeniowym, a niedopełnienie tego obowiązku odnotowuje się w rejestrze. Punkty edukacyjne potwierdzają udział w szkoleniach, konferencjach czy innych formach kształcenia. Nie są natomiast odpowiedzią na pytanie, czy lekarz nadal jest osobą godną zaufania, czy dobrze współpracuje z zespołem, czy pacjenci nie boją się go pytać, czy dokumentacja jest prowadzona rzetelnie, czy nie ma skarg, czy nie doszło do zachowań moralnie nie do pogodzenia z wykonywaniem zawodu.

Wiedzę da się sprawdzić, ale jak zmierzyć moralność?

Trzeba zacząć od bezpieczeństwa pacjenta. Rejestrować wszelkie błędy, zdarzenia niepożądane oraz sposób reagowania na nie i gotowość do wyciągania wniosków. Postawę wobec pacjenta również można wymiernie ocenić. Liczba skarg, ich charakter. Nawet empatię czy stosunek do pacjenta można łatwo określić. To, co dostajemy dziś w komentarzach po wizytach, wiele nam mówi o specjaliście. Ważne są również relacje, jakie lekarz ma w zespole, przecież to często praca zbiorowa. Trzeba umieć współpracować z pielęgniarką, z ratownikiem medycznym, panią salową, innymi lekarzami, przyszłymi lekarzami. To bywa lekceważone, a przecież jest bardzo istotne.

Szpital czy choćby przychodnia działają jak zespół naczyń połączonych. Pacjent rzadko leczony jest przez jednego człowieka. Opiekuje się nim cały zespół. Jeśli lekarz jest arogancki, zastrasza współpracowników, nie słucha pielęgniarek, lekceważy młodszych kolegów albo tworzy atmosferę strachu, to cierpi na tym pacjent. Kultura pracy w medycynie nie jest sprawą towarzyską. Jest sprawą bezpieczeństwa.

A co z tymi, którzy tej rewalidacji nie przejdą?

Biały fartuch to nie immunitet. A skoro tak, to ziarna trzeba odsiewać od plew. Standardowa procedura powinna przewidywać różne ścieżki: zwykłe przedłużenie prawa wykonywania zawodu dla lekarzy pracujących dobrze; obowiązkowy plan naprawczy dla tych, u których pojawiają się problemy; czasowe ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ ograniczenie uprawnień tam, gdzie zagrożone jest bezpieczeństwo pacjentów, aż po odebranie prawa wykonywania zawodu w przypadkach rażących, udowodnionych naruszeń.

Tym, którzy się w wyznaczonych standardach nie mieszczą, trzeba też pokazać ścieżki, możliwości, jak wrócić na te tory, których my jako społeczeństwo oczekujemy. Przy czym rewalidacja nie może być biurokratyczną fikcją. Nie może polegać na odhaczeniu kolejnego formularza. Powinna być poważnym przeglądem zawodowym, przeprowadzanym co kilka lat, z udziałem samorządu lekarskiego, pracodawców, bazującym na danych o jakości świadczeń, ewentualnych skarg pacjentów i opinii współpracowników.

Tak to powinno wyglądać w idealnym systemie ochrony zdrowia, ale my żyjemy w kraju, w którym naprawdę brakuje lekarzy, zwłaszcza specjalistów. Podaż nie nadąża za popytem, jakość schodzi na drugi plan, a pan jeszcze chce ograniczać podaż.

Ale czy to oznacza, że mamy brać każdego, kto się zgłosi? Nie mamy możliwości weryfikowania, który z lekarzy jest dobry. Dostajemy bylejakość, bo zgadzamy się na bylejakość. A będzie jeszcze gorzej, bo powstało wiele uczelni medycznych i nie wiemy, jaki będzie poziom wykształcenia części absolwentów. Coraz więcej jest też lekarzy, którzy przyjeżdżają z zagranicy i po zdaniu egzaminu oraz zdobyciu prawa wykonywania zawodu nie ma później żadnego systemu ich weryfikacji.

Jaka jest gwarancja, że system nie zacznie usuwać dobrych lekarzy, a promować tych złych, ale z dojściami?

Lekarz powinien mieć prawo do obrony, do wyjaśnień i do niezależnej oceny przed innym gremium. Nie wolno budować mechanizmu, który będzie służyć do politycznych rozgrywek, zemsty przełożonych albo uciszania niewygodnych osób. Ale sprawiedliwość wobec lekarza nie może oznaczać obojętności wobec pacjenta. Lekarz nie jest zwykłym usługodawcą. Pacjent nie przychodzi do niego jak do mechanika. Nie wystarczy być sprawnym technicznie, żeby być bardzo dobrym lekarzem. Skoro nie potrafi się porozumiewać z pacjentem, rozmawiać z nim, zdobyć jego zaufania, to może źle wybrał zawód i powinien go zmienić?

Dr n. med. **Łukasz Rákász**, neurochirurg dziecięcy, ordynator Oddziału Neurochirurgii Dziecięcej w Szpitalu Dziecięcym im. prof. dr. med. Jana Bogdanowicza w Warszawie. Przez kilkanaście lat pracował poza Polską, m.in. w Wielkiej Brytanii i Nowej Zelandii. W ramach Niezależnych Ekspertów Zdrowia kieruje pracami nad koncepcją zmian w systemie opieki zdrowia. Publicznie zabiegał o obowiązek jazdy w kasku dla dzieci (wszedł w życie w czerwcu), za co w 2025 r. Stowarzyszenie Partnerstwo dla Bezpieczeństwa Drogowego przyznało mu tytuł Osoby Roku.

I znowu wracamy do zaufania.

Bo jest kluczowe. Zawód lekarza zawsze był zawodem zaufania publicznego i dlatego miał szczególną pozycję społeczną. W Wielkiej Brytanii lekarz jest traktowany jako osoba szczególnego zaufania. W niektórych sytuacjach może poświadczać dokumenty, podobnie jak przedstawiciele innych zawodów zaufania publicznego. Dlatego nawet zachowania poza pracą, jak prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu, nie są uznawane za prywatną sprawę. Taki incydent lekarz ma obowiązek zgłosić. Bo czy osoba, która w ten sposób narusza prawo i naraża innych, nadal daje gwarancję odpowiedzialnego wykonywania zawodu, w którym powierza się jej zdrowie i życie? Jako wynik takiego postępowania lekarz może dostać upomnienie lub naganę, albo nawet czasowe ograniczenie prawa wykonywania zawodu (np. na czas leczenia odwykowego). Aż po jego odebranie, jeśli odmawia terapii albo podobne sytuacje się powtarzają. Tu nie ma żartów, bo chodzi o bezpieczeństwo pacjentów.

Mówi się dużo o potrzebie wprowadzenia systemu „no fault", niekarania lekarzy za nieumyślne błędy czy zdarzenia nieprzewidziane.

Uważam, że w tej chwili jest na to za wcześnie, ale jeżeli wprowadzimy system rewalidacji prawa wykonywania zawodu, jakiejś oceny pracy lekarza, to jak najbardziej. W tej ocenie trzeba też jasno odróżnić błąd od nieuczciwości. Lekarz jest człowiekiem. Może się pomylić. Medycyna jest trudna, a wiele decyzji zapada pod presją czasu, w stresie i przy braku pełnych informacji. Błąd powinien być otwarcie raportowany, prowadzić do analizy, nauki i poprawy systemu. Ale czym innym jest błąd, a czym innym świadome fałszowanie dokumentacji, zaniedbywanie obowiązków, ukrywanie faktów, nadużywanie dostępu do danych pacjenta, pogarda wobec chorego czy uporczywe łamanie zasad etyki. Takie zachowania, jeśli zostaną udowodnione i powtarzają się mimo planu naprawy, powinny eliminować z pracy w zawodzie zaufania publicznego.

System należy zmienić nie dlatego, że społeczeństwo chce zemsty, lecz dlatego, że pacjent nie ma jak samodzielnie sprawdzić lekarza w chwili zagrożenia. Gdy trafiamy na SOR, nie prosimy lekarza o portfolio, opinie zespołu i historię skarg. Zakładamy, że system wcześniej to sprawdził. Jeśli system tego nie robi, to pacjent, najsłabsze ogniwo w tym łańcuchu, zostaje z tym sam.

To jeszcze raz zapytam: ile pan zarabia, panie doktorze?

Sama kwota, bez informacji o liczbie godzin, dyżurów, zakresie odpowiedzialności i charakterze wykonywanej pracy, niewiele wyjaśnia. Nie chciałbym więc sprowadzać tej rozmowy do mojego indywidualnego wynagrodzenia. Znacznie ważniejsze jest pytanie, za co system powinien płacić lekarzom: za liczbę procedur czy za dostępność, odpowiedzialność, jakość i wynik leczenia? Gdy przejrzyście odpowiemy na to pytanie dla całego systemu, pojedyncze kwoty przestaną budzić aż takie emocje.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA SOWA

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 0eac8d3e91

Andrzej J. zabił partnerkę, a za jej pieniądze kupił znicz, żeby ją upamiętnić. Potem w miejscu zbrodni symulował samobójstwo, żeby przekonać, jak cierpi. Motyw zabójstwa stary jak świat: zazdrość. Okoliczności: niespotykane.

Zazdrosny na śmierć

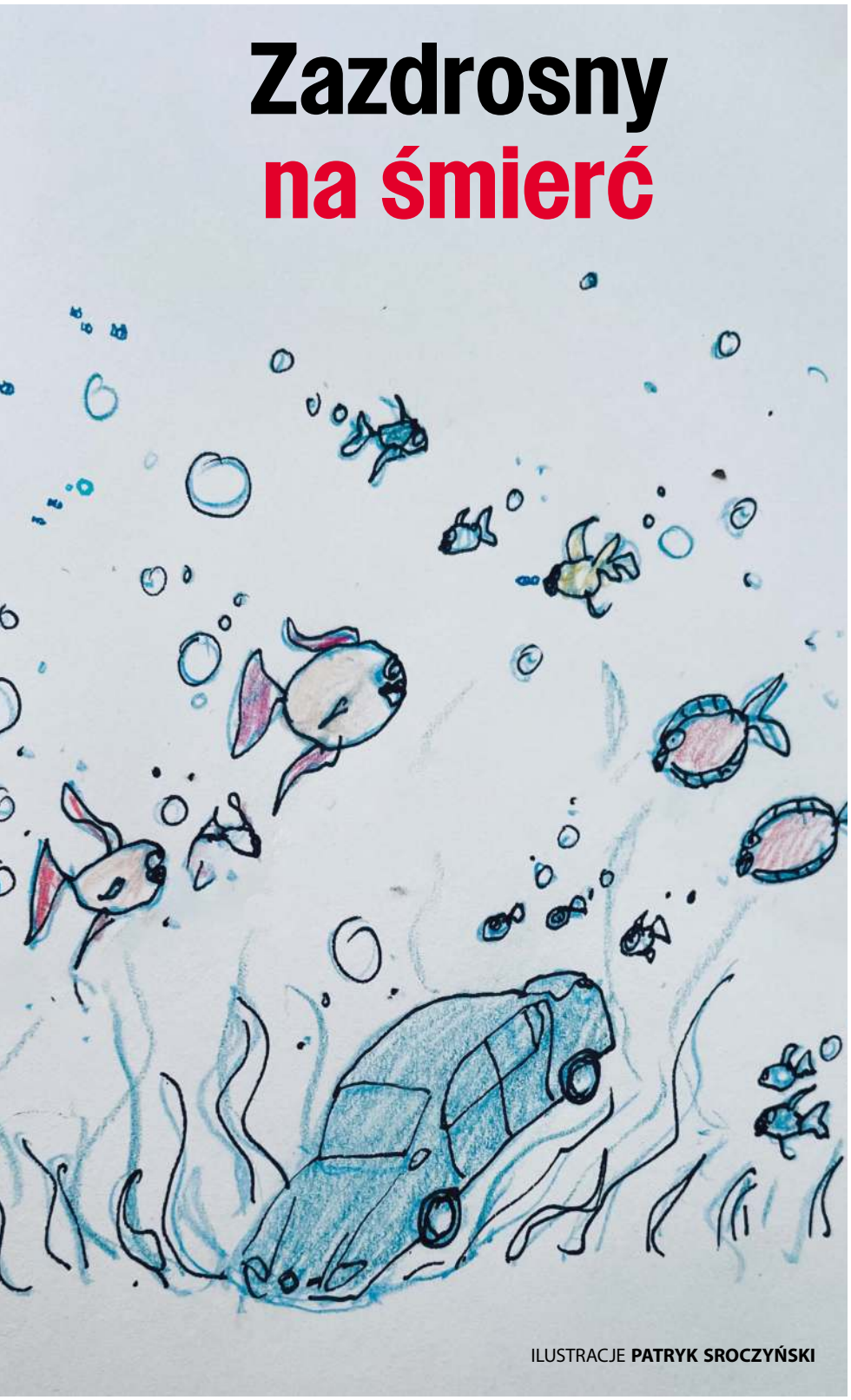

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

ZBIGNIEW BOREK

Śląscy policjanci mówią o nim Utopek, bo tonął dwa razy. W obu przypadkach rzekomo. Za pierwszym razem cudem uszedł z życiem z samochodu, który stoczył się do jeziora wraz z jego partnerką (jej nie udało mu się uratować – również rzekomo). Za drugim razem uratowali go strażacy, ale w sumie Utopek o to zadbał, bo rzekomą próbę samobójczą relacjonował w internecie. Prawie udało mu się ze wszystkiego wyłgać: prokuratura umorzyła sprawę.

– *Kobieta nie żyje, a ten wolny, jakby nigdy nic się nie stało. To było dla nas nie do przyjęcia* – mówi jeden z policjantów z katowickiego Archiwum X (32 lata stażu, niemal od początku w służbach kryminalnych). Wzięli akta na warsztat, a finał był taki, że Andrzej J. został skazany na 25 lat więzienia. Nieprawomocnie – jesienią rusza proces apelacyjny. Wyrok trudno będzie jednak podważyć, bo zebrane przez śledczych poszlaki tworzą spójny łańcuch wskazujący na sprawcę. Z dokładnością co do minuty ustalili nawet to, kiedy zazdrość pchnęła J. do zbrodni. I jaką w tym rolę odegrał były mąż jego ofiary.

Live

34-letnia Aneta H.-M., ekspedientka w sklepie spożywczym, rozwódka, mama dwojga dzieci (z pierwszego związku). Andrzej J., dwa lata od niej młodszy, kawaler. Z zawodu górnik, pracujący fizycznie przy produkcji tapicerowanych mebli. Mieszkali w powiecie wodzisławskim, w sąsiadujących ze sobą małych wsiach na granicy z Czechami. Przypadli sobie do gustu w 2017 lub 2018 r. „Bardzo ją kochałem i ona mnie też. Powiedziała mi, że lata spędzone ze mną to są najlepsze lata jej życia" – mówił śledczym. Często zabierał ją nad Roszków Bobrowy (powiat raciborski). To duży, 50-hektarowy akwen, który powstał po wydobyciu żwiru. Biorą tu karpie, szczupaki, okonie, czasem sumy. Andrzej z Anetą też wędkowali. Zwykle grillowali, popijali alkohol („tyle, żeby się upić"), a potem spali w samochodzie. Ich ulubiona miejscówka to osłonięta ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ krzakami polanka, brzeg po trawie i piasku łagodnie schodzi do wody. Samochód parkowali na górce (ok. 10 m od wody) i przodem do akwenu, żeby widok był ładny. Tak było również nocą z 10 na 11 lipca 2021 r.

Andrzej J. nie zaciągnął hamulca. Nie chciał, by drążek uwierał Anetę. „Nigdy wcześniej tak się nie zdarzyło, żeby bieg się wybił. Nie wiem, czy to ona wybiła bieg nogą, czy ja lekko kolanem" – zeznawał. Oboje spali. Andrzej obudził się, kiedy Renault Thalia uderzyło o wodę: w aucie sięgała już siedzeń, na zewnątrz do połowy okna. Zbudził Anetę, złapał ją za dłoń i otworzył drzwi, żeby ją wyciągnąć. „Kochanie, ja cię uratuję" – miał powiedzieć. Gwałtownie wlewająca się do środka woda wyrwała jednak jej dłoń z jego ręki. Wypłynął na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza, po czym zanurkował, żeby ją ratować, ale samochód wciąż toczył się po pochyłym dnie i Andrzej nie był już w stanie zejść tak głęboko. Dopłynął do brzegu i zaczął wzywać pomocy. Taką wersję przedstawił w śledztwie.

Krzyki Andrzeja J. usłyszał jeden z wędkarzy. Powiadomił strażaków. – *Przyjechaliśmy błyskawicznie* – mówi reporterowi Rafał Kramarczyk, szef Ochotniczej Straży Pożarnej w Roszkowie. – *Nad wodę mamy tylko 2 km, ale po samochodzie nie było już śladu. Próbowaliśmy go namierzyć z łódek bosakami. Bez skutku* – wspomina Kramarczyk. Udało się to dopiero nurkom ze specjalistycznej ekipy (jedynej takiej na Śląsku) z Bytomia. Renault z martwą Anetą na siedzeniu pasażera zatrzymał się na głębokości 5 m.

Żadnych świadków zajścia nad Roszkowem Bobrowym nie było, a J. utrzymywał, że to był nieszczęśliwy wypadek. Według jego bliskich wcześniej był spokojny i wesoły, ale śmierć partnerki go zmieniła: stał się przybity, pogrążony w żałobie. „Cały czas płakał i mówił: Panie Boże, czemuś zabrał Anetę, ona miała dzieci, czemu żeś mnie nie zabrał, bo ja jestem kawalerem. Po kilka razy dziennie jeździł na grób Anety" – zeznawała jego matka. Bliscy oskarżonego przekonywali, że Aneta i Andrzej byli dobraną parą, nigdy się nie kłócili, a związek traktowali przyszłościowo: coraz częściej wspominali, że chcą się pobrać.

Dwa i pół miesiąca po śmierci Anety w tym samym miejscu i w ten sam sposób Andrzej z rozpaczy postanowił odebrać sobie życie – tak przedstawił to w relacji live na platformie społecznościowej. Jego znajomi powiadomili policję, ta zaś strażaków. Do samobójstwa nie doszło. 31 grudnia 2021 r., niespełna pół roku po wyłowieniu ciała Anety, Prokuratura Rejonowa w Raciborzu umorzyła śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci (art. 155 kk, kara: od 3 miesięcy do 5 lat więzienia). Decydujące były brak świadków, a także obdukcja. Wykonujący ją lekarz Andrzej Rychlewski stwierdził „uduszenie gwałtowne w wyniku utonięcia". Nie stwierdził: zmian urazowych ani cech wskazujących na działanie innych osób. Umorzenie wstrząsnęło bliskimi Anety. Napisali zażalenie. Trzy miesiące później śledztwo oficjalnie wznowiono. Sprawa trafiła do Archiwum X i pod nadzór Prokuratury Okręgowej w Gliwicach. Po kolejnych dwóch latach, 18 stycznia 2024 r., Andrzeja J. aresztowano pod zarzutem zabójstwa (art. 148 kk, kara: nawet dożywocie).

Eksperyment

„Wypowiedzi J. co do pobytu nad wodą są niespójne, nieprecyzyjne, wielokrotnie się wykluczają" – odnotowują śledczy. Zauważają, że tego dnia panował skwar, o godz. 22.00 termometr wskazywał jeszcze 25 st. C. W samochodzie musiało być jak w piekarniku, Aneta miała na sobie tylko koszulkę z krótkim rękawem i majtki, Andrzej był nago, a mimo to wszystkie okna i drzwi miały być zamknięte. J. rzekomo ratował ukochaną, ale najwyraźniej nie wiedział, że samochód pod wodą obrócił się do góry kołami – ustalili „archiwiści".

Archiwum X to nazwa dla mediów rodem z amerykańskiego serialu o agentach FBI badających niewyjaśnione zagadki kosmiczno-kryminalne. Tak naprawdę to Sekcja Przestępstw Niewykrytych. Zatrudnia pięciu ludzi w dwóch niezbyt dużych pokojach Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach. Budynek ma charakterystyczną bryłę: długi, zaokrąglony front przypomina fragment ogromnego łuku albo wycinek pierścienia. Sekcja znajduje się w starym skrzydle. Idziemy tam. Stare biurka, na nich komputery. Regały po sufit, wielki ekran. I wszędzie piętrzą się akta. – *Przeglądamy, wertujemy, każdy wątek badamy w tę i z powrotem. Czasem ustalimy sprawcę, ale nie możemy tego udowodnić. Z płaczem zawiązujemy na aktach wstążeczkę i odkładamy w prawdziwym archiwum* – mówi jeden z członków zespołu.

W przypadku z Roszkowa Bobrowego nic im nie pasowało: opowieść, jak to w środku nocy samochód stoczył się do wody „sam z siebie", bohaterska próba ratunku, do tego ostentacyjna żałoba i naciągana próba samobójcza. Andrzej z Anetą popijali niby równo, ale on miał 0,8 promila alkoholu we krwi, a ona aż 2,4 promila. Przy tej drugiej wartości występują silne zaburzenia koordynacji ruchowej, drastycznie spada zdolność logicznego myślenia i kontrola nad

eprasa.pl 0eac8d3e91

zachowaniem. Jak nic ją upił – podejrzewali policjanci. I podkreślają, że wznowione śledztwo to zespołowa robota także prokuratorów, ekspertów, biegłych i nurków, którzy w eksperymencie procesowym pomogli odtworzyć scenariusz lipcowej nocy 2021 r.

Swoje auto Andrzej J. niezwłocznie po odbiorze z policyjnego parkingu oddał na złom. Gdy do akcji weszło Archiwum X, po Renault Thalii nie było już śladu ani w punkcie skupu, ani w hucie, która go przetopiła. Eksperyment przeprowadzono więc z identycznym samochodem. Zjeżdżał ze skarpy kilka razy, z różnymi prędkościami, ale z jednakowym skutkiem. „Z uzyskanych ekspertyz bezsprzecznie wynika, że wskazany przez Andrzeja J. przebieg zdarzenia nie mógł mieć miejsca" – podkreślała w trakcie procesu prokurator Karina Spruś, a inna osoba zaangażowana w śledztwo ujmuje to tak: – *Opis Utopka przeczył prawom fizyki*.

Biegły wykazał, że niemożliwe jest, aby samochód ruszył z miejsca poprzez przypadkowe „wybicie biegu". J. nie otworzyłby drzwi tonącego auta w opisany przez siebie sposób, a nawet gdyby tego dokonał, absolutnie nie dałby rady ich zamknąć – i nie zrobiłaby tego samoistnie woda. A drzwi Renault Thalii po wyłowieniu feralnej nocy były zatrzaśnięte. Sposób, w jaki dryfowało topione eksperymentalnie auto, nie pasował z kolei do opisu rzekomej próby ratowania Anety. Opadając na dno, samochód musiałby przygnieść osobę usiłującą się z niego wydostać przez drzwi od strony kierowcy.

„Oskarżony najpierw chciał wziąć udział w eksperymencie, a potem się wycofał. Dlaczego? Bo nie umiał pływać, panicznie bał się wody. Zeznali o tym świadkowie. On w wodzie, jeśli już do niej wchodził, używał ułatwiających pływanie rękawków dla dzieci" – podkreślał w mowie końcowej mec. Tomasz Stec, pełnomocnik rodziny ofiary. Wskazał na cynizm Andrzeja J., zwracając się bezpośrednio do niego: „Po wyłowieniu auta z wody pytał pan, czy może zabrać butelkę wódki i papierosy".

Na policjantach z Archiwum X i na prokuratorach szczególne wrażenie wywarło to, że po zamordowaniu Anety zabójca korzystał z jej karty bankomatowej. Zaczął, zanim ofiara spoczęła w grobie. Między 14 a 17 lipca 2021 r. wypłacił łącznie 1,7 tys. zł i dokonał siedmiu płatności. W tym za znicz, który zapalił w miejscu zbrodni. Mec. Michał Zdanowicz, adwokat Andrzeja J., twierdził, że ten przez rozpacz i roztargnienie nie zdawał sobie sprawy, czyjej używa karty. Obrońca usiłował też podważyć wyniki ekspertyz, ale sądu nie przekonał.

Billing

J. uczestniczył w rozprawie w trybie telekonferencji z aresztu. Przyznał się tylko do użycia karty bankomatowej ofiary, absolutnie – jak podkreślił – nie do zabójstwa, po czym odmówił składania wyjaśnień. W ostatnim słowie nie przeprosił, nie wyraził skruchy, domagał się uniewinnienia. Po trwającym dziewięć miesięcy procesie 6 lutego 2026 r. Sąd Okręgowy w Rybniku uznał jednak, że oskarżony zepchnął samochód z pijaną partnerką w kierunku wody, a potem urządził spektakl wzywania pomocy i żałoby. Wyrok: 25 lat więzienia.

Motywem zbrodni była ponadnormatywna zazdrość. Andrzej kontrolował Anetę na każdym kroku. Gdy była u fryzjera, musiała odebrać od partnera kilkanaście esemesów z pytaniem, jak długo jej jeszcze zejdzie. „On traktował ten związek poważnie, ale Aneta nie, był dla niej kierowcą, towarzyszem do spędzania czasu. Nieraz mu mówiła, że odejdzie od niego, a on twierdził, że ją zabije" – mówił na procesie pełnomocnik jej rodziny. Dlaczego jednak J. zamordował ukochaną w środku nocy, w trakcie romantycznej schadzki? To wyjaśnił billing.

O godz. 02:43:06 i 02:43:18 zadzwoniła komórka Anety. Połączenia wykonano z niemieckiego numeru telefonu. Aneta ich nie odebrała, bo już spała. Utopek też spał, ale znów: rzekomo, na co wskazywała aktywność na jego własnej komórce. – *Musiał słyszeć, że dzwoni telefon jego ukochanej, a że jest chorobliwie zazdrosny, to sprawdził. Mnóstwo mężczyzn ze Śląska pracuje w Niemczech, uznał więc, że z jednym z nich Aneta romansuje na boku. No bo kto inny dzwoni do kobiety po nocach?* – opowiada osoba znająca szczegóły śledztwa. Funkcjonariusze ustalili, kto naprawdę dzwonił. Na początku wił się jak piskorz, że niczego nie pamięta. Z Niemiec przeniósł się do Szwecji, ale przyciśnięty do ściany stawił się na przesłuchanie. Jego zeznania wprawiły śledczych w osłupienie.

Opowiada policjant: – *Siedział sobie samotnie chłop ze Śląska w Niemczech i strasznie mu się zachciało napić. A że nie miał z kim i nie lubił pić do lustra, to wyszukał na komunikatorze internetowym, kto jest aktywny z jego ziomków. Znalazł kolegę z sąsiedniej wsi na Śląsku. Dogadali się, połączyli przez ten komunikator i gawędzili do monitorów. No to zdrowie! No to Prosit! Gdy ten z Polski miał już dość, na odchodne rzucił: „Słuchaj, jak ci się jeszcze nie chce spać, to możesz powkurwiać moja była żona, dam ci jej numer".*

I dał.

I to był numer Anety, jego byłej żony.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 0eac8d3e91

Ciszej proszę!

Warszawskimi ulicami z rykiem przemykają motocykle. Ale ten hałas to nie tylko problem stolicy. Muszą się z nim mierzyć także spokojniejsze miasta. Silniki słychać w dzień i w nocy.

NATALIA SAWKA

Katarzyna od siedmiu lat mieszka na warszawskiej Pradze. Gdy się wprowadzała, myślała, że uliczny hałas nie będzie jej rozpraszać. Jednak od kiedy pracuje zdalnie, nie może się skupić. Od świtu do zmierzchu słychać tramwaje i karetki, ale to motocykle są najgorsze. Wszystkie okna jej mieszkania wychodzą na ruchliwą ulicę. Katarzyna na tarasie bywa tylko wieczorem, kiedy ruch choć trochę się uspokaja. – *Podlewam kwiatki, a potem szybko uciekam, bo i tak nie ma co siedzieć w tych spalinach* – mówi. – *Przy zamkniętych oknach nie da się spać, bo gorąco, przy otwartych też nie, ponieważ budzi mnie ryk silników* – straciła nadzieję na poprawę sytuacji. – *W nocy to jest jakaś plaga. Ruszają z piskiem opon i na najwyższych obrotach silnika z rykiem pędzą do kolejnych świateł, a ja leżę w łóżku i zastanawiam się, ile jeszcze godzin zostało do pobudki.*

Okolica, w której mieszka, to betonowa pustynia. Między jezdnią a zabudową jest niewiele zieleni, pojedyncze drzewa nie tworzą bariery, która mogłaby choć częściowo ograniczać hałas. Na hałas skarżą się również mieszkańcy w innych częściach Warszawy. – *To chyba nie jest normalne, że jakiś motocyklista jedzie sobie z Rembertowa do centrum i wszyscy po drodze muszą słuchać ryku jego silnika* – mówi jeden z nich. Nocne przejazdy motocykli są przekleństwem mieszkańców Woli, Śródmieścia, Ochoty czy Mokotowa.

Na lokalnych grupach sąsiedzkich nikogo już specjalnie nie dziwią pytania o dobre zatyczki do uszu dla niemowląt. Pojawiają się także prośby o rady, co zrobić z psem, który w środku nocy zrywa się i zaczyna panicznie szczekać w reakcji na huk silnika. Ludzie wymieniają się sposobami na wygłuszenie okien, śpią przy zamkniętych oknach nawet podczas upałów, piszą skargi i próbują ustalić, gdzie właściwie można zgłosić problem. A czasem dochodzą do wniosku, że nie da się już zrobić nic i się wyprowadzają.

Bywa też, że komuś puszczają nerwy, a frustracja związana z ulicznym

© STUDIO POLITYKI/LEL/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0eac8d3e91

hałasem przeradza się w agresję. Na warszawskim Mokotowie 39-letni mężczyzna najpierw przewrócił dwa zaparkowane jednoślady, a potem sięgnął po tasak i zaczął nim uderzać w maszynę. Był nietrzeźwy, miał 1,5 promila alkoholu we krwi.

Hałas ratuje życie?

Starsi stażem motocykliści dobrze pamiętają hasło, które przez lata krążyło w ich środowisku. *Loud pipes save lives*, czyli głośne wydechy ratują życie. Za sloganem szło proste przekonanie – skoro kierowca samochodu może nie zauważyć motocykla w lusterku, być może wcześniej go usłyszy. Wystarczył ruch manetką, żeby pokazać innym uczestnikom, że obok ktoś jedzie jednośladem.

– *Dźwięk maszyny jest praktyczny i przydaje się także w korku, gdy motocykl przeciska się między samochodami. Kierowca, który wcześniej usłyszy nadjeżdżającą maszynę, czasem zjedzie odrobinę na bok i zrobi miejsce* – opowiada Dawid.

Ale najmłodsi piszą na internetowych forach: „Księga ulicy mówi jasno. Motor głośny być musi, inaczej przejadą cię głusi". Wydech ma być jak wulkan.

Wraz z rozwojem elektromobilności zmienia się jednak podejście do hałasu. Nie jest już traktowany wyłącznie jako miejska niedogodność, ale jako jeden z rodzajów zanieczyszczenia środowiska. Po ulicach jeździ coraz więcej niemal bezgłośnych samochodów i elektrycznych skuterów. Pojawia się więc pytanie, czy głośny wydech rzeczywiście chroni motocyklistę, czy raczej jest elementem motocyklowej kontrkultury.

Leszek, inny motocyklista, twierdzi, że głośny wydech w niczym nie pomaga. – *Może nawet pogorszyć sytuację, bo kierowca cię słyszy, ale nie jest w stanie określić kierunku ani odległości, z której się zbliżasz. Ja mam wrażenie, że duża część motocyklistów po prostu chce się wyróżniać i montuje głośne wydechy, żeby połechtać sobie ego* – mówi.

Część sama modyfikuje układy wydechowe. Powodów jest kilka: chcą zmienić brzmienie maszyny, zmniejszyć jej masę, a czasem poprawić osiągi.

– *Choppery, ze względu na dużą pojemność silników, mają bardzo głośne, basowe brzmienie nawet na fabrycznych wydechach. Wiele z nich jest sprowadzanych ze Stanów i nie zawsze spełniają europejskie normy* – tłumaczy 50-letni Artur. Swoją przygodę z motocyklami zaczął już w latach młodości. Wychował się na Śląsku, a na motorynkę po raz pierwszy wsiadł w siódmej klasie podstawówki. – *Marzyłem, by dostać taką maszynę na komunię. Rodzice jednak kupili mi rower. Któregoś dnia na nasze podwórko przyjechał kolega. Dał mi się przejechać. Było cudownie, choć największą frajdę miałem z tego, że nie musiałem pedałować* – opowiada.

On także nie zgadza się z mitem, że głośny wydech ratuje życie. – *Potrafi zadziałać dokładnie odwrotnie, niż chciałby motocyklista. Zamiast ostrzegać o jego obecności, zwyczajnie ludzi wkurza* – mówi i dodaje, że dzisiejsze auta są dobrze wygłuszone, więc kierowca przy włączonej muzyce i klimatyzacji nie usłyszy nadjeżdżającego motoru.

dB killery

Tłumiki, które redukują hałas, motocykliści nazywają dB killerami. Jest to mały element montowany w końcówce wydechu motocykla lub samochodu sportowego. Redukuje głośność o około 3–8 dB. Dźwięk silnika jest wtedy mniej ciężki i mniej basowy. Tyle że na rynku nie brakuje akcesoryjnych tłumików i tańszych zamienników produkowanych w Chinach. Brak wkładki nie jest nielegalny, o ile wydech mieści się w normach decybeli. Kary za zbyt głośny wydech nie są porażające. To zaledwie 300 zł.

Egzekwowanie przepisów nie jest jednak proste. W przeciwieństwie do pomiaru prędkości nie wystarczy zarejestrować przejeżdżającego pojazdu. Policja musi go zatrzymać, dysponować sonometrem i przeprowadzić pomiar według określonej procedury. W Polsce wciąż brakuje automatycznego systemu, który by pozwalał wychwycić hałaśliwy pojazd, zidentyfikować jego tablice i na tej podstawie ukarać kierowcę.

– *O wysokości ewentualnego mandatu karnego decyduje policjant, uwzględniając m.in. wartość przekroczenia hałasu, charakter i zakres modyfikacji układu wydechowego oraz inne okoliczności czynu, np. w jakich hałaśliwy motocykl jest używany* – informuje asp. szt. Aleksandra Laskowska z Komendy Głównej Policji.

Na 300 zł nie musi się jednak skończyć. Kierujący motocyklem ze zmodyfikowanym układem wydechowym, zwłaszcza jeśli powoduje on nadmierny hałas, może odpowiadać także za inne wykroczenia. W zależności od stwierdzonego naruszenia grzywna może sięgnąć 1,5 tys. lub nawet 3 tys. zł.

O tym, jak łatwo ominąć ograniczenia, mówią sami ludzie związani z motocyklami. Niektórzy korzystają z zaprzyjaźnionych stacji kontroli pojazdów, na których diagnosta podczas badania technicznego może przymknąć oko na zbyt głośny wydech. Albo motocyklista założy dB killera na badanie, a po przeglądzie go ściągnie i będzie mógł się chwalić, że dźwięk jego maszyny jest podobny do odrzutowca F-16.

O tym, jak głośno można jeździć po ulicy, mówią przepisy. Dla motocykli o pojemności do 125 cm sześc. (np. większe skutery czy miejskie motocykle) to 94 dB, a dla większych 96 dB. Nie sprawdza się tego jednak podczas spokojnej pracy silnika na postoju. Przy pomiarze wskazówka obrotomierza wędruje do połowy maksymalnych obrotów i dopiero wtedy miernik pokazuje, czy motocykl mieści się w normie. Takie kontrole od lat można spotkać na europejskich drogach, rzadko w Polsce.

Dla porównania, zwykła rozmowa to ok. 60 dB, włączony w domu ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ odkurzacz to ok. 70–80 dB, a kosiarka spalinowa ok. 90 dB. Dopuszczalne dla większego motocykla 96 dB to już okolice hałasu generowanego przez bardzo głośne urządzenia mechaniczne. Start samolotu w niewielkiej odległości to ok. 120–130 dB.

Hałas zaczyna być uciążliwy dla organizmu znacznie wcześniej, niż pojawia się bezpośrednie zagrożenie dla słuchu. Długotrwałe przebywanie przy ruchliwej ulicy może powodować zmęczenie, rozdrażnienie, problemy z koncentracją czy snem. Jeśli taki akustyczny warkot towarzyszy człowiekowi przez wiele godzin dziennie i przez kolejne lata, może zwiększać ryzyko trwałych zmian w narządzie słuchu.

Trudno jednak ustalić, jak często zbyt głośny wydech kończy się zatrzymaniem dowodu rejestracyjnego. Policyjne statystyki nie pozwalają bowiem oddzielić przypadków dotyczących nadmiernego hałasu od tych związanych z emisją spalin. Od 1 stycznia do 31 lipca 2026 r. funkcjonariusze zatrzymali łącznie 2839 dowodów rejestracyjnych i pozwoleń czasowych pojazdów, które były zbyt głośne z powodu niesprawnego lub zmodyfikowanego układu wydechowego, jak i tych, które przekraczają dopuszczalne normy emisji spalin.

Od czasu do czasu poszczególne komendy informują za to o specjalnych akcjach wymierzonych w zbyt głośne pojazdy. Podczas jednej z nich policjanci z Nowego Targu kontrolowali samochody i motocykle za pomocą sonometru. Efekt? Siedem zatrzymanych dowodów rejestracyjnych za przekroczenie dopuszczalnych norm hałasu. Dla porównania, od początku roku tamtejsi funkcjonariusze zatrzymali łącznie 307 dowodów, z czego 181 z powodu braku aktualnych badań technicznych, a 50 ze względu na niewłaściwy stan techniczny pojazdów. Skala ujawnianych podczas takich akcji naruszeń norm hałasu jest więc niewielka.

Modlitwa o akustyczne radary

W wielu krajach hałas jest ograniczany, choć nie ma jednego ogólnoeuropejskiego systemu. W austriackim Tyrolu wprowadzono w 2020 r. pilotaż. Na sześciu odcinkach dróg jest sezonowy zakaz ruchu motocykli, których wpisany w dokumentach poziom hałasu przekracza 95 dB. W 2026 r. ograniczenie obowiązuje od 15 kwietnia do 31 października. Za złamanie zakazu grozi mandat ponad 200 euro.

Aktywiści MJN domagają się wprowadzenia w Polsce fotoradarów akustycznych

W Berlinie kierowcy samochodów i motocykliści mogą być ukarani za niepotrzebne powodowanie hałasu, celowe przegazowywanie silnika, jazdę z nielegalnie zmodyfikowanym wydechem czy hałaśliwe zachowanie podczas nocnych przejazdów. Mandat to zwykle 100 euro. Ale w stolicy Niemiec obowiązuje też ogólna ochrona ciszy nocnej, zakłócanie nocnego odpoczynku jest zabronione między godz. 22 a godz. 6.

Z fotoradarami akustycznymi można się spotkać w Nowym Jorku. Rejestrują one nadmierny hałas emitowany przez pojazdy i automatycznie odczytują ich tablice rejestracyjne. Za hałas związany z układem wydechowym kara wynosi obecnie od 800 do 2625 dol. We Francji radary akustyczne rejestrują pojazdy przekraczające normy emisji dźwięku, co kończy się mandatem.

Walkę z hałasem podjęło warszawskie Stowarzyszenie Miasto Jest Nasze. Aktywiści domagają się wprowadzenia w Polsce fotoradarów akustycznych – skutecznego narzędzia, które pozwoli egzekwować przepisy i ukrócić plagę nielegalnych wydechów. Pismo w tej sprawie podpisało już ponad 20 tys. osób. 4 września odbędzie się protest „Ciszej proszę", by zwrócić uwagę władzom, że mogą lepiej egzekwować przepisy związane z hałasem.

– *W praktyce mandaty za hałas to rzadkość* – informują przedstawiciele MJN. – *Za nielegalnie zmodyfikowany wydech kierowca dostaje co najwyżej kilkaset złotych i ewentualnie utratę dowodu rejestracyjnego. Często jednak nawet to nie następuje. Policja i stacje diagnostyczne nie mają odpowiednich narzędzi ani procedur, by rzeczywiście wyłapywać te pojazdy* – dodają. Martyna Leśniak z Miasto jest Nasze dodaje, że hałas w mieście stał się gigantycznym problemem, ponieważ kierowcy zachęcani są kompletnym brakiem działań policji.

Co pięć lat we wszystkich krajach europejskich opracowywane są mapy akustyczne. Dla Warszawy powstały już trzy. Obecnie obowiązująca mapa pochodzi z 2022 r. Nowy dokument ma zostać przygotowany najpóźniej do końca czerwca 2027 r. Wtedy zobaczymy, czy do tego czasu powstaną proponowane przez MJN rozwiązania ograniczające hałas na polskich ulicach. Technologia istnieje i z powodzeniem może poprawić komfort życia mieszkańców.

Zakaz wjazdu

Nie tylko Warszawa walczy z rykiem silników. W Gdyni niedawno zakończyły się konsultacje społeczne dotyczące działań na rzecz ograniczenia hałasu drogowego. Przez blisko trzy miesiące mieszkańcy zgłaszali swoje opinie i propozycje działań, które mają ograniczyć uciążliwości związane z hałasem generowanym przez ruch drogowy. Wnioski zostaną przedstawione w raporcie na początku listopada. Jako główne źródła szkodliwego hałasu wskazywane są właśnie motocykle i auta z głośnymi wydechami. Kolejna przyczyna: motocykliści przekraczają dozwoloną prędkość i gwałtownie przyspieszają od jednych świateł do następnych, zwłaszcza w godzinach nocnych. Dlatego na liście proponowanych rozwiązań jest nawet całkowity zakaz wjazdu motocykli do centrum Gdyni po godz. 22.

Inne samorządy, pod naciskiem mieszkańców, też coraz częściej rozważają wprowadzenie stref ciszy i ograniczeń wjazdu dla jednośladów w godzinach nocnych. Nawet w regionach turystycznych, jak Bieszczady czy Podhale, lokalne społeczności domagają się od Inspekcji Transportu Drogowego częstszych pomiarów, ponieważ hałas generowany przez małą grupę motocyklistów uderza w dochody z agroturystyki i spokój reszty gości.

Ostatecznie spór o głośne wydechy nie jest jednak starciem o to, czy motocykle powinny zniknąć z ulic. Chodzi o zasady współżycia w mieście. A właściwie o główną zasadę: granicą moich wolności i praw są prawa i wolności innych.

NATALIA SAWKA

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl 0eac8d3e91

NOWE WYDANIE
JUŻ W SPRZEDAŻY

ZWIERCIADLO.PL

DOSTĘPNE TAKŻE
Z KALENDARZYKIEM **ZWIERCIADŁA NA 2027 ROK**
10 OKŁADEK DO WYBORU

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

MagazynZwierciadlo zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl 0eac8d3e91

Volkswagen bęc

ADAM GRZESZAK

Volkswagen, największy koncern motoryzacyjny Europy i drugi świata, znalazł się w poważnym kryzysie. By z niego wyjść, musi zredukować liczbę wytwarzanych aut, zamknąć kilka fabryk i zwolnić pracowników. Co to oznacza dla polskich zakładów VW?

Zagadka: jaki produkt koncernu Volkswagen sprzedaje się najlepiej? Odpowiedź wielu miłośników motoryzacji może zaskoczyć: Volkswagen currywurst. Cóż to za dziwna marka auta? Nie, tu nie chodzi o auto, ale... kiełbaski o smaku curry. W 2024 r. koncern sprzedał ich 8,6 mln sztuk, w 2025 r. zdecydowanie więcej, choć wciąż brak dokładnych danych.

Volkswagen currywurst to nie jest niemiecki odpowiednik parówek Skolima, czyli triku marketingowego, ale pełnoprawny produkt koncernu, wytwarzany od 1971 r. w macierzystym zakładzie VW w Wolfsburgu według pilnie strzeżonej receptury. Kiełbaski, określane jako „oryginalna część Volkswagena", w katalogu figurują pod numerem 199 398 500 A. Produkowane początkowo z myślą o fabrycznej kantynie, z czasem zyskały ogólnoniemiecką sławę i dziś są dostępne także w supermarketach. W opcji z Volkswagen Gewürzketchup, czyli firmowym

eprasa.pl 0eac8d3e91

ketchupem. Są także eksponowane w AutoMuseum Volkswagen jako niezbywalne dziedzictwo marki.

Sytuacja więcej niż krytyczna

Niemiecka prasa żartuje, że jeśli tak dobrze koncernowi z Wolfsburga wychodzi produkcja spożywcza, to może niech się na niej skoncentruje, bo z samochodami idzie mu ostatnio gorzej. W ubiegłym tygodniu prezes Grupy VW Oliver Blume, w wywiadzie opublikowanym w firmowym intranecie, określił sytuację jako „bardziej niż krytyczną". I choć VW osiąga zyski, to są one niewystarczające, by zapewnić stabilne finansowanie przyszłych inwestycji. Bez nich koncern nie przetrwa.

A przecież w marcu, prezentując ubiegłoroczne wyniki, Blume zapewniał, że „w 2025 r. uwolniliśmy nową moc Grupy Volkswagen. I utrzymaliśmy naszą firmę na właściwym kursie w obliczu coraz silniejszych globalnych przeciwności". Wynik: 9 mln sprzedanych pojazdów, zbliżony do tego z 2024 r., budził jednak wątpliwości, czy rzeczywiście kurs jest właściwy. Bo z finansami było gorzej: 322 mld euro przychodów to było nieco mniej niż rok wcześniej, ale zysk operacyjny 8,9 mld euro skurczył się aż o ponad 50 proc.

Wyniki pierwszego półrocza 2026 r. nie napawają optymizmem, choć miało być lepiej. Dlatego prezes Blume w liście do załogi napisał: „Szanowni koledzy, ostatnie kilka miesięcy było dla nas wszystkich trudne i wymagające: kryzysy geopolityczne, konflikty handlowe, wysokie wymagania regulacyjne, niestabilne rynki i wzmożona konkurencja". I dalej wylicza, że same tylko trumpowskie cła w USA kosztują Grupę Volkswagen ok. 5 mld euro rocznie. A więc amerykańskie taryfy odpowiadały mniej więcej za jedną trzecią pierwotnego wyniku operacyjnego VW.

Jednocześnie rynek w Chinach praktycznie się załamał, kurcząc się w pierwszej połowie roku o ponad 20 proc. W 2019 r. VW sprzedawał w Chinach ok. 4,2 mln samochodów i był niekwestionowanym liderem tamtejszego rynku motoryzacyjnego. Chiny zaś były dla niego największym pojedynczym rynkiem. W 2025 r. sprzedaż aut koncernu z Wolfsburga (ale produkowanych głównie w Chinach) zmalała do ok. 2,7 mln szt. A w rynkowym rankingu Grupa VW spadła na trzecią pozycję za BYD i Geely. Kurczący się rynek wewnętrzny Chin i eksplozja produkcyjna tamtejszych firm powodują, że Chińczycy szturmują rynek europejski. „W samym segmencie hybryd plug-in mają już ponad 30 proc." – alarmuje Blume.

Rentowność VW na poziomie 3,8 proc. jest zbyt niska, aby w dłuższej perspektywie myśleć o nowych technologiach i inwestycjach. A te są niezbędne w wyjątkowej technologicznej transformacji, jaką przechodzi koncern i jest w niej opóźniony. „Sytuacja na rynkach światowych pogarsza się w bezprecedensowym tempie. A ponieważ nasze koszty pozostają zbyt wysokie, nie zarabiamy wystarczająco dużo na naszych samochodach" – alarmuje prezes. Jego nastrój między styczniem a sierpniem znacznie się pogorszył. Wpływ na to miało wewnątrzfirmowe badanie przeprowadzone wśród menedżerów najwyższego szczebla. Przytłaczająca większość oceniła sytuację jako krytyczną, a niektórzy mówili nawet o zagrożeniu egzystencjalnym.

Dlatego Blume stara się przekonać pracowników do swego planu „Wizja docelowa 2030", którego głównym zadaniem ma być dojście do rentowności operacyjnej na poziomie 8–10 proc. Plan zakłada redukcję rocznych mocy produkcyjnych w Europie i Chinach o 0,5–1 mln pojazdów. Chodzi o to, by skończyć z przekonaniem, że ważna jest tylko liczba wyprodukowanych aut. Mniej produkować, a więcej zarabiać, to jest motto planu. Koszty produkcji, już obniżone o 20 proc., w najbliższych latach mają ulec dalszej redukcji o 10–20 proc. Głównie dzięki wykorzystaniu sztucznej inteligencji oraz przenoszeniu produkcji do krajów europejskich o niższych kosztach pracy. Oszczędności ma dać także reforma zarządzania i ograniczenie liczby menedżerów, by VW nie był „przerośnięty".

„Mamy jasną strategię. Mamy konkretny plan. A przede wszystkim mamy silne zespoły. Brakuje nam tylko czasu" – przekonuje Blume. Jego plan zakłada radykalne odchudzenie gamy modelowej nawet o połowę, redukcję opcji nawet o 75 proc. i większą integrację w ramach trzech grup marek: Core (Volkswagen, Škoda, Seat/Cupra i VW Samochody Użytkowe), Progressive (Audi, Bentley, Lamborghini i Ducati) oraz Sport & Luxury (Porsche). Chodzi o wspólne platformy, więcej wspólnych podzespołów, by auta różniły się bardziej designem, a mniej techniką. Design też musi się zmienić, bo zdaniem prezesa jest mało wyrazisty. Dziś ekonomiczną perłą w koronie koncernu jest Škoda, natomiast Porsche, wcześniejszy lider, szoruje po dnie, głównie za sprawą zawalenia się dwóch podstawowych rynków marki, czyli chińskiego i amerykańskiego.

Volkswagen currywurst – kiełbaski produkowane od 1971 r. w zakładzie VW w Wolfsburgu. Początkowo trafiały do fabrycznej kantyny, z czasem stały się dostępne także w supermarketach.

Kuracja odchudzająca

Ważnym elementem programu ratunkowego będzie redukcja zatrudnienia. Tu pojawiają się różne liczby, bo sprawa jest wyjątkowo drażliwa. Oficjalnie mówi się o 35 tys., ale też i o 50 tys., przecieki z Wolfsburga zaś sugerują, że może chodzić o 100 tys. pracowników. Dziś Grupa VW zatrudnia na całym świecie ok. 660 tys. osób. Zdaniem niemieckich mediów najbardziej zagrożone są fabryki VW w Emden i Zwickau oraz w Hanowerze (VW Samochody Użytkowe), a także fabryka Audi w Neckarsulm. Wygaszanie może ruszyć na początku przyszłej dekady.

Choć nie podjęto jeszcze konkretnych decyzji, w sierpniu zaplanowano kilka spotkań szefów koncernu z pracownikami. Potężny związek zawodowy IG Metall, który już protestował, ▶

© RONNY HARTMANN/AFP/EAST NEWS, JULIAN STRATENSCHULTE/DPA/PAP

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ szykuje się teraz do walki na serio. „Kiedy kierownictwo dochodzi do wniosku, że firma stoi w obliczu egzystencjalnego zagrożenia, nieuchronnie pojawia się kolejne pytanie: Kto tak naprawdę jest za to odpowiedzialny?"– grzmi Florian Hirsch, lider związkowy z zakładów w Wolfsburgu. „Od lat doświadczamy programów oszczędnościowych, efektywnościowych, transformacyjnych i coraz większej liczby planów redukcji zatrudnienia". Szefowa koncernowej rady zakładowej Daniela Cavallo ostrzegła, że załoga jest gotowa na „poważny konflikt" z zarządem. Jego działania uznawane są za wypowiedzenie wojny załodze.

Czołgi zamiast samochodów

Zyskanie akceptacji dla „Wizji docelowej 2030" będzie wymagało od Olivera Blume'a nie lada zręczności. Dziś przypomina to kwadraturę koła, wobec sprzecznych oczekiwań akcjonariuszy, pracowników, związków zawodowych oraz polityków. W lipcu Blume przedstawił radzie nadzorczej pakiet działań obejmujący 12 inicjatyw. Obiecywał: „do 2030 r. uczynimy Grupę Volkswagen najbardziej atrakcyjną firmą motoryzacyjną na świecie – z ikonicznymi markami, inspirującymi produktami, wiodącymi technologiami, solidnymi wynikami finansowymi, wiarygodnymi rezultatami na rynku kapitałowym i duchem zespołowym w działaniu". Rada nadzorcza większością głosów powiedziała twarde *nein!*

Opór wynika ze specyficznego składu rady nadzorczej, a także przepisów ustawy o Volkswagenie (Volkswagengesetz) z 1960 r. Kluczowa jest tu pozycja rządu Dolnej Saksonii, który ma 11,8 proc. akcji, ale 20 proc. praw głosu, co zapewnia mu tzw. mniejszość blokującą. Bez jego zgody żadna istotna decyzja nie przejdzie.

Rada nadzorcza liczy 20 członków – połowa reprezentuje stronę właścicielską, a połowa pracowniczą. Po stronie kapitałowej zasiada większościowy udziałowiec koncernu, czyli spółka Porsche Automobil Holding SE. To rodzinny wehikuł inwestycyjny familii Porsche i Piëch, czyli potomków Ferdynanda Porsche, twórcy samochodowej marki, wchodzącej dziś w skład Grupy VW, ale zachowującej częściową autonomię.

Drugim uczestnikiem kapitałowym jest land Dolna Saksonia, zazwyczaj reprezentowany przez premiera i ministra finansów. Trzeci to Qatar Holding – inwestor finansowy należący do katarskiego funduszu majątkowego Qatar Investment Authority. Stronę pracowniczą reprezentuje rada zakładowa (przedstawiciele rad z różnych zakładów) oraz związki zawodowe (głównie IG Metall).

W konstrukcji rady nadzorczej zapisany jest konflikt między pracą a kapitałem. Kapitał jest za oszczędnościami, rentownością, konkurencyjnością, zamykaniem nierentownych fabryk, przenoszeniem produkcji do tańszych krajów itd. Strona pracownicza – za wzrostem wynagrodzeń, a w każdym razie ich nieobniżaniem, utrzymywaniem produkcji w dotychczasowych lokalizacjach. Jest gotowa negocjować alternatywne środki oszczędnościowe (np. skrócenie czasu pracy), powołuje się na umowę z zarządem, w której ten zobowiązał się, że do 2030 r. żadnych redukcji nie będzie.

Języczkiem u wagi są politycy. Nie tylko rząd Dolnej Saksonii jest przeciwny zamykaniu fabryk i redukcjom, ale także rządy innych landów, gdzie działają fabryki VW. Podobne stanowisko prezentuje rząd federalny, bo przemysł motoryzacyjny jest fundamentem niemieckiej gospodarki, więc jego kłopoty przekładają się na kłopoty całego kraju. Problemy, z jakimi mierzy się VW, w mniejszym lub większym stopniu dotykają wszystkich niemieckich koncernów samochodowych.

Rząd chce ratować nierentowne fabryki, więc proponuje, by przestawić je na produkcję zbrojeniową, bo zbrojeniówka przeżywa dziś boom i szuka pracowników oraz wolnych mocy produkcyjnych. Hasło „czołgi zamiast samochodów" w VW wywołuje jednak opór – ze względów wizerunkowych i zaszłości historycznych.

Niepokój polityków budzi coraz większe uzależnianie się koncernu z Wolfsburga od chińskich partnerów. VW zerwał właśnie umowę o współpracy z firmą Bosch, opracowującą oprogramowanie do jazdy autonomicznej, a własną spółkę informatyczną Cariad, wobec licznych porażek w dziedzinie oprogramowania samochodów elektrycznych, zdegradował do roli integratora (poprzedni prezes VW Herbert Diess stracił stanowisko za sprawą porażek z oprogramowaniem). VW zamierza oprzeć się na technologii firm zagranicznych, takich jak amerykański Rivian czy chiński Xpeng.

Ich kłopoty, nasz problem

Oliver Blume ma świadomość, że ustawa VW, dająca sporą władzę rządowi Dolnej Saksonii, wiąże mu ręce. Dlatego zarząd koncernu rozważa wydzielenie samej marki Volkswagen ze struktury grupy i przekształcenie koncernu w spółkę holdingową. Eksperci oceniają, że byłby to ruch podobny do stworzenia „złego banku", do którego można by przenieść słabsze aktywa, a sama spółka holdingowa byłaby mniej zależna od wstrząsów geopolitycznych i spowolnienia gospodarczego. Niektórzy nie wykluczają sprzedaży jakichś marek, zwłaszcza z grupy Progressive, np. Bentleya albo Lamborghini. Na razie jednak premier Dolnej Saksonii Olaf Lies zapowiada, że się na to nie zgodzi. I to mimo że drobni niemieccy akcjonariusze tracą cierpliwość i przekonują, że czas skończyć z „nadmiernym współdecydowaniem" polityków. Kurs akcji VW jest na poziomie „bardziej niż krytycznym".

Kłopoty Volkswagena są po części także naszymi kłopotami. Koncern jest największym inwestorem w polskim przemyśle motoryzacyjnym. Działa u nas 19 spółek Grupy Volkswagen oraz dwie spółki joint venture. W tym m.in. fabryki samochodów w Poznaniu (VW Caddy) i we Wrześni (VW Crafter), fabryka silników w Polkowicach i odlewnia w Poznaniu. Zdaniem ekspertów ich pracownicy mogą czuć się na razie w miarę bezpiecznie. Zakłady są wydajne, a koszty pracy wciąż niższe niż w Niemczech. Nie słychać, by rozważano ich zamknięcie lub objęcie redukcjami. Przeciwnie – we Wrześni trwa nawet rozbudowa zakładu, który ma wytwarzać elektryczne Craftery.

Nie oznacza to jednak, że polityka zaciskania pasa ich ominie, bo koncern ma fabryki w wielu krajach i porównanie kosztów prowadzenia działalności (praca, energia itp.) nie wszędzie musi wypaść na naszą korzyść. Redukcja gamy modeli i ich wersji będzie wzmagała konkurencję między fabrykami. W wielkich koncernach redukowanie kosztów zawsze zaczyna się od góry, a potem schodzi coraz niżej, aż do zagranicznych spółek, producentów części, kooperantów i dostawców surowców. I tylko masarze z działu mięsnego fabryki w Wolfsburgu – a jest ich 30 – mogą czuć się bezpiecznie. Bo apetyt na Volkswagen currywurst nie maleje.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 0eac8d3e91

Drewniana pułapka

Miało być tanio, czysto i ekologicznie. Państwo mocno wsparło ogrzewanie domów pelletem. Tymczasem drewniane granulki to dziś najdroższy opał. Ponad pół miliona odbiorców czeka jesienno-zimowy horror.

© SHUTTERSTOCK

CEZARY KOWANDA

To było gorące lato dla posiadaczy kotłów na pellet – nie tylko z powodu rekordowych upałów w Polsce. Zazwyczaj właśnie w lipcu czy sierpniu można liczyć na atrakcyjne ceny przy zakupie surowca, którego do ogrzewania używa już niemal pół miliona gospodarstw domowych w naszym kraju. Tym razem pellet nie tylko latem nie staniał, ale wręcz zdrożał. Jak wynika z danych portalu cenapelletu.pl, średnio w czerwcu za tonę pelletu trzeba było zapłacić 1,8 tys. zł, a w lipcu już 2 tys. zł. Danych za sierpień jeszcze nie ma, ale z pewnością średnia cena okazała się jeszcze wyższa. W sieci nie brakuje nawet sprzedających, którzy żądają za tonę pelletu już ok. 3 tys. zł.

Niektórzy zaczęli kupować pellet u naszych sąsiadów – Niemców i Czechów, gdzie ceny też rosną, ale bywają niższe od naszych.

A równocześnie sytuację próbują wykorzystać oszuści. Kuszą niższymi cenami, ale oferują opał bez certyfikatów, niewiadomego pochodzenia i marnej jakości albo nawet inkasują zaliczkę i znikają bez śladu.

Tymczasem jeszcze w ubiegłym roku ceny były stabilne. Od stycznia do sierpnia tona pelletu kosztowała przeciętnie 1,3 tys. zł. Nieco podrożała dopiero jesienią, ale prawdziwa katastrofa przyszła w lutym tego roku. Surowa zima sprawiła, że wielu używających pelletu chciało szybko uzupełnić zapasy. Na ogrzanie średniej wielkości domu zazwyczaj wystarcza 4–5 ton na sezon, ale bardzo niskie temperatury zwiększają zapotrzebowanie.

Równocześnie z powodu dużych mrozów pracę ograniczyły tartaki, a to właśnie w nich powstaje w Polsce większość pelletu wytwarzanego z trocin, wiórów i zrębków – odpadów przy obróbce drewna. Są one suszone, mielone, a potem prasowane. Powstają wałki, cięte na drobne odcinki. Tak uzyskujemy pellet w formie granulatu, sprzedawany najczęściej w 15-kilogramowych paczkach.

Niedawno Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów sprawdzał, czy na rynku pelletu nie doszło przypadkiem do zmowy cenowej producentów, którzy chcieliby nieuczciwie zwiększyć zyski. Żadnych dowodów na taki proceder urząd nie znalazł.

I trudno się temu dziwić, bo wyjaśnienie pelletowej inflacji jest dosyć proste. Z jednej strony w szybkim tempie przybywa kotłów na pellet. Według ostatnich danych rządowych jest ich ok. 450 tys., choć niektórzy eksperci szacują ich liczbę już na 600 tys. A równocześnie nie jesteśmy w stanie równie szybko zwiększać produkcji pelletu. Kłopoty ma polski przemysł meblarski. Tartaki wykorzystują ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ zaledwie ok. 60–70 proc. swoich możliwości. Mniej mebli to równocześnie mniej trocin czy wiórów powstających przy ich produkcji.

Rosnące zapotrzebowanie na pellet to także efekt programu Czyste Powietrze, który ma pomóc pozbyć się węglowych kopciuchów. Pozostało ich wciąż, według różnych szacunków, od 1,3 do 2,5 mln. Jeszcze kilka lat temu kotły na biomasę (głównie na pellet) nie cieszyły się wielką popularnością. Do 2023 r. wybierało je zaledwie ok. 20 proc. wnioskujących o dotację do wymiany źródła ciepła w ramach Czystego Powietrza. Wówczas królowały pompy ciepła, ale zaczęły tracić na znaczeniu, gdy w mediach pojawiły się doniesienia o rachunkach grozy za prąd. To efekt instalowania pomp ciepła w starych nieocieplonych budynkach, a równocześnie sprowadzania za czasów rządów PiS ogromnej liczby urządzeń z Azji o złych parametrach, bez żadnej kontroli. Choć – jak wynika z tegorocznego badania Polskiego Alarmu Smogowego – to właśnie użytkownicy pomp ciepła najmniej narzekają obecnie na koszty ogrzewania budynków (dobrze dobrana i fachowo zainstalowana pompa przynosi znaczne oszczędności), wiele osób zaczęło bać się tych urządzeń. Ich obawy pogłębił też znaczny wzrost cen prądu i brak specjalnej taryfy dla pomp ciepła, chroniącej przed gwałtownymi podwyżkami.

W ramach Czystego Powietrza pięć lat temu wycofano wsparcie dla kotłów węglowych, a w ubiegłym roku także dla gazowych, bo przecież powinniśmy odchodzić od paliw kopalnych, które sprowadziły na nas klimatyczną katastrofę. Od 2024 r. Polacy zaczęli na dużą skalę wybierać właśnie kotły na biomasę. Trochę drogą eliminacji, bo kto nie chce pompy ciepła, a liczy na dopłaty, temu zostaje właściwie tylko pellet. Do niedawna cieszył się dobrą opinią. Ceny były atrakcyjne w porównaniu z prądem czy gazem, dostępność surowca nie stanowiła problemu, obsługa urządzenia jest dość prosta. Przy spalaniu powstaje stosunkowo niewiele popiołu (pod warunkiem że używamy pelletu dobrej jakości), emisja zanieczyszczeń jest ograniczona, a efektywność energetyczna takiego ogrzewania dobra. Do tego dobrej jakości kotły można kupić za kilkanaście tysięcy złotych.

Drogi z taniego

Średni roczny koszt ogrzania domu i wody w budynku o powierzchni 150 m kw. (w tys. zł)

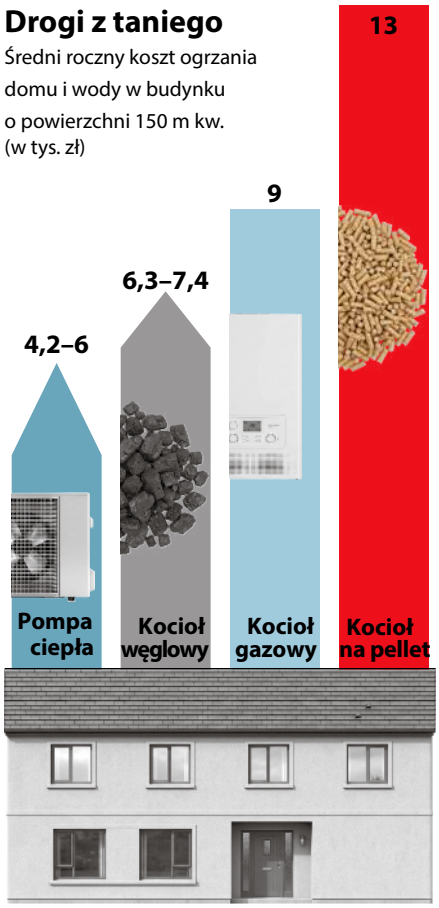

Nie trzeba się też na razie martwić o dotacje z Czystego Powietrza, bo pellet uchodzi za odnawialne źródło energii. Chociaż przy jego spalaniu jest emitowany dwutlenek węgla, to wcześniej pochłonęły go drzewa, z których resztek został wyprodukowany. W ubiegłym roku aż trzy czwarte wniosków o dotacje przy wymianie pieca dotyczyło kotłów na biomasę, a w tym roku to niemal 80 proc. wszystkich termomodernizacji.

– *Takie gwałtowne zmiany w wyborze źródeł ciepła są efektem braku stabilnej polityki energetycznej, bez względu na to, kto obecnie rządzi. Obywatel remontujący dom jest skazany na domysły i nie może podjąć racjonalnej decyzji, wahając się między gazem, pelletem czy pompą ciepła. Kieruje się bieżącymi cenami surowców, ale te przecież gwałtownie się zmieniają. Wybieramy zatem urządzenie na wiele lat na podstawie krótkoterminowej prognozy kosztów* – ubolewa Piotr Siergiej, rzecznik prasowy Polskiego Alarmu Smogowego.

Na razie znaleźliśmy się w absurdalnej sytuacji. Pelletu brakuje, więc drożeje. A skoro równocześnie kotłów na pellet przybywa, bo na ich zakup są dostępne dotacje, sytuacja będzie się pogarszać. Do tego pellet zamiast węgla od wielu lat spala energetyka, a ostatnio coraz chętniej także ciepłownie i przemysł, bo dzięki temu mogą ograniczać emisję dwutlenku węgla i spełniać unijne wymagania. O ten sam surowiec konkurują zatem gospodarstwa domowe i duże instalacje. W takiej sytuacji jedyny ratunek to import.

– *Jeszcze kilka lat temu, gdy niewiele osób używało pelletu do ogrzewania domów, byliśmy jego eksporterem, głównie do Niemiec, Włoch czy Danii. Teraz importujemy go z coraz większej liczby kierunków: z krajów bałtyckich, ze Skandynawii, ale także z Portugalii, Brazylii, Wietnamu, RPA czy USA. Z powodu sankcji nie mamy dostępu do pelletu z Białorusi czy Rosji. Sądzę, że to już ostatni rok kryzysu pelletowego w Polsce. Zwiększony import powinien uspokoić rynek i zatrzymać podwyżki. Ale powrotu do niskich cen z poprzednich lat raczej nie będzie* – przewiduje Wojciech Mazurkiewicz, dyrektor operacyjny serwisu gieldapelletu.pl.

Niestety takie rozwiązanie problemu pelletowego oznacza, że znów zwiększamy swoje energetyczne uzależnienie od innych krajów. Do ropy i węgla dołącza kolejny surowiec – w zasadzie już strategiczny dla naszej gospodarki – który musimy sprowadzać.

Zanim jednak import wypełni lukę, trzeba przetrwać najbliższą zimę. Potrzebujący pelletu zastanawiają się, co robić: kupować jak najszybciej czy czekać? Dobrego rozwiązania nie ma, a wiele zależy od temperatury w kolejnych miesiącach. Jeśli zima będzie w miarę ciepła, ceny powinny się uspokoić. Jednak fale mrozów przyniosą podwyżki.

Teraz użytkownicy kotłów na pellet są w fatalnej sytuacji. Według najnowszej analizy portalu globEnergia.pl średni roczny koszt ogrzania domu i wody w budynku o powierzchni 150 m kw. to pomiędzy 4,2 a 6 tys. zł dla posiadaczy pomp ciepła, 6,3–7,4 tys. zł dla właścicieli kotłów węglowych i niemal 9 tys. zł dla korzystających z gazu ziemnego. Natomiast przy cenie pelletu wynoszącej 2,2 tys. zł za tonę używający tego paliwa muszą się liczyć z wydatkami

eprasa.pl 0eac8d3e91

Miskant olbrzymi – roślina energetyczna, z której wytwarza się agropellet (w kółku)

rzędu niemal 13 tys. zł rocznie! W krótkim czasie pellet ze stosunkowo taniej metody ogrzewania stał się rozwiązaniem najdroższym.

Polscy producenci pelletu apelują do rządu o tymczasową obniżkę VAT z 23 do 8 proc. Jednak taki krok byłby niesprawiedliwy dla wszystkich, którzy nie mają kotłów na pellet. Stawka VAT na węgiel, prąd czy gaz to przecież również 23 proc. A jej redukcja dla wszystkich źródeł ciepła rozsadziłaby i tak napięty budżet państwa.

W Polsce powstaje rocznie nieco ponad 2 mln ton pelletu, jednak nasze potrzeby już są wyższe. Jedyną metodą na radykalne zwiększenie produkcji pelletu byłaby... wielka wycinka w Lasach Państwowych. Tymczasem rządząca koalicja w przeciwieństwie do prawicy stara się, choć powoli i z problemami, iść w odwrotnym kierunku i zwiększać obszary leśne wyłączone z bieżącej eksploatacji. Nie tylko z powodów ekologicznych, ale i strategicznych, bo chodzi np. o Zieloną Tarczę Wschód.

Ale istnieje rozwiązanie, które trochę uniezależniłoby nas od pelletu drzewnego. Zwane jest agropelletem – wówczas surowcem nie są drzewa, lecz uprawy rolnicze. – *Chodzi o rośliny energetyczne, jak miskant olbrzymi. Mamy ogromny, niewykorzystany potencjał biomasy agro. Wiele hektarów nieużytków moglibyśmy przeznaczyć na uprawy z myślą o ogrzewnictwie. Dostępne dzisiaj na rynku kotły na pellet nie zawsze są przystosowane do spalania agropelletu. Jednak kolejne urządzenia można by już tak projektować, żeby bezpiecznie i w zgodzie z wymogami Unii Europejskiej, dotyczącymi norm emisyjnych, używać w nich takiego paliwa* – wyjaśnia dr Adam Nocoń, prezes Izby Gospodarczej Urządzeń OZE i Polskiego Przemysłu. Równocześnie ostrzega: nie powinno spalać się w domowych kotłach np. agropelletu powstałego ze słomy czy łusek słonecznika, bo emituje on znaczne ilości zanieczyszczeń.

Sensowna transformacja energetyczna powinna być zaplanowana, a nie – jak dziś – spontaniczna i chaotyczna. – *Odpowiedzialność za sektor komunalno-bytowy jest rozbita pomiędzy wiele ministerstw. Nie ma żadnego departamentu, który koordynowałby zmiany w obszarze grzewczym. Tymczasem większość gospodarstw domowych w Polsce nie jest podłączona do sieci ciepłowniczej i ma własne piece, kotły czy pompy* – podkreśla prezes Nocoń. Na razie zamieszanie z cenami pelletu może mieć tragiczne skutki. Kto się przestraszy kotłów na biomasę, ten raczej nie zdecyduje się na pompy ciepła, ale pozostanie przy węglu. A przecież to właśnie od niego mamy odchodzić, by jakość powietrza w Polsce się poprawiła, a emisja dwutlenku węgla spadła. Teraz politycy muszą bohatersko rozwiązać pelletowy problem, do którego powstania sami doprowadzili. Zanim to zrobią, rachunek zapłacą – jak zawsze – obywatele.

CEZARY KOWANDA

Źródła problemu

Wnioskowane źródła ciepła w programie dotacji Czyste Powietrze (w proc.)

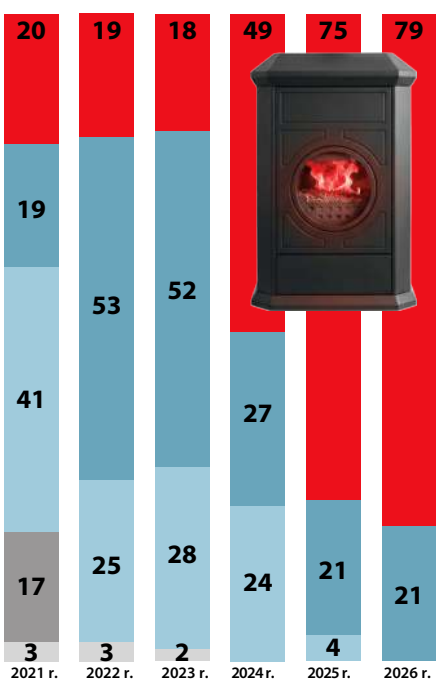

ŹRÓDŁO: CZYSTE POWIETRZE

© LECH MAZURCZYK (2), SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 0eac8d3e91

Ulrich Siegmund, kandydat AfD na premiera Saksonii-Anhaltu, unika kontrowersji. Powtarza tylko, że „wszystko jest możliwe". Ale w jego otoczeniu aż roi się od neonazistów.

Alternatywne Niemcy

PIOTR BURAS Z ARNEBURGA

Już w niedzielę Saksonia-Anhalt może wpaść w ręce skrajnie prawicowej AfD. Reszta kraju patrzy na ten wschodni land i szykuje się na burzę.

Pod koniec sierpnia Max Heckel, nauczyciel i aktywista z miasteczka Arneburg nad Łabą, zaprosił okolicznych mieszkańców na festyn. „Świętujemy demokrację. Wszyscy demokraci. Świętujemy wspólnotę. Świętujemy siebie" – napisał w zaproszeniu. Goście dopisali, sympatyczne twarze, luźna atmosfera, piwo, gry planszowe, a wieczorem koncert. W oczy rzucają się osoby w T-shirtach z napisem: „Razem czujesz się mniej samotny". To nazwa jednego

© JENS SCHLUETER/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0eac8d3e91

z lokalnych stowarzyszeń. Tego, że letni piknik przypominać może tańce na „Titanicu", na pierwszy rzut oka nie widać. Świadczą o tym tylko zatroskane twarze rozmawiających o polityce. I naklejki „FUCK NAZIS" rozłożone na stoisku z kiełbaskami.

Prawdziwe święto demokracji – wybory do parlamentu Saksonii-Anhaltu, jednego ze wschodnioniemieckich landów (tam właśnie leży Arneburg) – odbędzie się już 6 września. Choć to jeden z najmniejszych i najbardziej prowincjonalnych krajów związkowych, od wyniku głosowania zależeć ma polityczny kierunek w całych Niemczech.

Rezultat jest już w zasadzie przesądzony, stąd marsowe miny demokratów na pikniku. Skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD) cieszy się poparciem ponad 40 proc. obywateli landu i ma prawie 20 pkt proc. przewagi nad drugą w sondażach CDU, czyli rządzącą i w Magdeburgu (stolicy landu), i na szczeblu federalnym chadecką partią kanclerza Friedricha Merza. Jedyne pytanie, będące przedmiotem gorączkowych kalkulacji przy piwie i bratwurstach, dotyczy tego, czy AfD zyska bezwzględną większość głosów i stworzy jednopartyjny rząd. Ekstremiści u władzy? Tego w powojennej historii Niemiec jeszcze nie było. O AfD większość gości w Arneburgu mówi po prostu Nazis.

Na celowniku

Max Heckel, który w pobliskim Stendal uczy w szkole średniej niemieckiego i techniki, od miesięcy znajduje się na celowniku AfD. Dla niego rządy tej partii oznaczałyby zapewne pożegnanie z zawodem. W marcu 2025 r., odpowiadając na pytanie jednego z uczniów, wyjaśnił, dlaczego nie głosuje na AfD. Jako jeden z powodów podał program gospodarczy, który według fachowych analiz służy ludziom o zarobkach powyżej 120 tys. euro rocznie (czyli bardzo zamożnym).

Inna przyczyna to projekt „remigracji", za której pośrednictwem AfD chce usuwać z kraju ludzi o pochodzeniu migranckim. To niemoralne i sprzeczne z konstytucją – uważa Heckel. W tej ostatniej kwestii AfD lawiruje. Oficjalnie twierdzi, że chce pozbyć się tylko nielegalnych migrantów, ale co rusz sięga po pojęcie „remigracji", którego oryginalna definicja zakłada wydalenia także obywateli Niemiec lub osób posiadających legalne papiery.

Heckela mierzi też inne żądanie AfD – zamknięcia szkolnych programów integracyjnych dla dzieci z upośledzeniami i o pochodzeniu migracyjnym (to jedna czwarta uczniów w jego klasie). „Żeby głosować na AfD, musiałbym być bardzo bogaty, niemoralny lub nie mieć rozumu" – za te słowa dostał upomnienie od kuratorium (naruszenie zasady neutralności), AfD atakuje go w publicznych wypowiedziach, a skrzynka mailowa pełna jest hejtu i pogróżek.

Heckel opowiada mi o grupkach ogolonych na łyso osiłków zbierających się przed jego domem i o anonimowych listach informujących go, o której godzinie kończy pracę jego córka przedszkolanka. Nie daje się jednak zastraszyć. W sieci obnaża głupotę prawicowych radykałów, a swoich racji w sprawie szkolnego skandalu dochodzi przed sądem. „Jako nauczyciel, czyli urzędnik państwowy, mam nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek przestrzegać przed tymi, którzy zagrażają demokracji" – mówił w wywiadzie dla „Die Zeit".

Idąca po władzę AfD zapowiada w urzędach publicznych czystkę, jakiej ludzie pokroju Heckela raczej nie przetrwają. Szkolnictwo jest w gestii władz landowych, więc tu będzie łatwo o zmiany. AfD chce zreformować program szkolny, by było „więcej Bismarcka, mniej Hitlera", a także zlikwidować finansowanie dla organizacji pozarządowych, które uważa za część lewacko-zielonej pajęczyny oplatającej niemiecką politykę. Projekty integracyjne czy ekologiczne nie będą mogły liczyć na publiczne wsparcie.

Zamiast tego – w urzędach, szkole i kulturze – promowana ma być miłość do Heimatu i tradycyjna niemieckość. Tę ostatnią definiować mają średniowieczne miasteczka jak Quedlinburg czy Wernigerode i kościółki z kamienia polnego rozsiane po Starej Marchii, ale już z pewnością nie sztuka Bauhausu, którego kolebką jest Dessau, jedno z miast Saksonii-Anhaltu. Poświęcona Bauhausowi broszura dostępna w ośrodku informacji turystycznej w Arneburgu przedstawia go jako symbol nowoczesności, kreatywności i przyszłości. AfD uderza tymczasem w „antyniemiecki" Bauhaus, jak robili to wcześniej naziści, widząc w nim wynaturzenie niemieckiej kultury.

Rewolucji kulturalnej, jaką planuje AfD, dopełnia zapowiedź likwidacji publicznej telewizji regionalnej MDR. AfD króluje w mediach społecznościowych, nic dziwnego, że stacja będąca częścią systemu zdominowanego wciąż przez „stare partie", jak AfD określa swoich przeciwników, uznawana jest za wroga.

Uratujemy ten kraj

Tego wszystkiego dowiedzieć można się z opasłego programu napisanego przez radykalnego ideologa AfD Hansa-Thomasa Tillschneidera. Jednak twarzą partii w kampanii wyborczej i jej kandydatem na premiera landu jest młody i przystojny Ulrich Siegmund, który jak ognia unika skrajnych wypowiedzi. Wprawdzie w jego otoczeniu roi się od neonazistów, ale 40-procentowe poparcie zawdzięcza umiejętności zjednywania zwykłych obywateli.

Plakaty z uśmiechniętym Siegmundem głoszą „Wszystko jest możliwe" albo „Uratujemy ten kraj". Siegmund objeżdża kraj na popularnym w czasach NRD motocyklu Simson, ściska ludziom ręce, uśmiecha się i unika kontrowersyjnych wypowiedzi. Wśród sympatyków AfD budzi euforię – jak na otwierającym kampanię wiecu w Magdeburgu w połowie lipca, gdzie jego pojawienie się na scenie wywołało aplauz niczym na koncercie rockowym.

W coraz bardziej spersonalizowanej polityce ujmujący i budzący sympatię kandydat to prawdziwe złoto, zwłaszcza gdy konkurencja oferuje drugi czy trzeci garnitur. Jednak powody, dla których blisko połowa wyborców Saksonii-Anhaltu gotowa jest oddać głos na AfD, sięgają głębiej. Najprościej doszukiwać się ich w wiejskiej strukturze landu, najgorszej w całych Niemczech sytuacji demograficznej, strachu przed upadkiem ważnego w regionie przemysłu chemicznego, słabości gospodarczej.

AfD kusi obywateli wizją „retropii", czyli wyidealizowanej przeszłości, do której powrót utorować ma odsunięcie od władzy skompromitowanego establishmentu. W Niemczech Wschodnich to konsekwencja traumy transformacji lat 90., a dziś coraz silniejszego poczucia, że przychodzi jej druga fala. To nie tyle bieda pcha ludzi w objęcia AfD, ile strach przed ponowną utratą ciężko wypracowanej równowagi i poczucie bezsilności wobec trendów wyjmujących ich świat z zawiasów. AfD obiecuje, że „będzie znowu normalnie", i stroi się w piórka tej siły, która zrealizuje wreszcie marzenia niedokończonej rewolucji 1989 r.

Widoki na przejęcie władzy przez AfD w Saksonii-Anhalcie, ale także jej możliwy sukces w wyborach w Meklemburgii-Przedpomorzu dwa tygodnie później, podsycają debatę o relacjach między wschodem a zachodem Niemiec. Znowu podnoszą się ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ głosy zniecierpliwienia krnąbrnymi Ossis, którzy przez 35 lat nie odnaleźli się w zjednoczonych Niemczech. Komentator zachodnioniemieckiej „Frankfurter Allgemeine Zeitung" wzywa do zaprzestania subsydiowania landów wschodnich. Ten pomysł pojawia się też w debacie politycznej jako ewentualny sposób dyscyplinowania krajów związkowych rządzonych przez AfD.

Jednak poczucie wyższości Wessis nad ulegającymi autorytarnej pokusie mieszkańcami landów wschodnich byłoby tyleż nieuzasadnione, co krótkowzroczne. To prawda, że AfD dominuje głównie we wschodniej części kraju, ale przecież z 27-procentowym poparciem jest już najsilniejszą partią w całych Niemczech. Być może więc była NRD nie jest aż tak wyjątkowa, a odgrywa raczej rolę awangardy?

Niemcy znajdują się w fazie głębokiego kryzysu gospodarczego, który nie ma charakteru koniunkturalnego, lecz systemowy. Za sprawą m.in. „chińskiego szoku" model gospodarczy oparty na eksporcie i silnym przemyśle (zwłaszcza samochodowym i chemicznym), który dawał im sukces przez dekady, musi zostać wymyślony na nowo. To, co Niemcy wschodni przechodzili w latach 90., coraz częściej dotyczyć będzie też ich zachodnich rodaków.

Linie podziału

Politolodzy nie od dziś głowią się nad fenomenem AfD i ruchu „nowej prawicy". Mark Leonard, dyrektor think tanku European Council on Foreign Relations, uważa, że zdołała ona wypełnić lukę pozostawioną przez słabnące od dekad partie głównego nurtu i nadała polityce inny kształt dzięki nowym kanałom komunikacji. Jego zdaniem nowa prawica, choć – jak AfD – opowiada się za przywróceniem tradycjonalistycznej wersji kultury narodowej, jest w istocie siłą niezwykle nowoczesną i doskonale dostosowaną do warunków współczesnej polityki.

Tę diagnozę podziela głośny niemiecki politolog Philip Manow, którego nowa książka „Spaltungslinien" o liniach podziału we współczesnej polityce ukazała się tego lata. Twierdzi on, że procesy globalizacji i integracji europejskiej doprowadziły do „dekonsolidacji państwa narodowego", czyli osłabienia jego roli w kształtowaniu politycznych i gospodarczych warunków życia obywateli.

Rezultatem jest nowa główna linia podziału w społeczeństwach europejskich. Przez dekady polityka uporządkowana była na osi prawica–lewica w dwóch wymiarach – ekonomicznym i kulturowym. W sprawach dotyczących gospodarki lewica była za etatyzmem, protekcjonizmem i ograniczoną siłą rynku, prawica zaś – za liberalizmem, globalizacją, wolnym rynkiem i małym państwem. W sprawach kulturowych (migracji, gender, religii) to lewica była liberalna i otwarta, prawica zaś – konserwatywna.

Ten świat należy już do przeszłości – dowodzi Manow. Nowy podział dotyczy stosunku do globalizacji i integracji. Po jednej stronie znajdują się niemal wszystkie partie głównego nurtu (chadecy, liberałowie, zieloni, socjaldemokraci), a naprzeciwko nich stoją ugrupowania „nowej prawicy", takie jak AfD, których głównym wspólnym mianownikiem jest właśnie odrzucenie liberalizmu, otwartości oraz opozycja wobec ponadnarodowych procesów integracyjnych.

Jeśli Manow i Leonard mają rację, to wyzwanie, jakie stanowi AfD i podobne jej partie, jest dużo poważniejsze, niż mogłoby się wydawać. „Nowa prawica" stworzyła spójną opowieść o współczesnym świecie, która przemawia do sporej (i nadal rosnącej) części społeczeństwa w wielu krajach. Tej nowej linii podziału nie sposób dziś przełamać korektami polityki podatkowej, reformami państwa socjalnego czy przymykaniem granic. Chodzi bowiem o spór o wiele bardziej fundamentalny.

Polityka, w której o palmę pierwszeństwa walczą demokratyczne, centrowe i proeuropejskie ugrupowania głównego (liberalnego) nurtu, a jego kontestatorzy próbują podgryzać go z pobocza, należy do przeszłości. Niemiecka CDU, partia Adenauera, Kohla i Merkel, spada w sondażach coraz bliżej 20 proc. Na inną „wielką" partię – SPD – chce głosować mniej niż 15 proc. wyborców. 38 proc. robotników, niegdyś najwierniejsza klientela lewicy, już w 2025 r. oddało swój głos na AfD. To miara tektonicznej zmiany, od której odwrotu nie widać.

Jesienne wybory w Saksonii-Anhalcie, Meklemburgii-Przedpomorzu (tu być może SPD cudem jeszcze przegoni AfD) i Berlinie, będą ważną cezurą dla niemieckiej polityki, bo pokażą, jak duża jest odporność demokratycznego centrum. Nie chodzi tylko o sam wynik tych wyborów, lecz o ich konsekwencje. Rząd federalny tworzony przez chadeków i socjaldemokratów wchodzi w ten gorący okres poobijany jak nigdy. Nastroje w obu partiach są fatalne. Czołowi politycy CDU za zamkniętymi drzwiami mówią, że kanclerz Merz nie przetrwa na stanowisku do końca roku.

Jeśli AfD sięgnie po władzę w Saksonii-Anhalcie i pokona SPD w Meklemburgii-Przedpomorzu, nie tylko w tych landach – jak obiecuje jej propaganda wyborcza – „wszystko będzie możliwe", lecz także w partiach koalicji rządowej: wymiana przywództwa, nowy kanclerz (być może premier Bawarii Markus Söder). Kto wie, może nawet przedwczesne wybory.

Koniec kordonu?

Największe polityczne znaczenie będzie mieć jednak pytanie: jak dalej obchodzić się z AfD, którą dotąd otacza kordon sanitarny (albo „zapora ogniowa", jak mówią Niemcy). Wszystkie demokratyczne partie wykluczają koalicję z AfD i jakąkolwiek z nią współpracę. Niedawno „Economist" pisał jednak o fiasku tej polityki, czego świadectwem miałby być stały wzrost poparcia dla AfD. Jednak celem „zapory ogniowej" nie było zduszenie AfD, lecz niedopuszczenie do współrządzenia partii skrajnej i antysystemowej. Problem polega na tym, że w Austrii, gdzie podobna do AfD Partia Wolnościowa nie jest izolowana od ćwierćwiecza, jej współudział w rządach nie przełożył się na spadek popularności. Dziś chce ją wybierać rekordowe 38 proc. wyborców.

Jeśli AfD samodzielnie utworzy rząd landu, to czy inne partie i instytucje państwowe będą mogły ją ignorować? A jeśli zabraknie jej paru głosów do bezwzględnej większości w Saksonii-Anhalcie, to jedyną alternatywą będzie „front ludowy" wszystkich innych partii reprezentowanych w parlamencie – od postkomunistycznej Lewicy po szczerze nienawidzących jej chadeków. Może być to recepta na szybkie fiasko potwierdzające tylko oklepane tezy o kartelu bezideowych starych partii. Część polityków CDU, zwłaszcza we wschodnich landach, wolałaby otworzyć się choć trochę na AfD, niż negocjować kompromisy z lewakami. Dla Merza, całego kierownictwa CDU i zdecydowanej większości jej zachodnioniemieckich struktur „zapora ogniowa" to jednak niewzruszone credo.

Kiedy wyjeżdżałem z Arneburga, było już ciemno, a reflektory oświetlały stojący na skraju drogi plakat wyborczy. Żegna mnie z niego szeroko uśmiechnięty Ulli Siegmund z AfD i napis: „Wszystko będzie dobrze".

PIOTR BURAS

eprasa.pl 0eac8d3e91

Matki, żony, prezydentki

Dwie skrzydłowe amerykańskiej polityki: Karoline Leavitt i Alexandria Ocasio-Cortez. Dwie decyzje o macierzyństwie. Dwie kariery, które mogą się skończyć w tym samym miejscu.

ŁUKASZ WÓJCIK

W amerykańskiej polityce doszło do zaskakującej koniunkcji. Losy dwóch kobiet z zupełnie przeciwnych orbit zbliżyły się do siebie na chwilę i sprowokowały dyskusję o fundamentach – o samostanowieniu kobiet, ich karierze, macierzyństwie, dzieciach, a nawet o przyszłości amerykańskiego narodu.

Pierwsza była Alexandria Ocasio-Cortez. Gwiazda amerykańskiej lewicy, członkini Izby Reprezentantów z Nowego Jorku, miała właśnie wziąć udział w publicystycznym programie „The Week" w telewizji ABC. Zanim jednak weszła do studia, wyciągnęła strzykawkę, podciągnęła bluzkę, chwyciła się za fałd brzucha i wbiła igłę. Oczywiście wszystko nagrała z odpowiednim komentarzem i zamieściła na Instagramie, gdzie ma 9,7 mln obserwujących.

1 W strzykawce nie było żadnych środków wspomagających argumentację, lecz hormony, które mogą się okazać równie pomocne dla kariery politycznej Ocasio-Cortez, znanej też jako AOC. Bezdzietna polityczka w komentarzu do nagrania bowiem ogłosiła, że rozpoczęła kurację, która ma być wstępem do zamrożenia jej komórek jajowych. 36-letnia AOC tłumaczy (upraszczając), że nie ma teraz czasu na dzieci: „To wybór, którego dokonuję, aby poczuć większą kontrolę nad swoim życiem". Zgodnie z przewidywaniami nagranie trafiło do wszystkich mediów, ale zapewne nie wywołałoby takiego wrażenia, gdyby nie wspomniana koniunkcja.

Niecałe 48 godzin po akcji ze strzykawką prezydent Donald Trump poinformował, że z końcem sierpnia z pracy odchodzi jego rzeczniczka prasowa Karoline Leavitt. Kilka godzin później sama zainteresowana tłumaczyła się następująco: „Od czasu powrotu do Białego Domu po narodzinach córki czułam w głębi serca, że nie mogę być najlepszą mamą, na jaką zasługuje dwoje moich małych dzieci, poświęcając jednocześnie nieustanny czas, energię i uwagę wymaganą na stanowisku rzeczniczki prasowej Białego Domu".

Leavitt to gwiazda amerykańskiej prawicy. Medialny buldog Trumpa o anielskim obliczu i kręconych blond włosach. Gdy w 2025 r. zajmowała stanowisko ▶

© MEHMET ESER/ANADOLU/GETTY IMAGES, GETTY IMAGES

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ rzeczniczki, świętowała 27. urodziny – nikt młodszy nie sprawował wcześniej tej funkcji. Wtedy miała już pierwsze dziecko, urodzonego w lipcu 2024 r. Nicholasa. Wówczas wróciła do pracy przy kampanii Trumpa po ośmiu dniach. W maju br. urodziła córkę Viviane i wróciła po 10 dniach. A Trump miał ją powitać w Gabinecie Owalnym słowami: „Dzięki Bogu już jesteś".

Ostatecznie Leavitt jednak zmieniła zdanie i wraca na dłużej do dzieci. Zgodnie z oficjalną wersją rezygnuje z kariery z powodów rodzinnych, a nie np. dlatego, że notowania Trumpa są rekordowo niskie, a ona sama ucieka z tonącego statku. Tak czy inaczej, jej zwolennicy z kręgu MAGA, którzy uważają Leavitt za wcielenie ideału białej chrześcijańskiej kobiety, są już krok od jej kanonizacji.

Teraz postawmy obok siebie Ocasio-Cortez i Leavitt. Pojedynek idealny w spolaryzowanej amerykańskiej polityce. Zderzenie postaw, spotęgowane jeszcze przez materię sporu – kwestię samorealizacji kobiet kontra macierzyństwo. Dobro i zło albo odwrotnie – w zależności od perspektywy. Jak w dobrze wyreżyserowanym filmie hollywoodzkim.

2 Teraz tło. Zamrożenie komórek jajowych to procedura znana fachowo jako kriokonserwacja oocytów. Umożliwia długotrwałe przechowywanie komórek jajowych w bardzo niskiej temperaturze, m.in. po to, by można je było wykorzystać potem – gdy płodność dawczyni z wiekiem spadnie albo gdy zmieni się jej sytuacja prywatna – do zapłodnienia pozaustrojowego, czyli in vitro. Zastrzyki hormonalne trzeba robić przez 8–12 dni. A koszt całej procedury może się wahać między 10 a 20 tys. dol. Nie finansuje jej państwo.

AOC nie jest pionierką w Kongresie. W 2025 r. zastrzyki hormonalne robiła sobie Sara Jacobs, Demokratka z Kalifornii. Nie nagrywała jednak o tym filmików. Opowiadała tylko później: „Ciało boli, hormony szaleją. To jak połączenie dojrzewania z menopauzą".

Elizabeth Gregory, seksuolożka z University of Huston, nazywa mrożenie komórek „oszukiwaniem samej siebie". I odwołuje się do badań Uniwersytetu Kalifornijskiego (UCLA) dotyczących lat 2021–24. Otóż tylko 5,7 proc. kobiet, które poddały się tej procedurze, wraca po swoje komórki jajowe w ciągu pierwszych pięciu lat. Nie wiadomo, ile z nich zaszło

Karoline Leavitt z synem Nicholasem, lipiec br. W maju urodziła córkę Viviane.

w ciążę w sposób naturalny. Ani ilu udało się zajść w ciążę po rozmrożeniu komórek. Słowem, zmrożenie komórek bardzo rzadko kończy się później ciążą.

To oczywiście problem, bo sytuacja demograficzna w Stanach Zjednoczonych nie odbiega od zachodniej normy, czyli jest zła. Liczba mieszkańców wciąż minimalnie rośnie i wkrótce może na chwilę przebić poziom 350 mln, ale głównie za sprawą imigracji. Wskaźnik dzietności u Amerykanek osiągnął szczyt w 2007 r. i od tamtej pory szybko spada – obecnie wynosi 1,6 (w Polsce – 1,07), gdy tzw. zastępowalność pokoleń jest możliwa na poziomie 2,1. To i tak dużo, biorąc pod uwagę minimalne wsparcie, jakie państwo amerykańskie zapewnia matkom.

USA są jedynym na świecie krajem rozwiniętym, który nie zapewnia matkom powszechnego i płatnego urlopu macierzyńskiego (gwarantuje go ponad 120 państw, w tym wszystkie europejskie). Według danych Kongresu tylko co czwarta Amerykanka może skorzystać z takiego urlopu dzięki pakietowi zapewnianemu przez pracodawcę, choć nie ma on takiego obowiązku. Do tego dochodzi brak systemu bezpłatnych żłobków i przedszkoli.

3 Taki opiekuńczy leseferyzm przewrotnie współgra w USA z coraz większą popularnością pronatalizmu. Wiele definicji tego światopoglądu można sprowadzić do podstawowego stwierdzenia, że posiadanie dzieci jest dobre dla rodziców i przyszłości państwa. Przy czym zwolennicy tego poglądu w USA są zdania, że polityka rządu powinna zachęcać ludzi do rodzenia. Tak szeroko ujęty pronatalizm popiera w Stanach wielu lewicowców, m.in. Ocasio-Cortez. Od kilku lat jednak ta idea jest przechwytywana przez prawicę do spółki z konserwatywnymi właścicielami big techów. 14-krotny ojciec Elon Musk doskonale dogaduje się tu z republikańskim szefem Izby Reprezentantów Mikiem Johnsonem, który twierdzi, że aborcje szkodzą gospodarce przede wszystkim dlatego, że „eliminują potencjalnych pracowników".

Sojusz konserwatystów i big techów zupełnie inaczej rozumie pronatalizm niż lewica, czego dowodem jest kariera w tym środowisku tzw. rodzicielstwa bliskości, promowanego przez kontrowersyjną psychoanalityczkę Ericę Komisar. Jej zdaniem matki muszą zostać z dzieckiem przez trzy pierwsze lata, a każde inne rozwiązanie to czysty egoizm. Według niej korzystanie ze żłobków czy z przedszkoli czyni nieodwracalne szkody psychologiczne u matki i dziecka, może np. prowadzić do ADHD. Pozostanie w domu to jednak mało – matka powinna być w stu procentach skupiona na dziecku. Żadnego scrollowania podczas karmienia. Żadnego sprzątania, gotowania „przy okazji" zajmowania się dzieckiem. A jeśli kobieta potrzebuje pomocy, ojciec dziecka jest akceptowalnym, ale tylko krótkoterminowym substytutem.

Skutek takiego myślenia jest przewrotny, bo tam, gdzie lewica widzi rolę dla państwa – np. przy organizowaniu i finansowaniu zbiorowej opieki nad dziećmi (Zohran Mamdani zakładający żłobki w Nowym Jorku) – bo to umożliwia wzrost aktywności zawodowej i zmniejszenie presji ekonomicznej na pracujące rodziny, prawica widzi wymysły liberałów z wybrzeża, którzy egoistycznie chcą robić karierę, zamiast zakładać rodzinę. „Zbiorowa opieka nad dziećmi opłacana z podatków to ogromne wsparcie dla stylu życia zamożnych kosztem preferencji klasy średniej i robotniczej" – twierdzi wiceprezydent J.D. Vance (czworo dzieci).

W słynnym Projekcie 2025, nie do końca jawnym planie rządów prawicy przygotowanym przez Fundację Heritage, znajduje się postulat przekierowania państwowych pieniędzy ze zbiorowej opieki na tę domową (choć przecież nie starczy na nianie dla wszystkich) oraz zapowiedź zamknięcia federalnego programu edukacji wczesnoszkolnej Head Start dla dzieci z rodzin o niskich dochodach.

W tym kontekście pomysł Komisar na rodzicielstwo bliskości nabiera rozpędu, choć trudno go nazwać powrotem

eprasa.pl 0eac8d3e91

do tradycyjnych rozwiązań, jak chcieliby konserwatyści. Macierzyństwo nigdy przecież nie polegało na nieustannym wpatrywaniu się w oczy karmionego dziecka lub rezygnacji z domowych prac, aby bawić się z dzieckiem bez końca. Kobiety może nie zawsze miały karierę zawodową, ale zawsze pracowały. Ten spór pozostałby w dużej mierze akademicki, gdyby dwie polityczki nie weszły w rolę chorążych przeciwstawnych obozów. Zdaniem naszych rozmówców jest to spór tak ważny dla USA, że może obie panie zaprowadzić na sam szczyt.

4 Choć w Izbie Reprezentantów Ocasio-Cortez jest już od siedmiu lat, trudno ją zaliczyć do partyjnego establishmentu. Latynoska z robotniczego Bronxu skutecznie kreuje się na outsiderkę walczącą o prawa kobiet i gorzej zarabiających. Jednocześnie – ze wściekle czerwoną szminką na ustach – jest często krytykowana za „internetowy narcyzm". Potrafi jednak dostosować się do wiejących wiatrów. Choć należy do stowarzyszenia Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA) – siły szybko rosnącej dziś w Partii Demokratycznej – odcina się od najradykalniejszych postulatów tego środowiska i próbuje wejść w rolę zjednoczycielki lewicy. Choćby za pomocą strzykawki.

AOC, wstrzykującej sobie hormony na wizji, udało się coś zaskakującego. Z jednej strony pogodziła całą lewicę, która ostatnio dzięki sukcesom socjalistów i słabości partyjnego establishmentu trzeszczała w szwach. Temat „kobiet kontrolujących własne życie" okazał się wspólnym mianownikiem dla całego spektrum Partii Demokratycznej. Z drugiej – AOC swoją akcją wsadziła klin w prawicę. Standardowa reakcja była łatwa do przewidzenia, czego przykładem może być znana konserwatywna podkasterka Allie Beth Stuckey. W swojej audycji pytała, dlaczego Ocasio-Cortez nie miała dzieci ze swoim wieloletnim partnerem, z którym rozstała się kilka miesięcy temu. I skrytykowała Demokratkę za „gloryfikowanie kłamstwa, że kobiety mogą mieć wszystko – nie mogą. Biologii nie da się zmienić".

Jednak część prawicy, zwłaszcza ta nastawiona pronatalistycznie, jak choćby wiceprezydent Vance, ma problem z AOC, bo przecież mrożenie komórek może w przyszłości pomóc w urodzeniu dzieci. Tu dobrym przykładem była kolejna konserwatywna podkasterka, Katie

Alexandria Ocasio-Cortez zaczyna kurację hormonami. Czy chodzi tylko o macierzyństwo?

Miller, prywatnie żona zastępcy szefa personelu Białego Domu. „Niektóre dzieci są lepsze niż żadne – przekonywała Miller. – Kto chce zwiększyć wskaźnik urodzeń, nie może być purystą w tej kwestii". Nie omieszkała jednak dodać: „Ale najlepiej wziąć ślub wcześnie i mieć dużo dzieci".

Na razie akcja ze strzykawką może oznaczać, że Ocasio-Cortez wzięła się za coś innego. Według internetowej platformy bukmacherskiej Polymarket AOC jest obecnie faworytką w walce o prezydencką nominację Demokratów w 2028 r. – wśród zwolenników tej partii wyprzedza drugiego pod względem popularności polityka, gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma stosunkiem 21 do 17. Z perspektywy czasu decyzja o zamrożeniu komórek jajowych może się więc okazać oryginalną deklaracją startu w wyborach prezydenckich. Z dziećmi na rękach wyborów jeszcze nigdy nikt nie wygrał.

5 Ale nigdy nie mów nigdy. – *Leavitt z pewnością ma talent* – mówi Jeffrey Winters, profesor nauk politycznych z uniwersytetu Northwestern. – *Jej medialna sprawność tak się spodobała wizytującemu Waszyngton Viktorowi Orbánowi, że podobno chciał ją zatrudnić w swoim sztabie.* Leavitt przyznaje, że bardzo wiele zawdzięcza swoim poprzedniczkom na tym stanowisku. Od Kayleigh McEnany (gwiazdy Fox News, rzeczniczki Białego Domu w latach 2020–21) przejęła wspólną modlitwę z zespołem medialnym, podczas której prosiła Boga m.in. o pewność siebie, zdolność do wyrażania myśli prezydenta Trumpa i o godne jego reprezentowanie. Od Sarah Huckabee Sanders (rzeczniczki w latach 2017–19) nauczyła się ponoć, że tego samego dziennikarza można upokorzyć przed kamerami, a zaraz później dopieścić kontrolowanym przeciekiem.

Te wspólne modlitwy i wielki krzyż wiszący zazwyczaj u szyi Leavitt nigdy nie przeszkadzały jej kłamać. Niechętne jej media przygotowały w ramach pożegnania całe litanie, które zazwyczaj otwiera sprawa rzekomych 50 mln dol., jakie – zdaniem rzeczniczki – administracja Joe Bidena miała przekazać na zakup prezerwatyw dla mieszkańców Strefy Gazy. Przez wiele tygodni twierdziła też, że cła na zagranicznie towary, którymi miota prezydent Trump, nie są żadnym dodatkowym podatkiem nałożonym na amerykańskich konsumentów, choć praktycznie wszyscy ekonomiści twierdzą coś dokładnie przeciwnego.

Leavitt szczyci się tym, że odmieniła sposób komunikacji Białego Domu z mediami, co w praktyce oznacza, że z oficjalnych konferencji zostali wykluczeni najwięksi „czepiacze", a ich miejsce zajęli ludzie pokroju Billa Goodykoontza z „The Arizona Republic", który ma w zwyczaju przed każdym pytaniem chwalić prezydenta za roztropność i umiarkowanie.

Rzecznik Białego Domu zawsze był showmanem (lub showmanką). To inny świat dla dziennikarzy mających relacje np. z nudnymi do bólu rzecznikami Komisji Europejskiej. Na tym tle waszyngtońskie konferencje prasowe są jak ekstremalne zawody w retoryce i złośliwościach. – *W świetle kamer rozgrywają się tam pojedynki aż do honorowej śmierci i rodzą się gwiazdy amerykańskiej polityki* – uważa Winters.

Dlatego redaktor magazynu „The Atlantic" Franklin Foer powątpiewa, czy tak „naładowana politycznie" Leavitt rzeczywiście zajmie się dziećmi, gdy odejdzie z Białego Domu. Tak jak nie było prawdą, że przez ostatnie miesiące zajmował się nimi jej mąż, starszy o 32 lata Riley Roberts, deweloper z New Hampshire z majątkiem liczonym w dziesiątkach milionów dolarów. – *Wróżę jej dużą karierę w jednej z prawicowych stacji telewizyjnych albo w kolejnej emanacji „Tańca z gwiazdami". A może coś więcej?* – zastanawia się Foer.

To „coś więcej" pojawiło się kilka razy w naszych rozmowach z ekspertami. Bo moment odejścia Leavitt można interpretować też w innych kategoriach. Biały Dom przechodzi do defensywy, co jest związane nie tylko z coraz gorszymi notowaniami prezydenta, ale też z zapowiedzią klęski Republikanów w listopadowych wyborach połówkowych do Kongresu. Odchodząc teraz, Leavitt zachowuje zwycięski wizerunek polityczny i zyskuje aureolę matki Amerykanki, czego zapewne nie będzie można powiedzieć o wielu innych politykach republikańskich. Czy więc chciałaby wrócić do Białego Domu w innej roli?

ŁUKASZ WÓJCIK

© DANIEL HEUER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, FACEBOOK ALEXANDRIA OCASIO-CORTEZ

eprasa.pl 0eac8d3e91

W Szwecji, czyli w kolebce praw dziecka, państwo będzie miało teraz prawo wsadzić za kratki nawet 14-latków. To skutek bezradności, nierówności społecznych i populizmu.

Cele dla dzieci

Zakład karny Kumla. Tu trafią pierwsi nieletni więźniowie.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

Przeciwko byli niemal wszyscy. Rzecznik praw dziecka, kryminolodzy, służby więzienne, policja, psycholodzy, szwedzki oddział organizacji Save the Children, UNICEF, Urząd ds. Równości, Szwedzki Związek Adwokatów i wielu innych. Jednak w sierpniu szwedzki parlament i tak przegłosował kontrowersyjne prawo, które pozwala na zamykanie w więzieniach 14-latków. I tak dobrze, że nie jeszcze młodszych dzieci, bo przez niemal rok forsowany był pomysł wsadzania do więzień osób już 13-letnich. Powód obniżenia wieku? W 2025 r. wśród osób podejrzanych o udział w zabójstwach i ich planowaniu było 127 osób poniżej 15. roku życia.

Zupełnie nie sprawdzają się szwedzkie zakłady poprawcze SiS, w których dotychczas osadzano nieletnich przestępców. Z badań wynika, że 90 proc. opuszczających poprawczak wraca do świata kryminalistów. W lutym tego roku minister sprawiedliwości Gunnar Strömmer alarmował: „Dzieci popełniają coraz poważniejsze przestępstwa, a obecny system za tym nie nadąża". Stwierdził też, że poprawczaki należy zamknąć, a dzieci muszą trafić za kratki.

Pierwszy oddział dla nieletnich już działa w zakładzie karnym Kumla, czyli najcięższym więzieniu w kraju. Cele dla 32 dzieci powstały tam na miejscu oddziału dla 64 dorosłych. Nowi więźniowie będą tam osadzeni w jedno- lub dwuosobowych celach zamkniętych przez 11 godzin na dobę (czyli w nocy). Resztę czasu spędzą wyłącznie na swoim oddziale, bez kontaktu z dorosłymi więźniami, a na każdego młodocianego skazanego przypadać będą trzej pracownicy. W więzieniu działa już szkoła.

Dyrektorem zakładu Kumla jest powszechnie szanowany karnista Jacques Mwepu. Do Szwecji przybył w 1990 r. z Demokratycznej Republiki Konga w ramach programu dla uchodźców uciekających przed represjami. Kiedy toczyła się dyskusja o niebezpiecznym procederze wciągania dzieci w działalność szwedzkich gangów i o pomyśle obniżenia „wieku więziennego", Mwepu był zdecydowanie przeciwny. Teraz jednak jako lojalny urzędnik musi wypełnić swój obowiązek. „Dzieci nie powinny przebywać w więzieniach – powiedział dziennikowi „Dagens Nyheter". – Skoro jednak ponieśliśmy porażkę, próbując radzić sobie w inny sposób z dziećmi, które zabijają, chcę uczestniczyć w procesie ich resocjalizacji. Chcę je uratować przed przestępczością i przed tym, że same mogą zostać zabite".

Szwecja ma ewidentny problem z niektórymi swoimi dziećmi. W 2023 r., kiedy doszło do eskalacji gangsterskich strzelanin, szef szwedzkiej policji

© PONTUS LUNDAHL/TT NEWSAGENCY/FORUM

eprasa.pl 0eac8d3e91

Anders Thornberg podkreślał, że gangi nie mają żadnych problemów z rekrutowaniem niepełnoletnich, a zdarza się nawet, że dzieci z trudnych przedmieść same chcą zostać płatnymi zabójcami, bo jest to szybki zarobek. „Przeciwdziałanie temu, by dzieci stawały się zabójcami, wymaga dalekowzrocznych i konsekwentnych inwestycji ze strony społeczeństwa" – przekonywał. Dzieci były „poręczne" dla gangów. Nie ryzykowały (jeszcze) długich kar więzienia. A płacono im mniej niż dorosłym zabójcom. Przed akcjami często brały tramadol, silny lek opioidowy, który działał przeciwbólowo i otępiająco.

Cały czas mowa o kraju Astrid Lindgren, który postrzegany jest jako wzór, jeśli chodzi o stosunek do dzieci, słynie z ich podmiotowego i łagodnego traktowania. Szwedzi bywają wręcz krytykowani za nadmierny liberalizm wychowawczy, rozpieszczanie najmłodszych, w Polsce czuć to w słowach „szwedzkie wychowanie". Tu na dzieci się nie krzyczy, a jednocześnie traktuje się je jako istoty od małego kompetentne. To widać i słychać na ulicach, w przedszkolach, na placach zabaw.

Szwecja słynie też z programów antymobbingowych w szkołach czy z przeciwdziałania przemocy w rodzinie, co czasem prowadzi do szybszego niż w Polsce odbierania praw rodzicielskich lub przenoszenia dzieci z rodzin problematycznych do zastępczych. To pierwszy na świecie kraj, który wprowadził zakaz bicia dzieci (w 1976 r.). I to prawo jest egzekwowane, nawet klaps uchodzi za bicie. Dlatego tak trudno uwierzyć, że teraz (niektóre) szwedzkie dzieci trafią do więzienia.

Zmianę prawa poparły nie tylko centroprawicowe partie wchodzące w skład rządu oraz skrajnie prawicowi Szwedzcy Demokraci, którzy od zawsze są zwolennikami radykalnych rozwiązań, ale także Socjaldemokraci, czyli partia, która historycznie stała murem za prawami dziecka i za humanitarną polityką penitencjarną. To Socjaldemokraci od lat 60. podkreślali w polityce karnej znaczenie resocjalizacji i opieki nad więźniem. Zresztą szwedzka nazwa więziennictwa to nadal kriminalvård, czyli opieka penitencjarna – tak jak ochrona zdrowia to sjukvård, opieka nad chorymi.

Co więc się stało? Od mniej więcej dekady Szwecja ma poważny problem z przestępczością zorganizowaną, dopiero w tym roku nowe metody pracy policji doprowadziły do spadku liczby strzelanin. Te zaś miały zawsze związek z gangsterskimi porachunkami, ale zdarzały się też ofiary przypadkowe. „Spośród krajów, które nie są w stanie wojny, tylko w Meksyku wybucha więcej bomb niż w Szwecji" – powiedział w 2023 r. gazecie „Svenska Dagbladet" kryminolog Ardavan Khoshnood, gdy w willowej dzielnicy w Uppsali doszło do kolejnej eksplozji. Do podrzucania ładunków wybuchowych gangi chętnie zatrudniały właśnie nieletnich. Co więcej, szwedzcy nieletni bandyci bywali nawet zatrudniani przez grupy przestępcze z krajów sąsiednich, m.in. z Danii.

Gwałtowny wzrost przestępczości nieletnich sprawił, że w Szwecji zaczęły się pojawiać głosy nawołujące do zaostrzania kar. Powtórzył się schemat znany z innych zachodnich demokracji: politycy i obywatele wierzą, że lekiem na zło jest wydłużony czas przebywania w więzieniu, a kryminolodzy zazwyczaj uważają, że na przestępców działa nieuchronność kary, a nie długość, dlatego tak kluczowa jest choćby sprawność policji.

W Szwecji jeszcze w 2022 r. odsetek wyjaśnionych zabójstw w środowisku przestępczym z użyciem broni palnej wynosił zaledwie 29 proc., wcześniej bywało jeszcze słabiej. Sytuacja zaczęła się poprawiać w 2023 r., kiedy ten poziom podniósł się do 55 proc. W tym roku mamy też do czynienia ze znacząco mniejszą liczbą strzelanin. Wygląda na to, że policja zaczyna panować nad sytuacją. Jednocześnie więzienia są coraz bardziej przepełnione. Z tego powodu Szwecja podpisała umowę z Estonią i część tutejszych osadzonych będzie teraz odbywać kary u bałtyckiego sąsiada.

Kary pozbawienia wolności dla dzieci oznaczają jednak kolejne wyzwanie i duże wydatki dla służb więziennych. A policja ostrzega, jeśli 14-latkowie nie będą już mogli liczyć na łagodniejsze traktowanie, gangi mogą sięgnąć po jeszcze młodsze dzieci, nawet 10-letnie. Podobnie uważa znany kryminolog Leif GW Persson: – Gangi pozyskują swoimi metodami coraz młodszych sprawców. Także Szwedzkie Stowarzyszenie Adwokatów twierdzi, że reforma doprowadzi do dodatkowego obniżenia wieku osób zaangażowanych w działalność kryminalną.

Młodociani przestępcy nie biorą się jednak znikąd. Jerzy Sarnecki, polski kryminolog pracujący w Szwecji, w rozmowie z POLITYKĄ przekonuje, że dzieci zatrudniane do zabijania pochodzą z trudnych, często imigranckich, rodzin, z dzielnic biedy, beznadziei i braku perspektyw. Młodocianych gangsterów w Szwecji raczej by nie było, gdyby nie rosły w tym kraju tak gwałtownie podziały społeczne i grupy ludzi wykluczonych, gdyby nie przybywało gett, rejonów, gdzie brak dobrych szkół i autorytetów, za to rządzi prawo pięści.

Jacques Mwepu, dyrektor więzienia Kumla, uważa nowe prawo za błąd, sam zresztą od lat jest w zarządzie szwedzkiej organizacji Save The Children. „Moi przyjaciele pytają, jak zamierzam poradzić sobie z tą sytuacją, skoro dbam o prawa dzieci – wyznaje w jednym z wywiadów. – Odpowiadam, że to chyba dobrze, że to właśnie ja będę te dzieci przyjmować w Kumla".

Mwepu jest życiowym optymistą. Wierzy w resocjalizację i w to, że da się pomóc osobom, które – mimo że zostały zabójcami w tak młodym wieku – nie zdążyły się jeszcze do końca pogrążyć się w przestępczości. „To nadal są dzieci, a dzieci są bardzo podatne na wpływy. Dlatego myślę, że mamy szansę odnieść sukces w pracy wychowawczej. Wierzę, że nam się uda, nie mogę popaść w zwątpienie. To byłoby niebezpieczne dla tych dzieci". Zbliża się już do emerytury i często powtarza, że miał w Szwecji dobre życie. Jednocześnie dostrzega, że w tym kraju coś się głęboko zmieniło, nastąpiła zmiana paradygmatu. „Widać to w sposobie, w jaki patrzy się dziś na obcego" – powiedział w jednym z wywiadów.

Z kolei kryminolog David Sausdal uważa, że w szwedzkiej walce z przestępczością politycy chcą używać młotka – nikt nawet nie sprawdza, czy nie dałoby się zamiast niego użyć śrubokrętu. To dobra metafora. Jej znaczenie łatwiej zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę, że w więzieniu Rosersberg na północ od Sztokholmu, gdzie także powstał oddział dla dzieci, niepełnoletni przestępcy będą mogli mieć w celach misie i inne maskotki. ■

eprasa.pl 0eac8d3e91

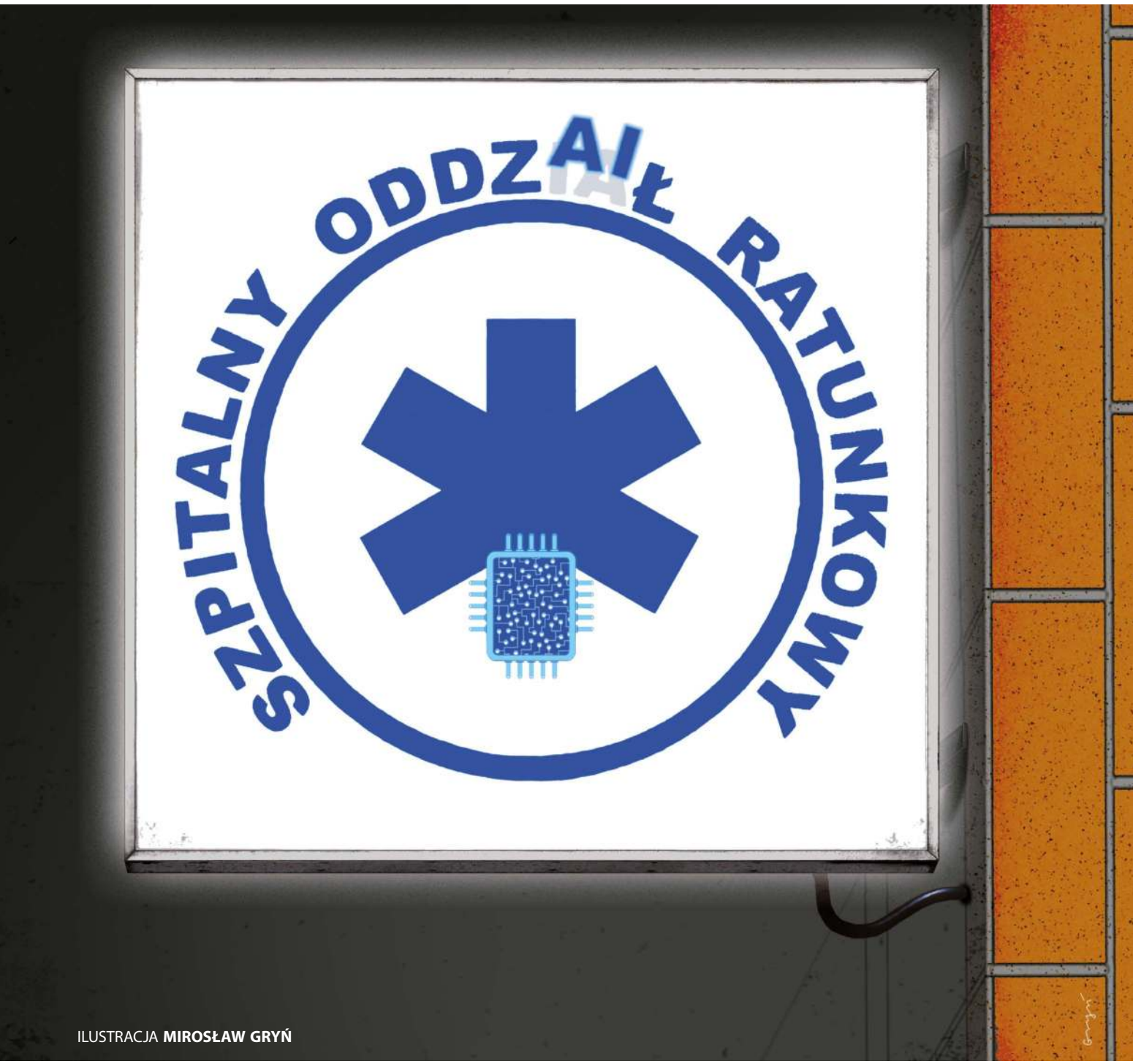

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Ostry dyżur z AI

Sztuczna inteligencja potrafi diagnozować trafniej niż specjaliści. Ale jej wykorzystanie w praktyce może przypominać wprowadzanie na rynek silnego, nie do końca przebadanego leku.

eprasa.pl 0eac8d3e91

MARCIN ROTKIEWICZ

Chyba każdy, kto musiał skorzystać ze szpitalnego oddziału ratunkowego (SOR), doświadczył ogromnie stresującej atmosfery tego miejsca, zwłaszcza w większych miastach. Nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie opieka medyczna kosztuje najdrożej na świecie (w przeliczeniu na mieszkańca), sytuacja zaskakująco przypomina to, z czym mają do czynienia polscy pacjenci.

Dlatego szpitale na całym świecie z radością powitałyby każde rozwiązanie odciążające SOR-y. Czy w takiej roli sprawdziłaby się sztuczna inteligencja? Prestiżowy tygodnik naukowy „Science" opublikował w tym roku bardzo ciekawe wyniki badania na ten temat. Składało się ono z sześciu eksperymentów, w których w roli głównej wystąpił model o1-preview firmy OpenAI (udostępniony po raz pierwszy we wrześniu 2024 r.). Najbliższy praktyce klinicznej był test wykorzystujący surowe i zanonimizowane dane 76 losowo wybranych pacjentów, którzy zgłosili się do oddziału ratunkowego jednego z bostońskich szpitali. Eksperci oceniali diagnozy postawione przez dwóch lekarzy oraz te przygotowane przez AI, nie wiedząc (tzw. ślepa próba), co wyszło spod ręki człowieka, a co napisał algorytm.

Przewaga w triażu

Okazało się, że o1 przewyższał jakością odpowiedzi zarówno wcześniejsze modele OpenAI, jak i dwóch doświadczonych specjalistów. A jego przewaga najbardziej uwidoczniła się na początkowym etapie selekcji medycznej przypadków (czyli tzw. triażu), gdy decyzje trzeba podejmować bardzo szybko, dysponując zaledwie wycinkiem informacji. Model zaproponował dokładną lub bardzo bliską prawdy diagnozę w 67,1 proc. przypadków, podczas gdy lekarze uzyskali wyniki na poziomie 55,3 proc. i 50 proc. Potrafił bowiem umiejętnie łączyć rozproszone fragmenty nieustrukturyzowanych danych pochodzące z dokumentacji medycznej.

Z kolei w testach z wykorzystaniem NEJM Healer – edukacyjnej platformy, na której lekarze ćwiczą wnioskowanie kliniczne, prowadząc symulowane konsultacje z wirtualnymi pacjentami – o1 osiągnął jeszcze wyraźniejszą przewagę. Maksymalną liczbę punktów zdobył w 78 z 80 przypadków. Dla porównania: GPT-4 w 47, lekarze specjaliści w 28, rezydenci zaś w 16.

Również naukowcy z Google Research umieścili niedawno w internecie pracę (tzw. preprint, czyli już gotową publikację, ale jeszcze niezrecenzowaną przez innych specjalistów), prezentującą system AMIE (Articulate Medical Intelligence Explorer). Został on sprawdzony w warunkach zbliżonych do rzeczywistych – za pomocą wiadomości tekstowych algorytm rozmawiał z prawdziwymi pacjentami zapisanymi na wizyty w pewnej bostońskiej klinice. AMIE zbierał wywiad i omawiał możliwe rozpoznania, a robił to nawet pięć dni przed spotkaniem chorego z lekarzem. Następnie na podstawie konwersacji układał listę prawdopodobnych diagnoz. Jak się okazało, ta najbardziej trafna znalazła się w pierwszej trójce jego typów w 75 proc. przypadków, a na pierwszym miejscu – w 56 proc. To wyniki porównywalne z osiągniętymi przez lekarzy, do których trafili pacjenci biorący udział w eksperymencie. Jak jednak przyznają autorzy badania, same plany leczenia zaproponowane przez ludzi były bardziej praktyczne i tańsze.

Wykrywacze rzadkich chorób

Na początku tego roku chińscy badacze przedstawili na łamach „Nature" system sztucznej inteligencji DeepRare. Ma przyjść z pomocą osobom dotkniętym przez choroby rzadkie (ponad 300 mln ludzi), które ze względu na ogromną różnorodność objawów klinicznych są dla lekarzy trudnym wyzwaniem. Dlatego pacjenci często doświadczają tzw. odysei diagnostycznej, trwającej średnio ponad pięć lat. W tym czasie padają ofiarą błędnych rozpoznań, niepotrzebnych interwencji medycznych oraz ogromnego obciążenia psychicznego i finansowego.

DeepRare bazuje na dużych modelach językowych (takich jak ChatGPT), ponad 40 specjalistycznych narzędziach analitycznych oraz aktualizowanych na bieżąco bazach wiedzy medycznej. Potrafi też przetwarzać różnorodne dane wejściowe: od zwykłych notatek lekarskich, przez wystandaryzowane terminy medyczne opisujące objawy pacjenta, aż po surowe wyniki zaawansowanych badań genetycznych. I na tej podstawie generuje ranking najbardziej prawdopodobnych schorzeń.

Skuteczność systemu poddano testom na prawie 6,5 tys. przypadków klinicznych. W bezpośrednim porównaniu z doświadczonymi specjalistami o ponaddziesięcioletnim stażu AI osiągnęła skuteczność na poziomie 64,4 proc., a lekarze trafnie wytypowali chorobę w pierwszym wyborze w 54,6 proc. przypadków. Dodatkową zaletą DeepRare jest przejrzystość. Każda proponowana diagnoza poparta zostaje logicznym, weryfikowalnym przez człowieka łańcuchem wnioskowania, odsyłającym do konkretnej literatury medycznej lub opisów podobnych przypadków.

Testować jak nowe leki

Ponieważ podobnych doniesień o nowych zastosowaniach AI w medycynie pojawia się coraz więcej, a algorytmy już pomagają medykom analizować m.in. zdjęcia z tomografii komputerowej, serwis internetowy „Nature" postanowił sprawdzić, czy jesteśmy świadkami przejmowania kontroli nad medycyną przez (nieludzko) inteligentne maszyny. Odpowiedź okazuje się następująca: owszem, systemy te robią spore wrażenie swoimi możliwościami, ale do zastępowania lekarzy w przychodniach czy szpitalach wciąż im daleko.

Entuzjazm studzą sami autorzy opisanych na początku tekstu algorytmów. Adam Rodman – lekarz z Harvard Medical School i współautor pracy o zastosowaniu AI na SOR-ze, zaangażowany również w tworzenie ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

systemu AMIE – podkreśla w rozmowie z „Nature", że imponująca skuteczność diagnostyczna to jedno, a bezpieczne wdrażanie do praktyki klinicznej to drugie. Dotychczasowe eksperymenty nie sprawdzały jeszcze, jak ta technologia zadziałałaby w prawdziwym szpitalu – ani algorytmy, ani lekarze biorący udział w bostońskim teście nie mieli okazji porozmawiać z pacjentami.

Żeby to zmienić, potrzebne byłyby rzetelne badania kliniczne – takie jak właśnie zaplanowane przez Google, które obejmie sporą grupę pacjentów z całych USA. Konkretów na ten temat dostarcza firmowy blog laboratorium AI Google Research. Ochotnicy mają być losowo przydzielani do grup (tzw. randomizacja, metoda uznawana za złoty standard w medycynie), a AMIE będzie mierzyć się z prawdziwymi pacjentami i ich realnymi dolegliwościami w warunkach opieki zdalnej (*virtual care*), a nie – jak dotychczas – z odgrywającymi role aktorami czy wyselekcjonowanymi opisami przypadków. Chodzi o to, by zebrać wiarygodne dane na dużą skalę i lepiej poznać nie tylko możliwości, lecz również ograniczenia systemu.

Zwłaszcza że medycyna bywa chaotyczna, bo nie zawsze objawy występujące u pacjentów pasują do tych z podręczników – zauważa w rozmowie z „Nature" dr David Wu z Harvard Medical School. I nie udało się jeszcze wykazać, żeby systemy AI potrafiły radzić sobie z tym bałaganem. Wu ma zresztą powody do ostrożności. Kiedy poprosił testowany przez niego algorytm o drugą opinię dla pacjenta, otrzymał w odpowiedzi skrajnie niebezpieczną sugestię. To skłoniło go do opracowania, wraz z innymi naukowcami, metody NOHARM służącej do wyłapywania potencjalnie szkodliwych porad generowanych przez zaawansowane systemy AI. Jej autorzy postulują, żeby testy kliniczne algorytmów sztucznej inteligencji obowiązkowo raportowały zdarzenia niepożądane, jak robi się to przy badaniu nowych leków. Wstępne wyniki analiz zespołu Wu okazały się bowiem dość niepokojące – w przypadku 31 badanych algorytmów ryzyko wygenerowania potencjalnie poważnych szkód dla pacjenta występowało w ok. 22 proc. przypadków.

Przyzwyczajenie do podpowiedzi maszyny może osłabić motywację i koncentrację klinicystów.

Lekarzu, lecz sam

Dlatego zastępowanie lekarzy przez AI to przyszłość, i to raczej dalsza. Za to już dziś algorytmy sprawdzają się w roli ich asystentów – odciążając od wykonywania prostszych zadań, jak sporządzanie notatek czy odnawianie recept (to drugie testowane jest właśnie w amerykańskim stanie Utah). Przykładem takiej udanej kooperacji człowiek–maszyna okazał się system AI Consult, na podstawie elektronicznej dokumentacji podpowiadający medykom w Nairobi, jakie badania należy zlecić i jakie sposoby leczenia wdrożyć. Dzięki temu – jak wynika z testów – popełniali oni o 16 proc. mniej błędów diagnostycznych i o 13 proc. mniej terapeutycznych. Dlatego – zdaniem Karandeepa Singha, specjalisty od medycznej AI z University of California w San Diego – przyszłość należy do maszyn włączanych do zespołów lekarzy. Zwłaszcza że obecna opieka zdrowotna sama daleka jest od ideału.

Choć i w tym obszarze pojawiają się sygnały ostrzegawcze, np. publikacja z października 2025 r. w „The Lancet Gastroenterology and Hepatology". Opisuje wyniki badania przeprowadzonego przez międzynarodowy zespół naukowców w czterech ośrodkach medycznych w Polsce. Wzięło w nim udział 19 doświadczonych lekarzy mających na koncie ponad 2 tys. przeprowadzonych kolonoskopii. Pod koniec 2021 r. w ich miejscach pracy zainstalowano nowoczesny system AI, który w czasie rzeczywistym analizuje obraz z kamery i pomaga wykrywać gruczolaki, czyli zmiany przednowotworowe w jelicie. Był jednak aktywowany losowo tylko w wybrane dni. W ten sposób badacze mogli sprawdzić, jak rutynowy kontakt z tym wirtualnym asystentem wpłynie na jakość pracy medyków wtedy, gdy zdani byli wyłącznie na siebie.

Wyniki okazały się niepokojące. W trzymiesięcznym okresie przed wprowadzeniem AI lekarze wykrywali gruczolaki średnio u 28,4 proc. pacjentów. Gdy jednak przyzwyczaili się do wsparcia ze strony algorytmów, ich skuteczność podczas niewspomaganych przez AI kolonoskopii spadła do 22,4 proc. Co to oznacza w praktyce? Jak sugerują autorzy, przyzwyczajenie do podpowiedzi maszyny może osłabić motywację i koncentrację klinicystów, a także ich poczucie odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

Problem zaś jest na tyle nowy, że obecnie nie ma żadnych sprawdzonych metod zapobiegania zjawisku obniżenia kwalifikacji (ang. *deskilling*). Trudno więc się dziwić, że 70 proc. pielęgniarek i 77 proc. lekarzy w USA obawia się utraty umiejętności wskutek nadmiernego polegania na AI.

Zresztą kwestia ta nie dotyczy tylko medycyny. Badacze z firmy Anthropic (stworzyła popularny model Claude) przeprowadzili eksperyment z udziałem 52 inżynierów oprogramowania, którym zlecono proste zadanie, ale połowa mogła korzystać z asystenta AI. W późniejszym teście sprawdzającym, czego się nauczyli, grupa wspierana przez sztuczną inteligencję wypadła wyraźnie gorzej, uzyskując średnio 50 proc. punktów wobec 67 proc. w grupie bez AI. Najwięcej kłopotu przysporzyło wykrywanie błędów w kodzie komputerowym, co sugeruje, że informatycy nie rozumieli do końca, jak on działa, choć sami go napisali (ale z pomocą AI).

Postęp w dziedzinie medycznej sztucznej inteligencji przypomina zatem wprowadzanie na rynek bardzo silnego, choć nie do końca przebadanego leku. Algorytmy mogą rozładować kolejki w szpitalach, nie wolno jednak zapominać o poważnych skutkach ubocznych. A złota zasada medycyny brzmi: „Przede wszystkim nie szkodzić". I w erze cyfrowych asystentów nabiera ona nowego znaczenia. Chodzi już nie tylko o to, by nie szkodzić pacjentom generowanymi przez maszyny błędami, lecz także by nie zaszkodzić samym sobie, oddając algorytmom ciężko wypracowaną, ekspercką wiedzę i obniżając własne kwalifikacje.

MARCIN ROTKIEWICZ

eprasa.pl 0eac8d3e91

Muzeum Andersena w Odense

Przyszła przeszłość

Muzealnicy z kraju wikingów, Hamleta i Andersena dokładają starań, by zabytki nie zatrzymały się w czasie i prowadziły dialog ze współczesnością.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W Roskilde właśnie zaczyna się jedno z ciekawszych przedsięwzięć konserwatorskich w Europie. Pięć wikińskich statków wydobytych z dna fiordu lada moment opuści otwarte w 1969 r. modernistyczne muzeum, ponieważ światło wpadające przez przeszklenia szkodzi zakonserwowanemu drewnu, a stojącemu nad wodą budynkowi coraz bardziej zagrażają sztormy i podnoszący się poziom morza. Już ruszyła przebudowa starej hali, ale ponieważ zdążyła stać się zabytkiem, Duńczycy planują jej unowocześnienie, zachowując 90 proc. betonu i 80 proc. cegieł.

To modelowy przykład duńskiego podejścia do zabytku i przeszłości. Podczas gdy konserwatorzy na całym świecie się zastanawiają, czy odbudowywać zniszczone budowle, pozostawiać je jako romantyczne ruiny czy może współczesną architekturą dopisywać do nich kolejne rozdziały, Duńczycy od dawna wybierają tę trzecią możliwość. To, co dziś robią z Muzeum Łodzi Wikińskich w Roskilde, jest kolejną odsłoną sposobu myślenia o zachowaniu zabytków i o roli przeszłości we współczesnym świecie.

Baśń o ruinie z przyszłością

W połowie XIII w. na granicy Królestwa Danii i księstwa Szlezwiku król Krzysztof I wzniósł Twierdzę Koldinghus. Kilkaset lat była jedną z ważniejszych rezydencji duńskich monarchów, dopóki w marcu 1808 r. stacjonujący na zamku żołnierze nie zaprószyli ognia. W ciągu kilku godzin twierdza zamieniła się w ruinę. Przez 170 lat dyskutowano, co z nią zrobić, aż zdecydowano się na projekt Inger i Johannesa Exnerów, którzy niezwykle udanie pokazali, jak kolejne epoki dopisywały nowe rozdziały do tego miejsca. Dobudowane dębowe schody, stalowe konstrukcje, betonowe stropy i przeszklone galerie nie udają, że są średniowieczne, wkomponowano je jednak w historyczne mury tak, że doskonale widać, gdzie kończy się mur z XIII w. i zaczyna interwencja z końca XX w. Podejście zwane *adaptive reuse* ma uzasadnienie ekologiczne, bo adaptacja ruiny wymaga mniej energii i materiałów niż jej wyburzenie i wzniesienie atrapy zabytku. W ten sposób ochrona dziedzictwa łączy się z dbałością o środowisko, co doskonale widać też w Helsingør, gdzie nieczynny dok stoczniowy z lat 50. XX w. zaadaptowano na nowoczesne Muzeum Morskie.

Otwarte w 2013 r. M/S Museet for Søfart zaprojektowała pracownia Bjarke Ingelsa, której udało się odwrócić tradycyjne myślenie o muzeum jako budynku służącym za „opakowanie" dla zbiorów. Tam sam budynek miał opowiadać historię duńskiej żeglugi, dlatego zwiedzający wchodzą łagodną rampą do holu głównego, którego podłoga też delikatnie opada, a półki z muzealnymi gadżetami wiszą ▶

© MUSEUM ODENSE

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ na linach niczym wyposażenie okrętu. Lekki przechył sprawia, że zanim zobaczy się pierwszy eksponat, ciało zaczyna odbierać przestrzeń inaczej. Sale wystawowe rozmieszczone są wokół suchego doku i łączą się przeszklonymi mostkami zawieszonymi nad betonową niecką, co czyni ją najważniejszym eksponatem. Zakopane w ziemi muzeum znajduje się tuż przy Zamku Kronborg, który stanowi dalszą, bardziej klasyczną część opowieści o duńskiej dominacji na morzu.

Choć renesansową twierdzę większość kojarzy jako zamek Hamleta, w którym pada słynne zdanie „Źle się dzieje w państwie duńskim", w rzeczywistości Szekspir raczej jej nie odwiedził, a władający nią Duńczycy radzili sobie całkiem nieźle. Twierdzę zbudowano nad szeroką na zaledwie 4 km cieśniną Sund, kluczową drogą z Morza Północnego na Bałtyk. Kto ją kontrolował, ten czerpał krociowe zyski z handlu morskiego, tym bardziej że od 1429 r. przepływające nią statki uiszczały cło sundzkie (*Øresundstolden*).

Wprowadził je Eryk Pomorski – urodzony w Darłowie Bogusław, jako kilkulatek sprowadzony na dwór Małgorzaty I, która po śmierci jedynego syna, następcy tronu, adoptowała krewniaka, zmieniła mu imię i przygotowała go do roli władcy Danii, Norwegii i Szwecji. Po objęciu tronów Eryk/Bogusław popadł w konflikty z możnymi i utracił wszystkie trzy korony, po czym osiadł na Gotlandii i parał się korsarstwem. Zachowane księgi ceł sundzkich są źródłem wiedzy o gospodarce Europy Północnej i dowodzą, że władca ten zapewnił duńskiej monarchii źródło dochodów na kilka wieków. Ostatecznie spoczął jednak w Darłowie, dokąd wrócił w 1449 r., a nie w Roskilde wśród innych duńskich królów.

Baśń o wikingach w DNA

W gotyckiej katedrze w Roskilde od XV w. pochowano 39 duńskich monarchów. Choć władze kościelne niechętnie zgadzają się na otwieranie ich grobowców, w 2003 r. zespół genetyka Eske Willersleva przebadał DNA z zębów pierwszych pochowanych tam władców, czyli zmarłego w 1074 r. Swena II oraz kobiety spoczywającej w jednym z filarów prezbiterium. Analizy wykluczyły, żeby była jego matką Estrydą, jak dotąd sądzono. W Roskilde królewska historia zapisana jest w kamieniu i DNA, dzieje zwykłych ludzi epoki wikińskiej są natomiast odczytywane z drewna wydobytych z morza statków. Podczas gdy katedra funkcjonuje głównie jako miejsce pamięci, Muzeum Łodzi Wikińskich od początku było zapleczem badań przeszłości, którą nie tylko chce się zachować, ale i zrozumieć.

W latach 60. XX w. podczas pogłębiania toru wodnego archeolodzy natrafili na pięć wikińskich jednostek zatopionych celowo ok. 1070 r. w najwęższym miejscu fiordu, aby zablokować dostęp wrogiej flocie. W wielu krajach po ich wydobyciu i konserwacji trafiłyby do muzeum, ale Duńczycy założyli w tym miejscu jeden z najważniejszych na świecie ośrodków archeologii eksperymentalnej specjalizujących się w dawnym szkutnictwie i żegludze. Latami analizowali każdy detal wydobytych statków, by zbudować ich pełnowymiarowe repliki, używając tych samych gatunków drewna, narzędzi i technik ciesielskich jak wikińscy szkutnicy. Potem, gdy repliki wypłynęły w morze, badano, ilu ludzi obsługiwało żagle, ile ładunku przewożono, jak szybko i jak daleko można było na nich pływać. Okazało się, że nawet do Ameryki, na co z czasem znaleziono dowody archeologiczne, a teraz i genetyczne.

W 2020 r. zespół Willersleva przeanalizował szczątki 442 osób ze stanowisk wikińskich od Grenlandii po Rosję. Okazało się, że Skandynawia już przed epoką wikingów przyjmowała ludzi z południa i ze wschodu Europy, dlatego jej mieszkańcy nie tworzyli genetycznie jednorodnej populacji i z wikińskim wyposażeniem chowano ludzi o różnych genomach. Jednocześnie się okazało, że mieszkańcy różnych części Skandynawii wyprawiali się „na wiking" (czyli na podbój lub by zakładać faktorie handlowe) w konkretnych kierunkach – ci ze Szwecji parli na wschód i południe Bałtyku, z Norwegii udawali się do Irlandii, Islandii i Grenlandii, a z Danii płynęli głównie do Wielkiej Brytanii.

Eske Willerslev to gwiazda wśród badaczy pradawnego DNA. Już w 2003 r. należał do pionierów odzyskiwania materiału genetycznego z osadów i wiecznej zmarzliny, bez konieczności posiadania kości czy innych szczątków organizmów. Jego zespół wykorzystał DNA zachowane w grenlandzkim lodzie do rekonstrukcji tamtejszego ekosystemu sprzed setek tysięcy lat, a w 2010 r. odczytał pierwszy kompletny genom pradawnego człowieka żyjącego ok. 4 tys. lat temu.

Duńczycy są w doskonałej sytuacji, ponieważ mają do dyspozycji nie tylko tysiące genomów dawnych mieszkańców Europy i zachodniej Azji, lecz także wyjątkowo bogate dane dotyczące współczesnej populacji Danii (biobanki przechowują DNA milionów osób, w tym próbki pobierane od noworodków od lat 80.), co pozwala zestawiać materiał genetyczny współczesny z antycznym i rekonstruować migracje, wymiany ludności oraz śledzić ich konsekwencje. W 2024 r. Willerslev wykazał np., że część wariantów genetycznych zwiększających ryzyko stwardnienia rozsianego stała się częstsza w północnej Europie wraz z napływem ok. 5 tys. lat temu pasterzy ze stepów pontyjsko-kaspijskich. Dla nich było to korzystne, wzmacniało bowiem odporność na infekcje, ale dziedzictwem jest dziś większa podatność na tę chorobę autoimmunologiczną.

Baśń o przeszłości do przeżycia

Duńczycy zadają przeszłości nowe pytania, również dotyczące takich bohaterów narodowych jak Hans Christian Andersen. Jego muzeum, otwarte w 2021 r. w Odense, bardziej się przeżywa, niż zwiedza. Budynek zaprojektowany przez japońskiego architekta Kengo Kumę powstał, by opowiadać nie tylko o Andersenie, ale przede wszystkim jego językiem. Z jednej strony jest tu więc historia pisarza, z jego samotnością, kompleksami, nieszczęśliwymi miłościami do kobiet i mężczyzn. Z drugiej – przedstawiono jego baśnie bez disneyowskiego filtra. Nikt nie udaje, że dziewczynka z zapałkami przeżyła,

eprasa.pl 0eac8d3e91

Muzeum Morskie w Helsingør

© THIJS WOLZAK

a mała syrenka zdobyła księcia. Okrucieństwo oryginalnych opowieści jest tu obecne, światło, dźwięk i możliwość zabawy eksponatami są po to, by pomóc dzieciom oswoić trudniejsze emocje związane z tym, że miłość bywa niespełniona, cierpienie to część życia, dobro nie zawsze zwycięża i nie ma czegoś takiego jak dziejowa sprawiedliwość. Zwłaszcza w przeszłości.

Podobny sposób myślenia widać w otwartym w czerwcu Egtvedpigens Verden, muzeum poświęconym Dziewczynie z Egtved – jednej z ikon duńskiej archeologii. Nastolatka zmarła ok. 1370 r. p.n.e., a dzięki kwaśnemu środowisku kurhanu zachowały się jej włosy, paznokcie, fragmenty skóry oraz krótka wełniana bluzka i spódnica złożona ze sznurków. Podobnie jak w Muzeum Morskim w Helsingør najważniejszym eksponatem nie jest tu przedmiot, lecz samo miejsce – tam suchy dok, tutaj krajobraz, w którym 3,4 tys. lat temu pochowano dziewczynę. Zamiast zamykać opowieść w salach wystawowych, rozłożono ją w krajobrazie na pięć części – poświęconych samej dziewczynie, wierzeniom epoki brązu, tajemnicy pochowanego z nią dziecka, dalekim kontaktom oraz życiu mieszkańców ówczesnego Egtved. Twórcy nazywają je „muzeum odwróconym na drugą stronę", bo zamiast przenosić przeszłość do muzealnego wnętrza, przenieśli muzeum tam, gdzie wydarzyła się historia.

Tym bardziej że historia jego bohaterki wcale nie jest zamknięta. W 2015 r. badacze próbowali odzyskać DNA z jej świetnie zachowanych włosów, ale materiału genetycznego było zbyt mało, więcej informacji przyniosły analizy izotopów strontu z jej zębów, włosów i paznokcia. Początkowo uznano je za dowód, że dziewczyna przybyła do Danii z daleka, być może aż ze Szwarcwaldu, jednak późniejsze badania wykazały, że podobne wartości strontu występują również w okolicach Egtved, co podważyło efektowną rekonstrukcję jej biografii. To kolejny przykład charakterystycznego dla Duńczyków przekonania, że przeszłości trzeba wciąż zadawać nowe pytania i znaleźć współczesny język, którym można o niej opowiedzieć.

Baśń o dobrej Danii

Nie znaczy to jednak, że Duńczycy równie chętnie opowiadają o wszystkich kartach swojej historii. Nie mają problemu z biseksualnością Andersena ani z tym, że pochodzący z Pomorza król Eryk parał się piractwem – takie historie świetnie wpisują się w sympatyczny obraz kraju otwartego, zdystansowanego do siebie i własnej przeszłości. Gorzej z tym, co uderza w przekonanie, że Dania od dawna jest państwem liberalnym i egalitarnym. Dlatego opowiadano, że choć Dania posiadała karaibskie kolonie i uczestniczyła w handlu niewolnikami, już w 1792 r. jako jedno z pierwszych państw zdecydowała o jego zakazaniu. Nie dodawano, że zakaz wszedł w życie 11 lat później, a niewolnictwo w Duńskich Indiach Zachodnich zniesiono dopiero w 1848 r., i to pod presją buntu zniewolonej ludności. Przez lata też dominowała opowieść o łagodnym kolonializmie i modernizacji Grenlandii, nie wspominano o tysiącach mieszkanek wyspy, którym od lat 60. XX w. zakładano wkładki antykoncepcyjne, często bez ich zgody, za co premier Mette Frederiksen oficjalnie je przeprosiła dopiero w 2025 r.

Wygładzano też pamięć o drugiej wojnie światowej. Dania może być dumna z uratowania niemal całej społeczności duńskich Żydów, których dzięki niezwykłej mobilizacji społeczeństwa przerzucono do neutralnej Szwecji. Ale już mniej bohaterski jest fakt, że po niemieckiej inwazji w 1940 r. kraj skapitulował w ciągu kilku godzin, a przez następne trzy lata rząd i administracja prowadziły politykę współpracy z okupantem. Powojenna opowieść długo eksponowała ruch oporu, spychając kolaborację i kompromisy na dalszy plan. Dziś Duńczycy coraz częściej wracają również do tych mniej chlubnych rozdziałów. Najwyraźniej łatwiej bez kompleksów opowiadać o królach, wikingach i piratach niż o przeszłości na tyle niedawnej, że jej skutki wciąż odczuwają żyjący ludzie.

Baśń o mieście z odzysku

To, co Danii wychodzi doskonale, to łączenie starego z nowym w ekologicznym sosie, dlatego jest jednym z europejskich laboratoriów *adaptive reuse*, w którym nie chodzi jedynie o ratowanie zabytków, lecz o przekonanie, że najlepszym budulcem przyszłości jest to, co już istnieje. Ma to ekologiczny wymiar, bo ogromna część śladu węglowego budynku powstaje przy produkcji stali, cementu i szkła oraz przy ich transporcie. Dlatego najambitniejsze kopenhaskie osiedla mieszkaniowe powstają na terenie historycznych założeń: w Carlsberg Byen, gdzie w browarze z 1847 r. zachowano ceglane hale, kominy i bramy, oraz w Nordhavn – dawnym porcie przemysłowym, którego magazyny, silosy, nabrzeża i inne elementy przemysłowej zabudowy wtopiono w nową dzielnicę.

Na pierwszy rzut oka niewiele łączy średniowieczne Koldinghus, suchy dok w Helsingør, Muzeum Andersena, wikińskie statki z Roskilde i dawne browary czy portowe magazyny Kopenhagi. A jednak wszystkie wyrastają z podobnego sposobu myślenia: nie zaczynać od czystej kartki, lecz wykorzystać to, co już istnieje – budynek, ruinę, krajobraz czy wiedzę o przeszłości – i dopisać kolejny rozdział. Bo historia przestaje żyć dopiero wtedy, gdy uznamy, że nie można już zadać jej żadnego nowego pytania. Ale to raczej niemożliwe.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl 0eac8d3e91

August Agboola Browne w epizodycznej roli w filmie fabularnym „Żołnierz zwycięstwa" z 1953 r.

August Agboola Browne to legendarny czarnoskóry powstaniec warszawski. Ale czy jego legenda nie przysłoniła prawdy?

Zmyślony powstaniec?

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

W październiku 2025 r. Muzeum Powstania Warszawskiego (MPW) dostało petycję o usunięcie Browne'a z listy powstańców. Podobne pisma wpłynęły także do Instytutu Pamięci Narodowej i prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. Zawierają wyniki poważnej kwerendy przeprowadzonej przez grupę krewnych powstańców w archiwach międzynarodowych, w tym dokumenty napisane przez samego bohatera już po wojnie. Wynika z nich, że August Browne – mówiąc łagodnie – notorycznie unikał prawdy w temacie swoich wojennych losów.

August

Co do jednego brak wątpliwości – to postać fascynująca; prawdziwy warszawski cwaniak, wymarzony bohater powieści. Jak wynika ze wspomnień ludzi, którzy znali Augusta towarzysko, nie dało się go nie lubić. Elegancki, przystojny, adorowany przez kobiety fordanser i perkusista jazzowy. Pijący wódkę, obdarzony

eprasa.pl 0eac8d3e91

tzw. szybkim żartem. Po polsku mówił świetnie w wielu rejestrach, aż po bezbłędny warszawski slang. Brylował i na salonach, i w półświatku miasta. Stefan Wiechecki dużo sobie z niego pożyczył, tworząc postać Szuwaksa w powieści „Cafe pod Minogą" w 1957 r.

Browne (znany także jako O'Brown) urodził się w 1895 r. w Lagos, największym mieście dzisiejszej Nigerii, wówczas w kolonii brytyjskiej. Jego ojciec był robotnikiem portowym, a on sam jako nastolatek zaciągnął się na statek towarowy. Podczas rejsu do Londynu zszedł ze statku, został w Anglii i dołączył do wędrownej rewii. To wtedy narodził się August, zawodowy tancerz i perkusista.

Z trupą podróżował po Europie, bywał w Berlinie, Paryżu i Wolnym Mieście Gdańsku. W 1922 r., już na własną rękę, osiadł w Warszawie i znalazł pracę w orkiestrze jazzowej, z którą jeździł po Polsce. W 1927 r. ożenił się w Krakowie z młodszą o 15 lat Polką Zofią Pyk i miał z nią synów – Aleksandra i Ryszarda. Jednak wkrótce zniknął rodzinie z oczu tak skutecznie, że żona szukała go poprzez anonse w gazetach. Odnalazł się w Warszawie – w latach 30. był fordanserem w modnych restauracjach.

Zofii odpowiedział również przez gazetę, a treść wskazywała już na mocne osadzenie w nieco bezczelnym stylu językowym stolicy: „Co do rzucenia żony miałem widocznie swoje powody ku temu. Dzieci zabieram do siebie. Komunikuję, jeżeli żona moja nie wie, gdzie się znajduję, że pracuję w jednym z wytwornych lokali w Warszawie Caveau-Caucassien. Nie ukrywam się i nie chcę przez blamaż tracić posadę". Z zabraniem synów skłamał – całkowicie stracił z nimi kontakt na resztę życia.

Całą okupację i powstanie August Agboola Browne spędził w Warszawie. Mieszkał na Wspólnej, w samym Śródmieściu. Jak mu się to udawało – jedynemu czarnoskóremu w mieście zajętym przez nazistów, dla których był „podczłowiekiem" – jest częścią jego legendy i tajemnicą, ale też niezaprzeczalnym faktem. Prof. Nicholas Boston z Lehman College w Nowym Jorku, specjalista od socjologii mediów, badacz życiorysu Augusta, twierdzi, że paradoksalnie pomagać mogło jego rzucanie się w oczy (*hypervisibility*). W 1958 r. Nigeryjczyk wraz z poślubioną kilka lat wcześniej drugą polską żoną Olgą wyemigrował do Wielkiej Brytanii i słuch po nim zaginął.

Legenda

August Browne powrócił jako niezwykły uczestnik powstania warszawskiego w 2008 r., 32 lata po śmierci. To wtedy pracownik MPW miał odkryć w archiwum jego podanie o przyjęcie do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) z 1949 r. W oświadczeniu August napisał: „brałem czynny udział w życiu konspiracyjnym w ZWZ później Armia Krajowa. W Powstaniu Warszawskim brałem czynny udział w AK w Śródmieściu na ulicach: Wspólnej, Marszałkowskiej, i innych w tym rejonie". Pseudo: Ali. Jednak nie może, jak tłumaczył, „przedstawić zaświadczenia od swoich dowódców z powodu ich nieobecności w Kraju".

Wtedy dowody nie były niezbędne – MPW istniało dopiero od czterech lat, a Ali z dnia na dzień był już sensacją na światową skalę. Zelektryzował Polaków i Nigeryjczyków, szturmem wdarł się nawet do popkultury (filmy, grafika, internet) jako postać „kultowa". Od 18 lat pozostaje jednym z ulubionych bohaterów wspominanych podczas rocznic powstania. Już w 2009 r., jak pisze Krzysztof Karpiński w świeżo wydanej książce „Czarnoskóry fordanser w Warszawie", prezydent Lech Kaczyński nosił się z zamiarem odznaczenia Augusta medalem w 65. rocznicę wybuchu powstania. 2 sierpnia 2019 r., w godzinę W w warszawskim Pasażu Stefana „Wiecha" Wiecheckiego Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, odsłaniał pomnik Alego zbudowany z pomysłu fundacji Wolność i Pokój. Epigraf pod symbolem Polski Walczącej głosi: „Pamięci Augusta Agbooli Browne'a ps. »Ali« muzyka jazzowego i czarnoskórego powstańca warszawskiego, dla którego Polska była ojczyzną z wyboru". Niżej fotografia przystojnego mężczyzny z muchą pod szyją i z wesołym błyskiem w oku.

Tymczasem jednak po przeciwnej stronie mitu, w kręgach badaczy historii i byłych powstańców, brak było dowodów na powstańczość Alego. Jan Radecki, ps. Czarny, wspominał co prawda, że raz widział czarnoskórego mężczyznę w sztabie batalionu „Iwo" przy Marszałkowskiej. Powoływano się również na zapis w „Dzienniku" Marii Dąbrowskiej, której gospodyni, Frania, opowiadała, że znała powstańca Murzyna przy ulicy Kruczej. Ale żadnych świadectw bezpośrednich potwierdzających jego udział w walce lub przynależność do AK nie znajdowano.

Petycja

„Jesteśmy wspólnotą córek i synów, wnuczek i wnuczków Powstanek i Powstańców Warszawskich", napisali domagający się usunięcia nazwiska Browne'a z listy powstańców. Niektórzy z nich są wolontariuszami MPW, a wszyscy należą do Korzeni Pamięci – społeczności skupiającej potomków powstańców, powołanej do życia przez MPW w 2021 r. Autorzy petycji poważnie traktują swoją rolę jako – jak to ujmuje muzeum – „opiekunów wspomnień, marzeń i wartości przekazywanych przez Powstańców". Dla nich powstanie to nie epizod rodzinny, tylko fundament życia. Napisali, że uznanie Alego za bohatera uważają „za krzywdzące i niesprawiedliwe wobec wszystkich walczących, w tym naszych bliskich".

Wszystko zaczęło się wiosną 2025 r., kiedy w jednym z podkastów poświęconych historii Dorota Grabowska-Kozarzewska usłyszała o niejasnościach wokół Browne'a jako powstańca. Wkrótce okazało się, że podobnych źródeł – w powodzi materiałów mitologizujących Augusta – jest więcej. Dorota, która dzieli życie pomiędzy Polskę i Tanzanię, poszła na warszawskie spotkanie Afropolaków reklamowane plakatem z twarzą Augusta Browne'a. Tam, kiedy publicznie powiedziała o zastrzeżeniach wobec człowieka z plakatu, wywołała niepokój. Diaspora nigeryjska w Polsce zgłosiła nawet do IPN pomysł zbudowania Alemu drugiego, większego pomnika. Jednak nawet wśród Afrykańczyków wiedza o Auguście ograniczała się głównie do tego, że był jazzmanem i bohaterem powstania.

Grupa z Korzeni Pamięci zaczęła więc szukać źródeł o Alim na własną rękę. Irena Stybel, inna członkini tej grupy (prywatnie siostrzenica Pawła Jasienicy), przetrząsnęła dostępne archiwa polskie i brytyjskie. To, co odkryła, ukazało Augusta w może bardziej ludzkim, ale już nie bohaterskim świetle. Najgorsze jednak było zdumienie, jak mówią Irena i Dorota, że tej łatwej do zdobycia i ogólnodostępnej, ale niewygodnej prawdy o Brownem nie podano wcześniej do wiadomości publicznej. Liczni autorzy i badacze (książki, podkasty, opracowania, pracownicy MPW) skupiali się i skupiają raczej na tworzeniu pięknego, ale niepopartego faktami, mitu czarnoskórego powstańca.

Dorota i Irena mówią wprost w imieniu całej grupy petycyjnej: nie ma zgody na żaden fałsz, nawet tak piękny. Za dużo ▶

© KADR Z FILMU „ŻOŁNIERZ ZWYCIĘSTWA"/KAZIMIERZ WAWRZYNIAK/WFDiF

eprasa.pl 0eac8d3e91

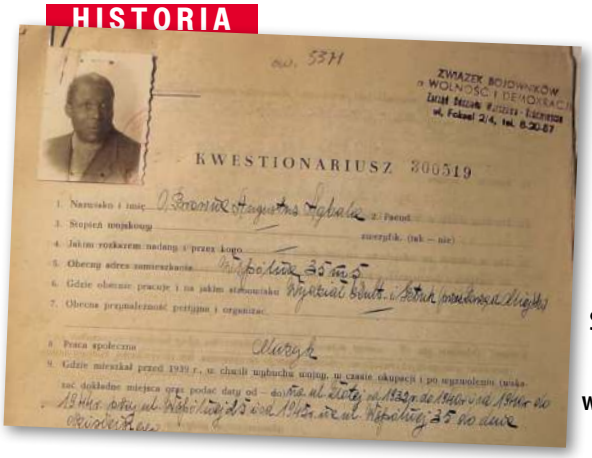

Strona z kwestionariusza Browne'a wypełnionego dla ZBoWiD

▶ było cierpienia ludzi, którzy naprawdę walczyli w powstaniu warszawskim. Irena Stybel cytuje wuja Jasienicę: „nawet jeśli prawda jest niewygodna czy boli, ale jest prawdą – mów prawdę".

Prawda

Po wojnie August Agboola Browne pozostał w Polsce. Znów pracował jako perkusista w warszawskich hotelach. Grywał epizodyczne role w filmach fabularnych. Miał też być zatrudniony w warszawskim magistracie, ale dowodów na to brak.

Stylu nie zmienił – wciąż elegant, sprawnie poruszający się w wytwornym i szemranym towarzystwie. Mieszkał pod tym samym adresem, co za okupacji. Jak pisze w książce „Czarnoskóry fordanser w Warszawie" Krzysztof Karpiński, August był „indyferentny politycznie". Jeden z rozmówców autora, Marek Nowakowski, pisarz, opowiadał, że po wojnie Browne miał jak wielu Polaków czekać na powrót generała Andersa, ale potem „ponoć" widywano go nawet w pochodach pierwszomajowych. Ale czy August walczył, czy nie – książka nie daje jasnej odpowiedzi.

Już fakt, że w 1949 r., w czasach politycznej nagonki na powstańców warszawskich i żołnierzy AK, Nigeryjczyk wstępuje do ZBoWiD, podając się i za powstańca, i za akowca, może świadczyć o tym, że nie orientował się w polityce. Ale też o tym, że prowadził własną grę z instytucjami PRL.

Jednak tu właśnie zaczynają się kłamstwa Alego wytropione przez grupę petycyjną.

W kwestionariuszu do ZBoWiD z 1949 r. August Agboola Browne napisał, że jego pierwsza żona zmarła w listopadzie 1939 r. Tymczasem pani Zofia, korzystając z brytyjskiego paszportu męża i przy pomocy brytyjskiej ambasady, w 1939 r. wyjechała wraz z synami do Anglii. Zmarła w 1999 r., 23 lata po Auguście.

W życiorysie znajdującym się w archiwach IPN Browne napisał, że przez całą okupację i powstanie jego zadaniem była opieka nad Żydami. Daje to obraz znanego w mieście, bo jedynego, czarnoskórego i jego ściganych przez Niemców podopiecznych – raczej nieprawdopodobna „mieszanka wybuchowa", jak napisano w petycji do MPW. Poza tym brak jakichkolwiek relacji ocalonych Żydów o Auguście. Nie ma także, jak mówią Dorota i Irena z grupy petycyjnej, żadnych wzmianek o jego walce ani w świadectwach powstańców, ani w archiwach. Jego postać nie pojawia się w prywatnych rozmowach z powstańcami. A przecież gdyby August Agboola rzeczywiście walczył w Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 r., wielu by go zapamiętało.

Kolejne „farmazony" Browne'a odkrył prof. Nicholas Boston z Nowego Jorku, a grupa petycyjna je potwierdziła. Boston już w 2020 r., rok po odsłonięciu pomnika Augusta w Warszawie, publicznie (w „The Independent") zgłaszał wątpliwości co do jego „bohaterstwa". Powtarzał je potem wielokrotnie (BBC, Royal United Services Institute i in.). Miał do tego podstawę, bo odnalazł w Narodowych Archiwach Zjednoczonego Królestwa (UKNA) oświadczenie Augusta Agbooli z 1965 r., kiedy ten mieszkał już w Londynie i ubiegał się o odszkodowanie za utracone w czasie wojny zdrowie. Nigeryjczyk napisał w nim, że od maja 1940 r. do października 1944 r. był więźniem obozu w Treblince. Powoływał się na „mnóstwo złego traktowania" (*„great deal of ill treatment"*).

Gdyby był więźniem obozu, nie mógłby oczywiście brać udziału w powstaniu. Ale nie był więźniem, bo w 1940 r. Treblinki ani jako obozu pracy, ani zagłady, jeszcze nie było. A w październiku 1944 r. Treblinki już nie było. W 1964 r. Anglicy to sprawdzili – UKNA zapytało Archiwum w Arolsen. Odpowiedź nadeszła negatywna – August kłamał. Mimo to przyznano mu odszkodowanie. Podobnie jak wcześniej przyjęto go do ZBoWiD, a w 1954 r., jeszcze w Polsce, otrzymał Medal za Warszawę 1939–1945 (w uzasadnieniu wspominano o „żołnierzu, który (...) ginął ofiarnie w tragicznym powstaniu"), a także Odznakę Grunwaldzką (za udział w zwycięstwie nad Niemcami).

Ślad

Tropiąc życiorys Augusta Browne'a, prof. Nicholas Boston natrafił na powojenny ślad, który może dużo mówić o bohaterze. W maju 1953 r. Robert Heath Mason, pierwszy sekretarz ambasady brytyjskiej w Warszawie, wysłał do urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie notatkę: po śmierci Stalina w ZSRR premierem zostanie Gieorgij Malenkow, ale na tę kandydaturę nie zgadza się Mao Zedong, więc świat stanie w obliczu radziecko-chińskiej kłótni. Mason powołuje się na źródło tej informacji – Augusta Browne'a, z którym rozmawiał. Przybliża centrali postać: zachodnioafrykański Murzyn mieszkający w Warszawie od 25 lat, który „jakoś zdołał" przetrwać niemiecką okupację, „obecny reżim i inne trudności życia w Polsce".

August w opisie Masona jest niezłym spryciarzem (*„witty old bird"*), który zna miasto od podszewki i ma znajomości wśród ludzi każdego rodzaju. August Browne, jak sam powiedział sekretarzowi ambasady, dowiedział się o nadchodzących zawirowaniach w przyjaźni radziecko-chińskiej od znajomego „żydowskiego komunisty, który spędził wojnę w Rosji". Jego rewelacje potwierdziły się kilka dni później.

„Wszyscy eksperci, wykształceni historycy, z którymi rozmawiałem, nie zgadzali się na odrzucenie uczestnictwa Browne'a w Powstaniu Warszawskim jedynie na podstawie istniejących dokumentów" – pisze jednak Boston w grudniu 2025 r. na łamach portalu publicystycznego Notes from Poland.

Narracje

Odpowiedź warszawskiego magistratu na petycję w sprawie wykreślenia Augusta Browne'a z listy powstańców warszawskich: sprawę przekazano MPW.

Odpowiedź MPW: nie mogą wykreślić Browne'a. „Mamy świadomość, że wiele wątków z życiorysu O'Browne'a nie jest znanych, a sprawa z całą pewnością wymaga dalszych badań".

Odpowiedź IPN: przesłana dokumentacja „nie daje Instytutowi prawa do ingerencji w rozpowszechnioną opowieść o tym człowieku (...) Doceniając Państwa zaangażowanie w działania badawcze i popularyzatorskie (...) życzę niesłabnącego entuzjazmu w realizacji tego cennego przedsięwzięcia".

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

© DP

eprasa.pl 0eac8d3e91

Uroczyste wodowanie okrętu ORP „Wicher", 10 lipca 1927 r.

© NAC

Flota ku pokrzepieniu serc

Nowoczesny niszczyciel ORP „Wicher" nie wypłynął nawet w morze. Został zatopiony w basenie portowym już trzeciego dnia drugiej wojny światowej. II RP dorobiła się marynarki wojennej, jednak niezdolnej do przetrwania wojny na Bałtyku.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

„Senat Wolnego Miasta [Gdańska – przyp. aut.] nie chciał przedłużyć umowy w sprawie tzw. port d'attache dla naszej floty wojennej i zagroził traktowaniem naszych okrętów jako okrętów obcego państwa" – zapisał na kartach „Ostatniego raportu" Józef Beck. Naciski Warszawy nie przynosiły rezultatów, władze Wolnego Miasta zaś wiosną 1932 r. parły do wyrugowania wszelkich polskich wpływów z Gdańska. Miały w tym pełne wsparcie Berlina. Także nadzorujący miasto z ramienia Ligi Narodów włoski komisarz Manfredi Gravina nie ukrywał proniemieckich sympatii.

Działa w stronę miasta

Zaniepokojony Józef Piłsudski zdecydował się więc na ryzykowną demonstrację siły. Pretekstem do niej stała się kurtuazyjna wizyta w Gdańsku eskadry okrętów Royal Navy. W nocy poprzedzającej ich przybycie ORP „Wicher" pod dowództwem Tadeusza Podjazd-Morgensterna miał się pojawić na redzie gdańskiego portu. „Marszałek wydał osobiście rozkaz ustny i pisemny dowódcy floty – w mojej obecności. Okręt miał mieć pełne wyposażenie bojowe, a dowódca miał rozkaz w razie obrazy bandery zbombardować ogniem artylerii najbliższy urzędowy gmach gdański" – wspominał Beck.

Rankiem 14 czerwca 1932 r. Gdańszczanie ujrzeli na redzie portu dumę polskiej floty, niszczyciela „Wicher" z działami zwróconymi w stronę miasta. Polski okręt powitał brytyjskich gości i nawet wpłynął z nimi do portu. „Dzień przeszedł w silnym napięciu, które udzieliło się prasie europejskiej, jednak bez incydentów i ORP »Wicher« po wykonaniu zadania powrócił do Gdyni" – odnotował Beck. Po czym senat Wolnego Miasta zaakceptował umowę pozwalającą polskim okrętom swobodnie korzystać z gdańskiego portu. W Polsce przyjęto ten fakt z entuzjazmem. Dla takich chwil warto było posiadać marynarkę wojenną i Piłsudski wyraził zgodę, by otrzymała większy budżet oraz ▶

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ fundusze na zakup okrętów godnych ambicji II Rzeczpospolitej.

Gdy Naczelnik Państwa Józef Piłsudski dekretem podpisanym 28 listopada 1918 r. nakazał utworzenie marynarki polskiej, odzyskująca niepodległość Rzeczpospolita nie miała dostępu do morza. Dlatego pierwsza baza marynarki wojennej powstała w... Modlinie. Tam ściągano osoby obeznane ze służbą na morzu, by czekały na moment, aż staną się niezbędne ojczyźnie. Na mocy traktatu wersalskiego „Polska otrzymała jedynie skrawek wybrzeża o długości 140 km (licząc Półwysep Helski z obu stron), co stanowiło tylko 2,5 proc. granic państwa, na którym znajdowały się dwa niewielkie porty rybackie: Puck i Hel" – wyjaśnia w opracowaniu „Problematyka morska w dziejach Polski" Jerzy Będźmirowski. Następnie gen. Józef Haller po przybyciu 10 lutego 1920 r. do Pucka dokonał uroczystych zaślubin Polski z morzem. „Na szpaltach wszystkich krajowych gazet i czasopism informowano o entuzjazmie ludności odradzającego się państwa" – podkreśla Będźmirowski.

Symboliczne zaślubiny Polski z morzem, Puck, luty 1920 r.

Plany i rzeczywistość

Pół roku później Ministerstwo Spraw Wojskowych zaprezentowało pierwszy plan budowy własnej floty. Jej trzon miały stanowić: lekki krążownik, cztery kontrtorpedowce, dwa okręty podwodne oraz sześć trałowców. Chcieliśmy je kupić od Wielkiej Brytanii. Ale w Londynie nie wybaczono Polsce wspólnego z Francją osłabiania Niemiec. Zatem nie zostały nawet podjęte rozmowy. Także utworzona przez zwycięskie mocarstwa Rada Ambasadorów nie okazała Polakom hojności. Z zasobów likwidowanej niemieckiej floty przekazano II RP sześć starych torpedowców bez uzbrojenia.

Trzeba było szybko znaleźć fundusze na odkupienie od Finów dwóch sprawnych kanonierek, którym nadano dumne imiona: „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller". Udało się jeszcze odkupić od Danii – przekazane jej przez Radę Ambasadorów – cztery niemieckie trałowce. Zatem niespełna trzy lata po odzyskaniu niepodległości Polska mogła się pochwalić całkiem sporą liczebnie marynarką. Jednak jej wartość bojowa była bliska zeru, z czego też zdawano sobie sprawę. Dlatego gdy w lutym 1921 r. Piłsudski negocjował w Paryżu traktat sojuszniczy z Francją, postarał się, aby zapisano w nim, iż francuska flota zabezpieczy szlaki komunikacyjne na Bałtyku. Tak aby w razie wojny z Niemcami mogły docierać do Polski drogą morską dostawy broni i zaopatrzenia.

Ale władze III Republiki szybko doszły do wniosku, że koszty zobowiązania nie powinny obciążać tylko Francuzów. „Impulsem do intensyfikacji prac nad przygotowaniem planów rozbudowy sił morskich było przybycie w maju 1923 r. do Warszawy francuskiego marsz. Ferdinada Focha. Przedstawiona wówczas przez niego wizja francusko-polskiej współpracy wojskowej dotyczyła też działań na Morzu Bałtyckim" – relacjonuje w opracowaniu „Próby zabezpieczenia granicy morskiej II RP. Uwarunkowania wewnętrzne i międzynarodowe" Jerzy Będźmirowski. Foch żądał rozbudowy polskiej marynarki wojennej, by mogła efektywnie wspierać francuską na Bałtyku. Jednocześnie Paryż zgodził się udzielić rządowi Władysława Grabskiego kredytu na sfinansowanie budowy okrętów. Chociaż jedynym zleceniobiorcą mogły zostać stocznie francuskie.

W uścisku sojusznika

„Marynarkę wojenną niemal całkowicie zdominowali Francuzi. To u zamożnego sojusznika zamówiono pierwsze większe jednostki: dwa dość udane niszczyciele (ówcześnie: kontrtorpedowce) typu »Wicher«, trzy okręty podwodne typu »Wilk« oraz wielozadaniowy duży stawiacz min »Gryf«" – pisze Marek Piotr Deszczyński w opracowaniu „Import sprzętu wojskowego przez Polskę w latach 1921–1939". Stojący na czele Ministerstwa Spraw Wojskowych gen. Władysław Sikorski oraz szef Kierownictwa Marynarki Wojennej kadm. Jerzy Świrski w kwietniu 1925 r. zaakceptowali wszystkie warunki Francuzów. Włącznie z jawnie korupcyjną decyzją, że okręty dla Polski powstaną w stoczni Chantiers Navals Français w Blainville, która do tej pory budowała jedynie statki handlowe. Jej zarząd tworzyli wpływowi francuscy politycy na czele z ówczesnym premierem Francji Aristidem Briandem.

Stocznia w Blainville uczyła się budować okręty wojenne, co owocowało opóźnieniami i awariami. Gdy 10 lipca 1927 r. uroczyście wodowano „Wicher", polski ambasador we Francji Alfred Chłapowski obserwował, jak utknął on na pochylni. Do wody z trudem ściągnęły go holowniki. Wykonanie dwóch okrętów podwodnych „Wilk" i „Ryś" przeniesiono do innych stoczni. Chantiers Naval Français zbudowała „Żbika", a także obok „Wichra" niszczyciela „Burza" i stawiacz min „Gryf".

Okręty kosztowały Polskę ok. 32 mln zł. Przy rocznym budżecie Ministerstwa Spraw Wojskowych wynoszącym ponad 600 mln zł nie wydawało się to kwotą przesadnie dużą. Ale w międzyczasie do władzy w Polsce powrócił Piłsudski. Marszałek swoje zdanie na temat przyszłości marynarki wojennej wyraził w czerwcu 1928 r. podczas odprawy w Sztabie Głównym: gdy „mamy do czynienia z państwem o skromnym budżecie i o ludności tak z morzem nieobytej, jak Polska, to jakiekolwiek przypuszczenie o szybkości rozbudowy floty i zwiększenia jej celów" są fantasmagorią. Zdaniem Piłsudskiego siły morskie II RP winny skupić się na ochronie wybrzeża, Gdyni oraz mniejszych portów. Wszystko inne przerastało ich możliwości.

„Pokłosiem takich »wizji« były bardzo skromne środki finansowe, jakie corocznie wyasygnowano z budżetu wojska

eprasa.pl 0eac8d3e91

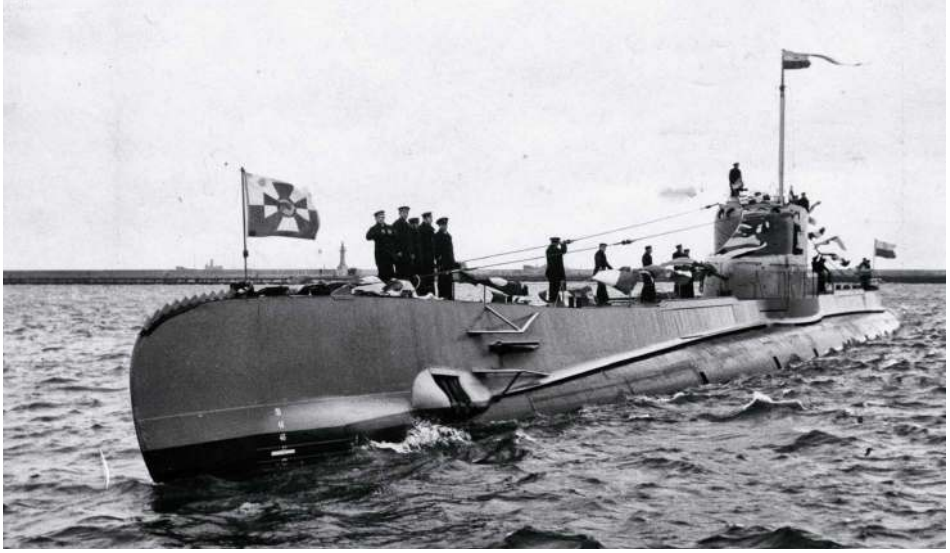

ORP „Orzeł" po raz pierwszy wpływa do Gdyni, luty 1939 r.

na potrzeby floty wojennej" – zauważa Będźmirowski w opracowaniu „Próby zabezpieczenia granicy morskiej II RP". Niechęć Marszałka do rozbudowy marynarki wojennej zaczęła słabnąć, gdy w marcu 1931 r. z Madery do kraju wracał na pokładzie ORP „Wicher". Rok później ten sam okręt zmusił do uległości Wolne Miasto Gdańsk. W obozie sanacji zaczęło rosnąć grono zwolenników uczynienia z II RP potęgi morskiej. Przy okazji zamierzano dopiec Francuzom.

Pragnienie mocarstwowości

„W latach 1933–1934 w polskich siłach morskich zarysował się kryzys zaufania do francuskiego sprzętu i uzbrojenia – głównie za przyczyną negatywnej oceny wartości taktyczno-technicznej zakupionych we Francji niszczycieli i okrętów podwodnych" – opisuje Będźmirowski. Na to nakładała się nieufność, z jaką Piłsudski i Beck podchodzili do pogrążającej się wówczas w kryzysie politycznym III Republiki. Sojusz polsko-francuski trwał, ale w lodowatej atmosferze. W tym czasie powstał sześcioletni plan rozwoju marynarki wojennej. Po jego zrealizowaniu w 1942 r. trzon polskich sił morskich miało tworzyć aż 8 niszczycieli i 12 okrętów podwodnych wpieranych przez stawiacz min, 12 trałowców i 10 kutrów torpedowych.

Znalezienie środków finansowych na zlecenie budowy nowych okrętów okazało niełatwe. Zatem kadm. Świrski, nadal stojący na czele KMW, zaczął w marcu 1936 r. zmiany od ogłoszenia nowej strategii. Zakładała ona, że oprócz obrony wybrzeża polska flota musi być zdolna do zagwarantowania krajowi dowozu drogą morską zaopatrzenia podczas wojny oraz zablokowania szlaków żeglugowych wroga. Chociaż wszystkie plany operacyjne, jakie tworzono, dotyczyły konfliktu ze Związkiem Radzieckim. Przypominały one operacje prowadzone przez niemiecką flotę na Bałtyku podczas pierwszej wojny światowej. Trzy przystosowane do stawiania min okręty podwodne, wspierane przez „Gryfa" i trałowce, miały postawić pola minowe paraliżujące działania sowieckiej marynarki.

W sprzeczności do tych założeń stały kontrakty podpisane na budowę nowych okrętów. „Flota wojenna powiększyła się o dwa duże, najlepsze w swojej klasie, niszczyciele (kontrtorpedowce) typu »Grom«. Zbudowano je w Wielkiej Brytanii, w stoczni J. Samuel White&Co. w Cowes, gdzie w 1939 r. rozpoczęto także budowę dwóch, pierwszych z przewidywanej dłuższej serii, wielce potrzebnych ścigaczy torpedowych" – opisuje Marek Piotr Deszczyński. Jednocześnie dwie holenderskie stocznie zbudowały dla Polski oceaniczne łodzie podwodne „Orzeł" i „Sęp". Znamienne, że francuskich stoczni unikano jak ognia. Nowe okręty, choć na wskroś nowoczesne, zupełnie nie pasowały do przyjętej strategii, nadając się dużo lepiej do operowania na Atlantyku niż na małym Bałtyku. To niedopasowanie pogłębiała niedoceniana przez polskich dowódców rola lotnictwa.

Początek legendy

„Do obrony nieba nad polskim wybrzeżem nie przeznaczono żadnego samolotu myśliwskiego. Polskie skrzydła nad Bałtykiem reprezentować miał Morski Dywizjon Lotniczy, posiadający w swoim składzie przestarzałe, rozpoznawcze wodnosamoloty Lublin R-XIII ter i Lublin R-XIII G, w liczbie 12 maszyn. Nie miały one praktycznie żadnej wartości bojowej" – pisze Maciej Franz w opracowaniu „System obrony wybrzeża w 1939 roku. Jak wykonać niemożliwe rozkazy?". A bez nowoczesnego lotnictwa operującego w rejonie wybrzeża flota nie mogła mieć bezpiecznej bazy w przypadku jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego. Mająca niespełna 200 przestarzałych myśliwców II RP nie była w stanie zapewnić powietrznej osłony swojej flocie. I choć żaden inny rodzaj polskich sił zbrojnych nie został tak nasycony nowoczesnym sprzętem jak marynarka, w starciu z Niemcami okazała się ona bezbronna.

Nurkujące bombowce Ju 87 po południu 3 września posłały na dno okręty „Wicher" i „Gryf". Wkrótce taki sam los spotkał nowoczesne trałowce i starsze statki. Niszczyciele „Błyskawica", „Grom" i „Burza" ocalały, bo trzy dni przed wybuchem wojny wiceadm. Jerzy Świrski wydał rozkaz realizacji planu „Pekin". Zgodnie z nim najwartościowsze jednostki odpłynęły do Wielkiej Brytanii. Dzięki temu nie został całkowicie zaprzepaszczony olbrzymi wysiłek, jaki włożono w budowę marynarki wojennej, której największe okręty kosztowały obywateli ponad 120 mln ówczesnych złotych.

Wprawdzie od strony militarnej nie odegrały one podczas drugiej wojny światowej znaczącej roli, jednak trzy niszczyciele oraz łodzie podwodne „Wilk" i „Orzeł" przeszły do legendy. Wieści o brawurowej ucieczce „Orła" z Tallina i równie brawurowym przepłynięciu przez „Wilka" duńskich cieśnin podnosiły Polaków na duchu. Potem napływały do okupowanego kraju kolejne relacje o bohaterskich okrętach. „Orzeł", nim zaginął, zatopił niemiecki statek „Rio de Janeiro" transportujący ponad 300 żołnierzy. „Grom", „Błyskawica" i „Burza" walczyły w bitwie o Narwik. Choć dla tego pierwszego zakończyła się ona tragicznie. Potem dwa ostatnie niszczyciele brały udział we wszystkich największych operacjach brytyjskiej floty. Od ewakuowania w czerwcu 1940 r. żołnierzy z plaż Dunkierki po operację „Overlord" w czerwcu 1944 r., gdy wojska alianckie lądowały w Europie.

Po zakończeniu wojny „Błyskawica" i „Burza" powróciły do kraju, podobnie jak internowane w Szwecji łodzie podwodne: „Sęp", „Ryś" i „Żbik". Legenda o niezłomnej flocie trwała zaś ku pokrzepieniu polskich serc.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

© NAC (2)

eprasa.pl 0eac8d3e91

scena

Maciuś reformator 4/6

Janusz Korczak, **Król Maciuś Pierwszy**, reż. Tadeusz Kabicz, Teatr Telewizji, TVP VOD

Lektura obsady nowej, telewizyjnej adaptacji klasycznej książki Janusza Korczaka może przyprawić o zawrót głowy. Rola Premiera jest pewnie ostatnią, w której zobaczymy **Jana Frycza**, zmarłego w połowie sierpnia. Inaczej brzmią dziś wypowiadane przez niego słowa o umierającym królu, mocy przesłania nabierają kwestie: „Dzieci, nie »dzieciaki«". Będzie bardzo brakować Frycza, jego charyzmy, dobitności, poczucia humoru. W rolach szefów i szefowych kolejnych resortów występują: Danuta Stenka, Tomasz Kot, Karolina Gruszka, Borys Szyc, króla i królową grają Andrzej Konopka i Wiktoria Gorodecka, narratorką jest Magdalena Popławska, ochmistrzem Maciej Musiał, a lekarzem – Marek Kondrat, dla którego to już drugi, po roli Rzeckiego w nowej filmowej „Lalce", powrót do aktorstwa z długiej i przyjemnej emerytury. Aktorskiej plejadzie nie ustępuje 12-letni **Tymon Bitkowski** grający tytułowego bohatera, 10-letniego sierotę na tronie. Uczestnik muzycznego talent show „The Voice Kids" wykorzystuje także umiejętności wokalne, bo twórcy przeplatają sceny dramatyczne swoistymi „teledyskami", czyli piosenkami Maciusia na tle animacji.

Sama historia, siłą rzeczy potraktowana skrótowo (spektakl trwa niecałe 90 minut), otrzymuje na ekranie kostium wiktoriański i staje się przypowieścią w stylu Karola Dickensa. O świecie, który jest chaotyczny i niebezpieczny (szczególnie mocno wybrzmiewa temat wojny), o tym, że dzieci nie są traktowane z należytym szacunkiem, rządzenie jest trudnym zadaniem i nie wystarczą dobre intencje, demokracja łatwo przeradza się w populizm i autokrację (to też boleśnie aktualne). Otrzymujemy też ważną lekcję na temat zmian wrażliwości: książka Korczaka powstała w 1922 r., używane przez autora słowo „murzyn" i stereotyp Afrykanina ludożercy, wówczas wydające się neutralne, dziś są poniżające, a twórcy zamiast cenzurować, tłumaczą kontekst.

ANETA KYZIOŁ

serial

Ostatniego zjedzą mrówki 4/6

Sto lat samotności cz. 2, 8 odc., Netflix

Pokazane przed dwoma laty pierwsze osiem odcinków ekranizacji „Stu lat samotności" dowodziło, że synowie zmarłego 12 lat temu Gabriela Garcíi Márqueza podjęli słuszną decyzję, wchodząc we współpracę z Netflixem przy ekranizacji dzieła ojca. Opublikowana w 1967 r. najgłośniejsza powieść iberoamerykańska, modelowa przedstawicielka nurtu realizmu magicznego, otrzymała godny odpowiednik na ekranie. Serial powstawał w Kolumbii, został zrealizowany z epickim rozmachem, lokalnymi siłami, z szacunkiem dla tutejszej kultury i rzemiosła. Drugi sezon zachowuje walory pierwszego, choć to już opowieść o schyłku Macondo i jego twórców, rodu Buendía, który w kolejnych pokoleniach wydawał na świat wizjonerów i szaleńców (obu płci). Hołd złożony strajkującym przeciw kolonialnemu wyzyskowi robotnikom łączy się z elementami magii, w kolejnych odcinkach dopełnia się klątwa prababki Úrsuli Iguarán (Marleyda Soto), realizuje przepowiednia mędrca Melquíadesa („Pierwszy z rodu przywiązany do drzewa, ostatniego zjadają mrówki") oraz przesądza los Macondo, „miasta zwierciadeł, miasta miraży". Pojawia się nawet przelotnie niejaki Gabriel García, miłośnik literatury i historii, który ostatecznie wyjedzie z Macondo do Paryża. Bez zmian pozostaje ton opowieści, będący niepodrabialną mieszanką realizmu, baśni i południowoamerykańskiej telenoweli. AK

Namiętność i obowiązki rodzinne: Ángela Cano i Julián Román jako Petra Cotes i Aureliano Drugi

© KAROLINA JÓŹWIAK/TVPMAURICIO GONZAEZ, FABIO LOVINO/20TH CENTURY STUDIOS, VELVET SPOON, CAMILLE BLAKE

eprasa.pl 0eac8d3e91

film

Po końcu świata 3/6

Gwiazdozbiór Psa, reż. Ridley Scott,
prod. USA, Wielka Brytania, 118 min, już w kinach

Trochę trudno uwierzyć, żeby ktokolwiek potrzebował dziś kolejnej wizji świata spustoszonego tajemniczą pandemią (powieściowy oryginał Petera Hellera ukazał się blisko dekadę przed covidem), ale oto jest. Tym razem w wersji Ridleya Scotta, który najwyraźniej nie był przekonany, czy chce zrobić kino akcji, czy raczej kontemplacyjny dramat, próbował połączyć oba i zrealizował obraz idealnie przezroczysty. Bardzo dobrze zagrany – z **Jacobem Elordim**, Margaret Qualley i Joshem Brolinem w rolach głównych to nie mogło się nie udać – i pięknie sfilmowany, lecz do postapokaliptycznej fantastyki niewiele wnosi. Niedobitki ludzkości żyją w maleńkich, czasem kilkuosobowych enklawach, od czasu do czasu atakowanych przez anonimowe hordy bandytów niczym z „Mad Maxa". Hig mieszka na opuszczonym lotnisku z psem Jasperem oraz Bangleyem, surwiwalowcem, którego z braku lepszych opcji może nazwać przyjacielem. Co kilka dni wyrusza na zwiad swoją Cessną, a odkąd usłyszał sygnał z wieży kontroli lotów Grand Junction, marzy, by tam dotrzeć, wierząc, że to miejsce, w którym może odrodzić się cywilizacja. „Gwiazdozbiór Psa" jest najciekawszy, gdy wpada w elegijny ton jako opowieść o trudnej do przezwyciężenia żałobie za utraconym światem. Byłby z niego przyzwoity, kameralny dramat o samotności po końcu świata, lecz blockbuster ma swoje wymagania, a gwałtowne sceny akcji robią tu wrażenie wklejonych na siłę z innego, znacznie gorszego filmu.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Seks i krew 3/6

Miłość, śmierć i dojrzewanie w Camp Miasma, reż. Jane Schoenbrun,
prod. USA, 112 min, w kinach od 4 września

Czy horror może być drogą do zmierzenia się z własną seksualnością? Czy pozwala odblokować głęboko skrywane żądze i pragnienia? Młoda reżyserka Kris Williams (**Hannah Einbinder**, znana najlepiej z serialu „Hacks"), nadzieja kina niezależnego, będzie musiała odpowiedzieć sobie na te pytania podczas pracy nad nową częścią popularnej serii filmów grozy „Camp Miasma". To dla niej również szansa na spotkanie z dawną gwiazdą, Billy Presley (**Gillian Anderson**), która po sukcesie pierwszej części cyklu wycofała się z aktorstwa. Ich wzajemna relacja stanie się dla Kris drogą do samopoznania – i to na wielu poziomach. Nie można filmowi Jane Schoenbrun odmówić ani estetycznej odwagi, ani intelektualnej ambicji. Ta jednak okazuje się zgubna: „Miłość…" chce być zarówno hołdem, parodią, jak i dekonstrukcją slasherów z lat 80., a jednocześnie podważyć sens i istotę takiej dekonstrukcji; próbuje odszyfrować seksualne kody ukryte w horrorach i rozprawić się z mizoginią, homo- i transfobią popularnego kina gatunkowego; odwołuje się do dzieł Wesa Cravena i Alfreda Hitchcocka. Można bez ustanku odkrywać i analizować kolejne warstwy filmu, odczytywać je w kontekstach queerowych, zwłaszcza w perspektywie biografii i doświadczeń osoby reżyserskiej. „Camp Miasma" to imponujący metatekstowy esej, tyle że wyprany z emocji i napięcia, zbyt groteskowy, żeby straszyć, zbyt enigmatyczny i wsobny, żeby dotrzeć do szerszej publiczności. JD

festiwal

Wolno, mocno, intensywnie

Avant Art Festival, 2 września – 11 października,
Dolny Śląsk, Wrocław, Warszawa, Lublin

Zacznijmy od The Necks: z pozoru zwykłe trio jazzowe, ale działa inaczej. Powoli buduje duże muzyczne formy, oszczędnie, z fantastycznym wyczuciem partnerów – działają w końcu od prawie 40 lat. Żaden występ nie jest taki sam, bo każdy koncert to nowa odsłona australijskiego zespołu, zawsze jest jednak minimalistycznie i trudno nie dać się wciągnąć tej prostej w gruncie rzeczy muzyce (zespół wystąpi we Wrocławiu i w Warszawie). Podobnie jest z kwartetem دمحأ (Ahmed), który w długich formach oddawał hołd Ahmedowi Abdulowi-Malikowi, legendarnemu jazzmanowi zafascynowanemu muzyką Bliskiego Wschodu, a dziś włączył do repertuaru utwory Theloniousa Monka. W Polsce wystąpią po raz pierwszy, tylko w Warszawie. Wróci do nas przy okazji Avant Artu indonezyjski duet Senyawa, który eksperymentuje z nietypowymi technikami wokalnymi i wykorzystuje instrumenty własnej konstrukcji, jednocześnie inspirując się miejscowym folklorem. Jednak na wydarzenie warszawskiej odsłony imprezy zapowiada się występ supergrupy **Osmium**, którą tworzą m.in. Rully Shabara z Senyawy, a także Hildur Guðnadóttir, wybitna wiolonczelistka i kompozytorka, zdobywczyni Oscara za muzykę do filmu „Joker". Zagrają w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego. To tylko część obszernego programu koncertowego i filmowego, z którym impreza odwiedzi łącznie siedem polskich miast.

BARTEK CHACIŃSKI
Szczegóły: **avantart.pl**

eprasa.pl 0eac8d3e91

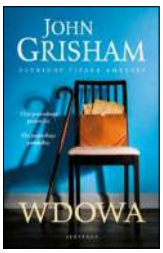

Apetyt na spadek 3/6

John Grisham, **Wdowa**, przeł. Jan Kraśko, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2026, s. 460

John Grisham być może wciąż jest ulubionym pisarzem Ameryki – o czym przypomina umieszczone na okładce książki hasło – lecz najwyraźniej pozycja etatowego autora bestsellerów może być zdradliwa. Konieczność regularnego zaspokajania czytelniczego głodu musi od czasu do czasu owocować gorszej jakości produktem. „Wdowa" to wciąż w miarę sprawnie napisane czytadło, ale zabrakło w niej szerszego, krytycznego spojrzenia na współczesną Amerykę – tego, które sprawiało, że klasyczne książki Grishama, jak „Firma" czy „Raport Pelikana", dawały coś więcej niż czyste emocje. Choć i nowa powieść bywa zaskakująca – jej bohater Simon Latch nie jest typowym szlachetnym prawnikiem, który zderza się z bezdusznym systemem. Przeciwnie, to kombinator, uzależniony od hazardu, wpadający w coraz większe długi. I gdy nadarza się okazja – starsza pani, najwyraźniej niezwykle zamożna, przychodzi do kancelarii, by spisać testament – Simon wietrzy szansę na duży zarobek. Tyle że jego plan nie ma szans na realizację, gdy klientka umiera, a on sam zostaje oskarżony o jej zabójstwo. Grisham to fachowiec, więc nawet w bardziej leniwej formie potrafi skonstruować składną intrygę i podrzucić parę zwrotów akcji. Lecz fabuła wydaje się, zwłaszcza w pierwszej połowie książki, nadmiernie rozwleczona, postacie są w większości płaskie i stereotypowe, a życiowe problemy małomiasteczkowej klasy średniej (rozwody, kredyty, dorastające dzieciaki) – literacko niewykorzystane. Znośna lektura w sam raz na wrześniowy, późny urlop, ale w głowie długo nie zostanie.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Miasteczko 4/6

Miłosz Piotrowski, **Niebionka na pętli**, Czarne, Wołowiec 2026, s. 200

Niebionka, fikcyjna miejscowość na Dolnym Śląsku, o której pisze w swoim debiucie Miłosz Piotrowski, to „przeklęte miasteczko rządzone przez bandę bogaczy". Jest tu góra śmieci, blok z wielkiej płyty, gdzie mieszka główny bohater, Marian zwany Struną, który chce zostać raperem. Zresztą cała ta książka ma w sobie hiphopowy rytm, wszyscy tu są „w pętli" powtarzalnego bitu, uwięzieni w pijackich rolach, bez nadziei na zmianę. Portretów małych miasteczek w literaturze jest wiele, tu najciekawszy jest rytm prozy, językowa zadziorność, ale też postać głównego bohatera, który stara się rozwikłać zagadkę. Bo oto w 2016 r. ginie kolega Struny, Konstanty – syn Ildefonsa, miejscowego biznesmena, który razem z burmistrzem, szefem policji i księdzem trzyma w szachu całą społeczność. Czy można wypowiedzieć posłuszeństwo takiemu układowi? Trochę jak we „Wzgórzu psów" Jakuba Żulczyka – w małym miasteczku władza jest wszechwładna: „Podobno jeśli chcesz się utrzymać na powierzchni wody, nie możesz się szarpać, musisz dryfować bez ruchu. Tak samo jest w Niebionce: jeśli gwałtownymi ruchami zwrócisz na siebie uwagę, jeśli zbyt mocno się wyróżnisz, zatoniesz". Czy rzeczywiście niektórzy są skazani na pożarcie? Odpowiedzieć musimy sobie sami.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Duży kłopot 5/6

Jessica Lind, **Małe potwory**, przeł. Magdalena Biśta, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2026, s. 286

Dlaczego dzieci zachowują się źle i czy można to przewidzieć? Popkultura chętnie zgłębia ten temat (z serialowym „Dojrzewaniem" na czele). W tej powieści waga dziecięcych przewin jest spora. Siedmioletni Lucas przekroczył granice koleżanki, zmusił ją do dotyku, szczegóły są niejasne. Nie ma świadków zdarzenia, dzieci były w klasie same, więc wezwani na miejsce rodzice chłopca nie chcą dać wiary oskarżeniom. Jednak inni rodzice już zdążyli wydać wyrok. Świetnie został tu pokazany ten ostracyzm społeczny, ale i proces konfrontacji z trudnym doświadczeniem, od wyparcia, poprzez złość, aż po nieco bardziej racjonalne myślenie. Jakob, ojciec Luki i muzyk, trochę szkolny „incydent" lekceważy, nie naciska na syna, nie odmawia mu przyjemności, wszystko ma się samo wyjaśnić. Pia, mama, obwinia się i zmusza chłopca do mówienia, czasem dość brutalnie, ale on milczy jak zaklęty. Tak jak ona w jego wieku. Powieść rozgrywa się w dwóch planach czasowych, bo Pia nosi w sobie traumę, która właśnie się odzywa, testując jej poglądy na wychowanie i niewinność dzieci. Doskonała jest scena starcia z matką bohaterki, osobliwa licytacja krzywd. W rodzinie – tej i pewnie każdej innej – jest sporo niedomówień i sekretów i nie zawsze da się je utrzymać w ryzach. „Wystarczy jeden dzień", by zniszczyć dzieciństwo. Austriaczka Jessica Lind umieszcza tę historię w szerszym kontekście (nowe modele wychowawcze, kultura MeToo). Zdaje się pytać, czy miłość rodzicielska na pewno jest bezwarunkowa i czy dzieci zachowują się źle same z siebie, czy z „pomocą" dorosłych. Szybka lektura, ale bodziec do długich rozważań.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© MATERIAŁY PRASOWE (7), DONALD JOHNSON/THE NEW YORK TIMES/EAST NEWS, MARCO BORGGREVE

eprasa.pl 0eac8d3e91

Studnia emocji 5/6

S.T.A.L.K.E.R. 2: Cost of Hope,
GSC Game World, GOG.com, Windows,
PlayStation 5, Xbox Series X/S

Nie sposób ocenić i zrozumieć „S.T.A.L.K.E.R. 2: Cost of Hope", nie pamiętając, kto, z jaką intencją i w jakich warunkach tę grę tworzył. Część pracowników zasłużonego ukraińskiego studia ochotniczo ruszyła na front, nie wszyscy przeżyli. Mimo że GSC GW zmuszone było przenieść siedzibę do Pragi, wielu pozostało w ojczyźnie, pracując wśród nalotów, przerw w dostawie prądu, wody i ogrzewania zimą. Wiedzieli, że tworzą wizytówkę kraju. I zapewne miało to wszystko wpływ na to, że ten ogromny dodatek do gry „S.T.A.L.K.E.R. 2" emanuje grozą, wymusza zwierzęcy strach w walce o przetrwanie, podkreśla absurdy zbrojnych konfrontacji. I że nazywa się „Cena nadziei". Z powieści Strugackich „Piknik na skraju drogi" autorzy gry przejęli motyw Strefy pełnej niezrozumiałych fizycznych anomalii i przemierzających ją szabrowników, stalkerów. Teraz otwierają grę na nowe obszary, przynosząc świetną opowieść, ciekawych protagonistów i studnię emocji.

Hołd dla mistrzów 4/6

Mortal Shell II,
Cold Symmetry, Windows, PlayStation 5,
Xbox Series X/S

Bez wątpienia to Ikelosowi, synowi Hypnosa, bogu sennych koszmarów twórcy „Mortal Shell II", składali ofiary, prosząc o łaskę natchnienia. Naśladowcy Hidetaki Miyazakiego z FromSoftware nigdy jednak, siłą rzeczy, własnych „Demon's Souls" nie stworzą, tak jak epigoni Stana Getza nie zagrają na saksofonie „Corcovado" tak jak on; geniusz nie jest podrabialny. Rzemieślnicy z Cold Symmetry zapożyczeń więc nie uniknęli, ale „Mortal Shell II" nie jest bezczelną kalką. Protagonista, duch wcielający się w znajdowane zwłoki poległych wojowników – tytułowe śmiertelne powłoki – zyskuje dzięki nim i doskonali nowe umiejętności. Pomocne są one w odpieraniu upiornych formą monstrów zamieszkujących tę niebezpieczną sferę – mieczem, toporem lub młotem, karabinem lub kuszą. W potyczkach nie trzeba zarządzać zapasem sił, co upraszcza i zmienia charakter walki w porównaniu z produkcją FromSoftware.

Japonia w ruinie 3/6

Beast of Reincarnation,
Game Freak Inc., Plaion/Fictions, Windows,
PlayStation 5, Xbox Series X/S

Rok 4026, Japonia, dwa tysiąclecia po biokataklizmie, który przyniósł kres dotychczasowym formom życia. Niekontrolowane mutacje flory i fauny zmusiły większość ludzi do przeniesienia świadomości w metalowe skorupy androidów. Reinkarnująca się bestia, która zapoczątkowała zarazę, powraca. Młoda dziewczyna, hybryda człowieka z rośliną, ma za zadanie stawić jej czoło. Obrośnięte pnączami ruiny miast, rdzewiejące w trawie truchła robotów, w ostatnim przebłysku świadomości instruujące bohaterkę, nieoczywisty podział na dobro i zło rozpinają tę opowieść gdzieś między „Starością aksolotla" Dukaja a „NieR: Automata" Yoko Taro. Intrygujący zamysł („Beast of Reincarnation" to pierwsza tak ambitna gra twórców znanych z kolejnych „Pokemonów") nie doczekał się jednak należytego dopełnienia, a dynamiczna rozgrywka – początkowo angażująca – z czasem może wydać się powtarzalna.

OLAF SZEWCZYK

Płyta w c-moll 4/6

Rafał Blechacz, Dresdner Philharmonie,
Kent Nagano, **Piano Concertos**
– Mozart No. 24, Beethoven No. 3,
Deutsche Grammophon

Tonacja ta w muzyce klasyków wiedeńskich symbolizowała smutek, ale i bohaterstwo. Koncert c-moll Mozarta to jeden z zaledwie dwóch na 27 jego koncertów fortepianowych w tonacji mollowej, jest w nim melancholia, ale też jakby pogodzenie się z losem. III Koncert c-moll Beethovena ma rys bardziej heroiczny, a finał jest wręcz zadziorny. Ale oba dzieła niosą też klasyczną równowagę, o czym Rafał Blechacz, zgodnie ze swoją pianistyczną osobowością, nie daje zapomnieć. Jego interpretacje są eleganckie, zrównoważone, choć niepozbawione emocji. Najwięcej ich jest w solowym bonusie, którym są 32 Wariacje c-moll Beethovena (pozostajemy w tonacji), barwne i zmienne.

muzyka

To pierwsza płyta Blechacza z udziałem orkiestry od czasu tej z koncertami Chopina z 2009 r., z orkiestrą Concertgebouw pod batutą nieodżałowanego Jerzego Semkowa. Tym razem soliście towarzyszy Filharmonia Drezdeńska pod dyrekcją słynnego Kenta Nagano; płytę nagrano w siedzibie orkiestry – Kulturpalast, w przebudowanej dwie dekady temu sali o świetnej akustyce.

DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl 0eac8d3e91

Naga walka

Nie chcę recenzji, wolę plotkę. A plotka ma mi służyć do obwieszczenia: On jeszcze żyje, jeszcze gotów jest zaryzykować – mówi o swoim Teatrze Intymnym Olgierd Łukaszewicz, który 7 września obchodzi 80. urodziny.

ANETA KYZIOŁ: **– Chciał pan zaskoczyć na 80. urodziny siebie czy widzów? Chodzi mi o nagie role w monodramie „Spowiedź ciało" i w filmie „Pieśń o nocy", z refleksjami na temat starzejącego się ciała, ale niestygnących emocji, dojrzałej seksualności, w dodatku w wydaniu homoerotycznym.**

OLGIERD ŁUKASZEWICZ: – Zaskoczyć? A co tu kryć: jest andropauza, jest fantazja erotyczna, młodości brak. Buntuję się przeciw tabu. Byłem niedawno odpytywany przez dziennikarza pisma „Replika" z wątków gejowskich w mojej karierze. I najpierw zdębiałem, bo słowo gej w ogóle nie istniało w moim życiu i nie było tematem moich ról.

A jednak niektórzy sugerowali już przy okazji „Brzeziny" Wajdy i roli Stanisława, umierającego na gruźlicę artysty, za którą otrzymał pan w 1971 r. Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego dla najciekawszego młodego aktora, że jest w niej homoerotyczny rys.

No nie, tu nie. Chociaż kto wie, może? Kiedy Janusz Majewski w 1973 r. kręcił „Straconą noc", też według Iwaszkiewicza, zadbałem o to, żeby widz wiedział, że pod prześcieradłem jestem nagi, i poprosiłem Andrzeja Łapickiego, który grał podglądającego mojego bohatera pisarza: „Błagam cię, zrób maślane oko, jak patrzysz na mnie". Nie dookreślaliśmy tego wtedy, ale była w tym homoerotyczna sugestia. Albo, jak się głębiej zastanowić, w „Lekcji martwego języka" Majewskiego, z 1979 r., w scenie w łaźni, gdy siedzimy z Markiem Kondratem jako dwaj oficerowie upadającej CK monarchii i rozmawiamy, to napięcie też jest, a przynajmniej ze strony mojego bohatera. Ale w teatrze się nie rozebrałem. A pamiętam, jak w 1974 r. podczas prób do „Sprawy Dantona" w Powszechnym Andrzej Wajda to sugerował. Grałem afektowanego Desmoulinsa i zaproponował, żebym w scenie rozmowy z Robespierre'em uwodzicielsko upuścił szlafrok. Nie zgodziłem się. Także dlatego,

eprasa.pl 0eac8d3e91

Olgierd Łukaszewicz w „Pieśni o nocy" w reż. Oskara Sadowskiego, 2026 r.

Olgierd Łukaszewicz (ur. w 1946 r. w Chorzowie) – aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, Stanisław w „Brzezinie" w reż. Andrzeja Wajdy, Gabriel Basista w „Soli ziemi czarnej" i Jaś w „Perle w koronie" w reż. Kazimierza Kutza, Albercik w „Seksmisji" w reż. Juliusza Machulskiego, tytułowy bohater w „Generale Nilu" w reż. Ryszarda Bugajskiego, Andrzej w „Jak pies z kotem" w reż. Janusza Kondratiuka, a w teatrze – m.in. Franz w „Pułapce" Różewicza w reż. Jerzego Grzegorzewskiego (Teatr Studio w Warszawie), Desmoulins w „Sprawie Dantona" w reż. Wajdy i Billy Bibbit w „Locie nad kukułczym gniazdem" w reż. Zygmunta Hübnera (Teatr Powszechny w Warszawie). Twórca monodramów, m.in. „Psalmów Dawida" i „A kaz tyz ta Polska?". Wraz z żoną, aktorką Grażyną Marzec, stworzył Teatr w Remizie na Helu. Trzykrotny prezes ZASP. Założyciel Fundacji im. W.B. Jastrzębowskiego My Obywatele Unii Europejskiej.

że Robespierre'a grał Wojtek Pszoniak, mój przyjaciel od czasów szkoły teatralnej.

Dlaczego teraz uznał pan, że nadszedł czas, by poruszyć temat homoerotyki śmielej, bardziej wprost?

Mamy wciąż spór w społeczeństwie o prawo do erotyki, prezydent Duda, jak pamiętamy, krzyczał, że LGBT to ideologia. Tymczasem przecież ona wynika z mózgu i coraz więcej o tym wiemy. Opowiadanie o ciągotach heteroseksualnych uznałem za już mocno wyeksploatowany teren (choćby biblijne sceny starców podglądających Zuzannę). W „Pieśni o nocy" w reż. Oskara Sadowskiego gram dojrzałego mężczyznę, któremu żona funduje spełnienie pragnień w postaci młodego pięknego seksworkera. I choć straszyła mnie agentka, że jak zagram w tym filmie, to mogę już nigdy nie dostać żadnej propozycji – zaryzykowałem. Także dlatego, że ta rola przyszła do mnie w czasie dużej frustracji. Od lat działam na polu obywatelskim, prowadzę fundację na rzecz edukacji o Unii Europejskiej, jeżdżę po Polsce ze spektaklami i pogadankami, ale władza, koalicja 15 października, na którą głosowałem, nie wydaje się zainteresowana systemowym wspieraniem proeuropejskich inicjatyw. Skierowałem więc energię na inne pole – sztuki i intymności.

Pierwszy był film czy pański monodram? Ten drugi podobno gra pan rzadko i przed starannie wyselekcjonowaną widownią.

Najpierw był monodram, zatytułowałem go „Spowiedź ciało". Pamiętam swoje ciało 28-latka, które oglądała cała Polska w „Dziejach grzechu", w scenie seksualnej, przerwanej zresztą dramatyczną śmiercią. Był taki czas, że na ekranie byłem albo rozbierany, albo uśmiercany, a w tym filmie nawet jedno i drugie naraz. Postanowiłem niejako wrócić do tematu (*śmiech*). Znalazłem wspaniałe teksty, jak wiersze Miłosza: „Stary lubieżny dziadu, pora tobie do grobu, nie na gry i zabawy młodości" albo: „Niedługo skończy się cała parada/ co za różnica wypada nie wypada/ Jak mnie będą u- i roz-bierali/ jakich dowiedzą się bio-detali". Czuję tu chęć oddania ciała na usługę ludzkości (*śmiech*). Niektórzy czekają z tym do śmierci, zapisują swoje ciało akademii medycznej, ale ja jestem aktorem i mogę go użyć trochę wcześniej. Scenariusz zbudowałem m.in. z listów Andrzejewskiego do Hłaski, młodziutkiego Miłosza do Iwaszkiewicza, z zapisków Gombrowicza, w których rozważa, czy jest homoseksualistą, jest też „Nokturn" Białoszewskiego, ale o wystawieniu monodramu przeważył Stryjowski – jego bunt przeciw zamalowywaniu męskich genitaliów w scenie „Sądu Ostatecznego" w Kaplicy Sykstyńskiej. Jest taka organizacja, Forum Mężczyzn, zachęca m.in. do zgłaszania się na USG jąder. Ja jestem po ich stronie. Uważam, że męski wstyd związany z ciałem prowadzi do chorób, nieszczęść i niepotrzebnych śmierci.

Czyli jednak znowu misja społeczna?

Oskar Sadowski zaprosił mnie do filmu po tym, jak zobaczył ten mój monodram, grany w Pracowni Jagi Hupało w ramach Międzynarodowego Dnia przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii. „Pieśń o nocy" to kameralny, półgodzinny film, gramy w trójkę z Hubertem Miłkowskim i Ewą Skibińską, ale praca z młodym reżyserem wymagała ode mnie poszukania w sobie tego bohatera, Jurek Stuhr nazywał to „ucharakteryzować się wewnętrznie". Zainteresowało mnie, czego stary aktor może jeszcze próbować. Rozmawiałem z seksuologami, kontemplowałem starożytne greckie urny w Muzeum Narodowym, na których Eros i Tanatos sąsiadują, bo erotyka towarzyszy nam do śmierci. Nie wiem, czy ten film, pokazywany na festiwalach, wywoła jakąś szerszą dyskusję, ale dla mnie jest ważny, przełamuje – jak mi powiedziała pewna młoda aktorka – tabu, każe się przyjrzeć mężczyznom i męskości z nieco innej perspektywy, bo ostatnio dużo się mówi, i słusznie, o toksycznej męskości, a jest tyle ofiar męskiego wstydu, kobiet i mężczyzn.

Granie nago wymagało przełamania barier w sobie? Zwłaszcza na scenie, przed widownią?

To bezinteresowne ćwiczenie aktorskie. Mój bohater jest malarzem i tytułowej spowiedzi dokonuje wobec swoich obrazów. Nazwałem to Teatr Intymny. Nie chcę recenzji, wolę plotkę. A plotka ma mi służyć do obwieszczenia: On jeszcze żyje, jeszcze gotów jest zaryzykować. O to chodzi w gruncie rzeczy, o sygnał, że ja coś jeszcze z siebie mogę dać – trochę to też takie cwaniactwo zawodowe z mojej strony (*śmiech*). A z przełamywaniem barier mnie jest łatwiej, bo my z żoną chodziliśmy kiedyś na plaże dla nudystów. Na jednej z nich, w Bułgarii, zostałem zresztą rozpoznany jako ▶

© STUDIO MUNKA SFP

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ Albercik z „Seksmisji": naga pani przyszła po autograf od nagiego aktora. No i – jak pani sama wcześniej powiedziała – mam misję. Ta nagość i otwarte podejście do erotyki, w której granicą jest tylko suwerenność drugiej osoby, to kolejna odsłona mojej walki o europejskie wartości w naszym katolickim kraju. Staję po stronie mniejszości.

Czyli jednak się pan nie zniechęcił do walki, tylko zmienił podejście?

Wspierałem akcję o dwóch paszportach, nawołującą, żeby nie wybierać partii antyeuropejskich, bo skończy się to wyjściem Polski z Unii. Objeżdżałem kraj ze spotkaniami edukującymi o UE, w których towarzyszyli mi eksperci związani z naszą akcesją do Unii. Wcielałem się w postać Wojciecha Bogumiła Jastrzębowskiego, patrona mojej fundacji, który wymyślił Unię Europejską w 1831 r. Był powstańcem listopadowym, walczył w bitwie pod Olszynką Grochowską, w której zginęło 7 tys. Polaków, w większości młodych. On ocalał i zamiast szukać zemsty, napisał „Konstytucję dla Europy", czyli zbiór zasad, dzięki którym na naszym kontynencie zapanowałby pokój. W postaci Jastrzębowskiego wartości europejskie łączą się z tradycją polskich powstań narodowych, głęboko w ludziach zakorzenioną, z naszym poczuciem bycia niezrozumianymi i pozostawionymi samym sobie. Polska musi wykreować swojego ojca Unii Europejskiej, bo inaczej ona będzie zawsze obca. I to można zrobić właśnie środkami teatru, bo teatr przemawia jednocześnie do rozumu i do serca. Ale mimo moich wieloletnich starań nie udało się przekonać władz do zmiany prawa.

Jakiego prawa?

Takiego, dzięki któremu to nie byłaby moja i kilku zapaleńców partyzancka walka z pełzającym polexitem, tylko systemowa edukacja stanowiąca przeciwwagę dla antyeuropejskiej propagandy. Chodzi o ustawę o samorządzie wojewódzkim, która obliguje samorząd do pielęgnowania polskości oraz rozwijania i kształtowania świadomości narodowej. Ani słowa o świadomości europejskiej! W efekcie, gdy zwracamy się do instytucji lokalnych o pomoc w organizacji np. Dnia Europejskiego, otrzymujemy odpowiedź odmowną, z uzasadnieniem, że to polityka. A przecież to nie żadna polityka, tylko edukacja. Nie udało się też stworzyć Centrum Edukacji Europejskiej, nie było takiego zapotrzebowania po stronie rządowej, choć po likwidacji Urzędu ds. Integracji Europejskiej nic się w to miejsce nie pojawiło. Nie udało się również wprowadzić Jastrzębowskiego do podręczników do historii dla szkół. Wszędzie blokada. Przyzna pani, że można się zniechęcić? A poziom dyskusji o Unii jest bardzo niski. Jak słyszę zdania w stylu: „Pan jest za Unią, a Unia odbiera nam suwerenność", to robię zmartwioną minę i z troską pytam: „A jak się pan ożeni, to jest pan nadal suwerenny czy już nie?". Ale ja wciąż walczę. Z okazji osiemdziesiątki postanowiłem wystąpić do Sejmu z petycją o nowelizację prawa samorządowego.

Skąd w panu ta potrzeba działania obywatelskiego? Unia Europejska, trzykrotna prezesura Związku Artystów Scen Polskich, pomoc ludziom…

Polski teatr ma głębokie tradycje obywatelskie. W dobie powstania listopadowego aktorzy grali takie sceny jak „Odrodzenie ojczyzny", Wincenty Rapacki szedł w największej demonstracji trzeciomajowej w 1915 r. Gustaw Holoubek i Andrzej Łapicki, przypominam, weszli w politykę, byli senatorami. Ja mam naturę harcerza, jak mogę pomóc, to się natychmiast angażuję. Pomogłem np. oszukanemu rolnikowi odzyskać majątek, 10 lat o to walczyłem z polskimi sądami. Gdyby nie mój upór, to ZASP przestałby istnieć. W 2002 r. moi poprzednicy ulokowali miliony związkowych pieniędzy w obligacjach Stoczni Szczecińskiej, która upadła. Po długich bataliach z międzynarodowym bankiem udało się odzyskać te pieniądze, ale jednym z warunków było moje milczenie na ten temat przez pięć lat. W tym czasie wielu wieszało na mnie psy. Jako prezes ZASP budowałem związki z europejskimi organizacjami aktorskimi, ale koledzy nie dali się namówić na to, aby utworzyć związek zawodowy z prawdziwego zdarzenia, bo musieliby na niego płacić. Np. w Szwecji to 2 proc. z każdego honorarium aktorskiego.

Z Jerzym Stuhrem w kultowej „Seksmisji" w reż. Juliusza Machulskiego, 1983 r.

Wcześniej spędził pan siedem lat w Niemczech. Wyjechał pan w 1988 r., odgrażając się, że zostanie „aktorem niemieckojęzycznym", choć nie znał pan słowa w tym języku. Skąd ten pomysł?

Mężczyzna musi sobie postawić w pewnym momencie życia – z reguły to wypada koło czterdziestki – pytanie: „Czy uzyskałem to, czego chciałem?". Moja odpowiedź była negatywna. Chciałem zostać aktorem, który naprawdę będzie teatrowi potrzebny, a tymczasem miałem na koncie tylko kilka ważnych ról i dość czekania, aż dyrektor czy reżyser łaskawie po mnie sięgnie. Nawet jeśli byłem na etacie w uznanym Teatrze Studio, i jednym, i drugim był wtedy Jerzy Grzegorzewski, któremu zawdzięczam wielki sukces w roli Franza w „Pułapce" Różewicza. Najpierw

eprasa.pl 0eac8d3e91

Obok, od góry: **24-letni aktor w „Brzezinie" w reż. Andrzeja Wajdy, 1970 r. Kadr z „Soli ziemi czarnej" w reż. Kazimierza Kutza, 1969 r.**

© POLFILM/EAST NEWS (2), FILMOTEKA NARODOWA – INSTYTUT AUDIOWIZUALNY/ARCHIWUM RENATY PAJCHEL

więc były lekcje niemieckiego, potem występy w Wiedniu z młodymi początkującymi aktorami, następnie Transformtheater Henryka Baranowskiego w Berlinie Zachodnim, gra w filmach i etat w Teatrze Miejskim w Bonn. Ale najwięcej satysfakcji dał mi monodram po niemiecku „Psalmy Dawida", objechałem z nim kraj, miałem entuzjastyczne recenzje, a Niemcy, w przeciwieństwie do Polaków, znają Biblię i potrafią docenić oryginalną interpretację. Ale kraj zjeździłem też z polską poezją po niemiecku, Mickiewiczem, Szymborską, budowałem mosty między naszymi narodami. Fantastyczne doświadczenie, myślę, że ono ze mnie zrobiło Europejczyka.

A jednak wrócił pan do kraju i do Grzegorzewskiego, który w 1997 r. objął dyrekcję Teatru Narodowego. Nie żałuje pan?

Zaproponował mi nie tylko etat w odbudowanym po pożarze Narodowym, ale też zajęcie się kołem ZASP w teatrze. Postanowiłem przywrócić to, czego się uczyłem o Narodowym od Dejmka i od Hanuszkiewicza: że Narodowy wchodzi w dyskurs, że po to jest Narodowy, żeby z narodem rozmawiać, ale nie o sztuce, tylko o nim samym. I z błogosławieństwem Grzegorzewskiego udało się kilka rzeczy ważnych zrobić. Organizowałem wraz z koleżankami i kolegami widowiska, m.in. upamiętniające Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, w hołdzie wywiezionym na Sybir, polskim Żydom czy przy okazji odsłonięcia pomnika Juliusza Słowackiego na warszawskim Placu Bankowym.

Czytałam, że jednym z pana teatralnych marzeń jest zrealizowanie monodramu o Don Kichocie.

Dostałem nawet od kogoś obrazek z moją twarzą doklejoną do wizerunku Don Kichota na koniu. Ja oczywiście szukam jeszcze dla siebie materiału na spektakl, biorąc przykład ze Zdzisława Kuźniara, który dwa lata temu, w wieku 92 lat, wystąpił we Wrocławskim Teatrze Współczesnym z monodramem według „Księgi Hioba". Nieoczekiwanie odżył z okazji 50. rocznicy śmierci Stanisław Grochowiak, a ja wracam od wielu lat do jego wierszy, niedawno w Teatrze w Remizie, który założyliśmy z żoną (aktorką Grażyną Marzec – przyp. red.) na Helu 20 lat temu, żeby odreagować problemy w ZASP-ie, i prowadziliśmy przez pięć. Wtedy, na otwarcie, wystąpiłem z monodramem z Wyspiańskiego „A kaz tyz ta Polska?", teraz – z wierszami Grochowiaka.

Pana bardziej bawi czy irytuje to, że dla wielu ludzi jednak mimo tego wszystkiego jest pan głównie nieporadnym, przystojnym Albercikiem z „Seksmisji"?

To jest sympatyczne. Kiedy niedawno wręczano mi na Festiwalu Filmów Komediowych w Lubomierzu Kryształowy Granat, powiedziałem, że wierzę, że ta komedia tak długo i dobrze się trzyma, bo przestrzega nas przed konsekwencjami autorytarnej władzy. Nie wiem, czy wszystkim tam obecnym politykom się to spodobało.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 0eac8d3e91

Wiersz trzeba przeżyć

Polska brunatnieje. Literatura jest jednak czymś zbyt słabym, żeby móc oprzeć się pewnym tendencjom. Jedyne, co można zrobić, to napisać kilka zdań, zgłosić swój mały sprzeciw – mówi poetka Justyna Kulikowska.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Najbardziej doceniona poetka młodego pokolenia lubi być nieuchwytna? Nawet mieszka pani poza Polską.**

JUSTYNA KULIKOWSKA: – W ogóle chciałabym zniknąć z internetu. Przynajmniej na jakąś chwilę, bo to niesamowicie obciąża mózg, kiedy czytasz o wszystkim, co się dzieje. Szum dookoła przeszkadza w pisaniu, wyłącznie rozprasza. Czytasz, zamiast pisać. A najgorzej jest czytać o sobie. To jest zawsze przerażające, mamy coraz silniejsze zespolenie osoby z książką, bo ona musi ją promować, musi dać jej twarz. Nawet w tak niszowym gatunku, jakim jest poezja, istnieją oczekiwania, że trzeba się pokazać. I tak, gdzieś tam moja twarz też jest używana do promocji książki. I to jest chyba ten niemiły rodzaj kosztu: wykonujesz pracę literacką, a musisz też wykonać pracę PR-ową. Może nie każdy tak bardzo chce prowadzić sociale, a jednocześnie musisz to robić, żeby istnieć w środowisku i promować swoją twórczość.

To był rok nagród za tom „Wnyki dla światła" – Nagroda Literacka m.st. Warszawy, Poznańska Nagroda Literacka, białostocka Nagroda im. Wiesława Kazaneckiego i nominacja do Nike. Wyszły też „Wiersze zebrane". Jak patrzy pani teraz na swój debiut „Hejt i inne bangery"?

Te wiersze powstawały, kiedy miałam 18–19 lat i to był zupełnie inny moment w życiu. Wtedy babrałam się w furii, wściekłości, chęci wejścia z buta gdzieś tam w środowisko literackie. Na początku były portale poetyckie; Liternet, Poema. Miałam kilkanaście lat, kiedy mieszkałam w swojej wsi, gdzie dostęp do kultury był ograniczony, o czym warto wspomnieć, to daje zupełnie inne zaplecze na start.

Cały czas w pani wierszach powraca Podlasie.

Mam do niego ambiwalentny stosunek. Wielokrotnie z niego uciekałam, mówiąc, że już koniec z Podlasiem i nigdy tam nie wrócę. A potem wracałam. Było przez większość moich książek największą inspiracją. To taki trochę patologiczny rodzaj relacji z miejscem, bo z jednej strony wyrosłam z niego, a z drugiej bardzo chciałam się od niego odciąć. A potem dochodzi się do takiego etapu, że uświadamia się sobie, że całkowita ucieczka w ogóle nie jest możliwa. Nie można uciec z miejsca, nie można odciąć się od korzeni, nawet jeśli momentami się tego bardzo pragnie.

I nawet w tym ostatnim tomie jest wiersz „Wypis ze straty". To pożegnanie z miejscem?

Tak, to jest taki wiersz, powiedziałabym, rozliczeniowy. Jest tutaj przetrawienie Podlasia. W jakiś sposób trochę pogodzenie się z tym miejscem i pogodzenie się z przeszłością. Tak mi się przynajmniej wydaje, że ta książka jest próbą oswojenia przeszłości. W książce „gift. z Podlasia" czy w „Obozie zabaw" podejmowałam jakiś rodzaj walki czy też zastanawiałam się nad takimi pojęciami jak prawda. W moich książkach jest dużo odwołań autobiograficznych. A co by było, gdybym to wszystko

Justyna Kulikowska (ur. w 1993 r.) – poetka, debiutowała tomem „Hejt i inne bangery" w 2018 r. (Nagroda Iłłakowiczówny), opublikowała w WBPiCAK tomy: „Tab_s", „gift. z Podlasia" (Nagroda Gdynia), „Obóz zabaw" (Nagroda Warszawy), „Wnyki dla światła" (Nagroda Literacka m.st. Warszawy, Poznańska Nagroda Literacka i Nagroda im. Wiesława Kazaneckiego, nominacja do Nagrody Nike). W 2025 r. ukazały się jej „Wiersze zebrane. 2018–25".

eprasa.pl 0eac8d3e91

zmyśliła? Czy taka sama byłaby wartość tego, co piszę? Gdyby to nie było tak mocno powiązane ze mną, tylko gdyby to był jakiś rodzaj kreacji?

Tylko te autobiograficzne nawiązania są u pani zakryte. Czytelnicy widzą tylko powracający obraz bluzy z Elmo, z którą wiąże się coś bolesnego.

Bo lubię się ukrywać. Nie chciałabym dać się przyłapać. Jesteśmy trochę wykreowanymi postaciami i wytwarzamy swój wizerunek w socialach. Teraz chyba bardzo ciężko w ogóle się od tego odciąć. Ludzie są tak bardzo w ekspozycji publicznej, że trudno oddzielić ich wizerunek od tego, co napisali. Chociaż czasami mam tak, że się wstydzę tego, co wytworzyłam. Myślę, że odkryłam się za bardzo, bo czuję się tak, jakbym stanęła przed obcymi ludźmi nago. Jest w tym jakiś rodzaj szczerości, choć to szczerość ryzykowna. Opowiadam o rzeczach, które mnie ranią, i potem w zasadzie ktoś może użyć tego przeciwko mnie. Tu mówię o ryzyku uprawiania literatury, w której oddajesz część siebie, bardzo prywatną część. Za każdym razem się boję, że jestem zbyt szczera i myślę sobie, czy faktycznie warto.

Ostatnim razem wyjeżdżała pani z Polski ze złamanym żebrem. Polska daje czasem w kość?

Niestety tak. Polska mi szkodzi. Zaraz pewnie pojawi się komentarz: „Wypie... z Polski", więc mogę na to odpowiedzieć, że już to zrobiłam. Polska dała mi wiele, ale moje książki powstawały w dystansie do niej. „Hejt" gdzieś w Londynie, „Gift" kiedy byłam na takiej robotniczej, pracowniczej emigracji w Niemczech, więc w sumie nie wiem, może nie mam szczęścia do Polski. Bo ciągle nie potrafię oswoić się z własnym krajem.

Czytamy w wierszu, że Polska coraz bardziej brunatnieje.

Tak, niestety. Literatura jest jednak czymś zbyt słabym, żeby móc oprzeć się pewnym tendencjom, które są widoczne nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Także gdzieś tam ta Europa jest na etapie totalnego zwrotu. Jedyne, co można zrobić, to napisać kilka zdań, zgłosić swój mały sprzeciw. Bo naturalnie pisanie jest takim małym sprzeciwem, skoro piszesz o rzeczach, na które się nie godzisz, które ci się nie podobają, które uznajesz za szkodliwe. Pisanie wydaje mi się prywatnym polem do buntu albo gestem przyzwoitości.

Pierwsza książka miała być ciosem między oczy. A „Wnyki dla światła" były sprawdzaniem, czy można opowiedzieć o pięknie?

Przestałam stosować strategię wejścia z buta. Okazało się, że niewiele daje, więc może czasami też warto pewne rzeczy zaakceptować i skupić się na czym innym. Choćby na zachwycie. Zostawmy wyważanie drzwi, których nie da się wyważyć. Być może to też jest trochę zaakceptowanie tego, że język nigdy nie będzie wystarczający do opisania pewnych doświadczeń. Podjęłam rodzaj wyzwania, próbę opisania tego, co bywa trudne do wyrażenia. To jest piękno, ale jednak piękno nie w klasycznym sensie – jako coś nieskalanego – tylko piękno naznaczone brudem, pęknięciami. Piękno nieoczywiste i bolesne. Ale chyba takie jest ludzkie życie, że doświadczamy piękna i doświadczamy również rozpaczy. I ważne jest to, co wygra. Czy wygra w nas rozpacz, czy chęć doświadczenia piękna pomimo wszystko. Chciałabym pokazać, że można odnaleźć piękno pomimo wszystko. I to jest właśnie wspaniałe, bo literatura pozwala na taki przywilej.

Pani „Wiersze zebrane" pokazują, jak bardzo się to pisanie zmieniło. ▶

© ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł za tydzień przez cały rok

Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl 0eac8d3e91

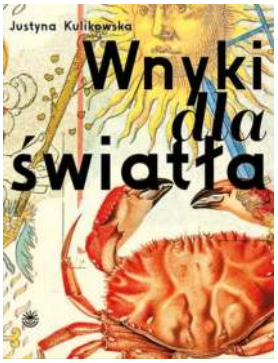

▶Tak, „Obóz zabaw" był dla mnie wysoce męczący, bo próbowałam napisać poemat dystychami. Zainspirowała mnie wtedy „Burza" Szekspira oraz „Morze i zwierciadło" Audena. Ale teraz jestem na zupełnie innym etapie życia i inaczej myślę o literaturze. Szukam w niej choćby tego, żeby podarować komuś zachwyt albo trochę pocieszenia. Może ktoś przeczyta sobie wers i pomyśli: „O, to jest fajny wers, być może zrobi mi dzień". Może nie zawsze warto taplać się wyłącznie w bagienku traumy. Co ciekawe, opisywanie rozpaczy i tematów ciężkich jest łatwiejsze niż opisanie radości. Może dlatego, że smutek jest czymś bardziej dotkliwym, o naszych radościach zapominamy szybko, a wszystkie swoje smutki, nieszczęścia i traumy pamiętamy bardzo długo.

Bada pani możliwość zachwytu?

Tak, chciałam ofiarować zachwyt. „Obóz zabaw" był dedykowany „nikomu", a „Wnyki..." były „dla wszystkich", są właśnie takim potężnym zwrotem ku odbiorcy. Ostatnio stałam się mniej wsobna i gdzieś tam chciałam podarować ludziom inne rzeczy, o ile w ogóle literatura może cokolwiek podarować.

Jak wygląda praca nad tekstem?

Wracam do tego, co napisałam, i jakoś obsesyjnie zaczynam to poprawiać albo kasuję, bo stwierdzam, że nie było wystarczająco dobre. Wiersz trzeba najpierw przeżyć. Mam taką metodę, że zazwyczaj piszę o rzeczach, które mnie dotknęły i które przeżyłam. Może nie mam zdolności abstrakcyjnego myślenia, nie potrafię wymyślić całej historii od początku. Tym samym mogę bazować tylko na własnych doświadczeniach. Potem następuje transformacja, trzeba oprawiać i redukować albo wymieniać słownictwo na ciekawsze. Czasami siedzę ze słownikiem i wymieniam słowa. Właściwie chodzi o to, żeby próbować dobierać słowa, które są wyjątkowe.

Czy wiersze o zachwycie pisze się w zachwycie?

Nie, zachwyt można w sobie wytworzyć. Bo być może jest tak, że napisałam tę książkę wyłącznie dla siebie, żeby samej sobie wmówić, że nadal potrafię się jeszcze zachwycać. Jestem człowiekiem, który został całkowicie pozbawiony naiwności. I to jest dziwaczne, by pisać, a przynajmniej próbować pisać, a jednocześnie zupełnie być pozbawionym złudzeń i naiwności, takiej życiowej w stosunku do świata, w stosunku do ludzi, a jednocześnie stawiać przed sobą wyzwanie, żeby wycisnąć z siebie jakąkolwiek jeszcze wiarę i naiwność. I z tym mierzyłam się właśnie we „Wnykach...", żeby wyciągnąć jednak ten zachwyt na wierzch pomimo wszystko.

Zadajemy sobie pytanie, czy w ogóle jesteśmy zdolni do zachwytu. Zdarzyły się ostatnio jakieś literackie odkrycia?

Miałam tak nawet w ostatnich dniach, że przeczytałam wiersze Jakuba Sęczyka. Myślałam sobie: ale to jest piękne, chciałabym coś takiego napisać. I to był mój ostatni zachwyt. Wcześniej miałam taki zachwyt, który towarzyszył mi bardzo długo, literacki zachwyt. I była też właśnie ta fraza „Tak dużo jest do uczczenia" Craiga Rainego w przykładzie Jerzego Jarniewicza. Bardzo otwierająca mózg. Właściwie ta fraza natchnęła mnie, napędziła mnie do napisania „Wnyków". Chodziła za mną z pół roku. Ciągle ją miałam w głowie i sobie powtarzałam, jakie to jest świetne. Chciałabym napisać coś, co będzie tak promieniowało blaskiem.

Literatura to przenoszenie blasku?

Literatura jest umiejętnym podkradaniem blasku. Ja też nie ukrywam, że kradnę, choć bardziej zapożyczam, od innych twórców. Może nie pomysły, nie, ale inspirują mnie mocno różne sposoby użycia słów, czasami przechwytuję cudze języki. Bo przecież nie jest możliwe, żeby na tym etapie wymyślić nowy język, który będzie całkowicie twój, próbuję więc zmiksować różne style, porządki i języki.

Wspomina pani Eliota, Audena i Pounda. A polscy poeci byli też ważni? Miała pani szkolne fascynacje poetyckie?

Jest Herbert, to jest miłość. Polubiłam Miłosza, chociaż wcześniej, w fazie młodzieńczego buntu, podchodziłam do niego po macoszemu. Ale faktycznie, chyba jest mało polskich twórców w mojej poezji. Pamiętam do dziś wiersz, który był wypisany na ścianie mojego liceum. Był to „List do syna" Kiplinga i jako nastolatka byłam tym tekstem zachwycona. A po latach dowiedziałam się, że Kipling był imperialistą, i poczułam rozczarowanie nim jako człowiekiem. Ale to jest ciekawa sprawa, bo pokazuje, jak trudno oddzielić twórcę od jego dzieła.

Znajdujemy w wierszach odniesienia nie tylko do literatury, ale też do piłki nożnej.

Czerpię z wielu porządków. Lubię nieoczywiste nawiązania, choćby do futbolu, bo jestem jego wielką fanką, oglądam namiętnie mecze. Dyskutuję z filmami, grami, muzyką. To jest bardzo eklektyczne, swoista mieszanka. Większość rzeczy, które w życiu robiłam, czy większość prac, które podejmowałam, zupełnie nie była związana z literaturą.

Jakie to były prace?

Prowadziłam szkolenia, byłam kelnerką, opiekowałam się starszymi osobami w Niemczech, pracowałam na produkcji – to był taki przekrój prac zupełnie nieliterackich. I też chyba nigdy mnie nie kusiło, żeby zawodowo zajmować się literaturą, dla mnie zawsze będzie wyłącznie wypadkową życia. Opisywanie może nie sprawia mi przyjemności czy radości, ale pozwala oswoić i uporządkować chaotyczną rzeczywistość.

Tak jak w jednym z wierszy – chciałoby się „ucałować wieczność z przyczajki"?

Tak, bardzo, cholernie. Mam nadzieję, że kiedyś ucałuję wieczność z przyczajki, z całym jej dobrobytem. Moja literatura nadal pozostaje w ciągłej przyczajce. Zastanawiam się, do czego jeszcze jestem zdolna. Albo do czego będę w stanie się posunąć. Jestem ryzykantką. Jestem osobą, która mówi, że nigdy nie spróbuje surfingu, bo z powierzchni zmiecie mnie fala, a potem nagle idę i próbuję surfować. Tak samo jest z literaturą. Mówię sobie, że nigdy czegoś nie napiszę, a nagle o tym piszę. Może literatura jest trochę zabawą z własną głową, ze swoimi lękami? Nie wiem, jaki będzie tego finał w kolejnych moich książkach, na ile zmiana miejsca zamieszkania wpłynie na mój język. Na razie każdego dnia rzucam literaturę. Powtarzam sobie, że każda książka będzie ostatnią. Może kiedy uda mi się zostać szczęśliwym człowiekiem, to zupełnie odejdę od pisania? Może literatura przestanie mi służyć jako rodzaj pigułki na cały nieporządek świata.

I co będzie wtedy pani robić?

Nie wiem, zdobędę jakiś sześciotysięcznik? Zacznę uprawiać ogród, ostatnio stałam się wielką fanką uprawiania ogrodu. Często kusi mnie zniknięcie, a potem powrót, ale dopiero za kilka lat. Może właśnie tak zrobię. Na razie liczę na to, że przyjdzie mi ucałować wieczność z przyczajki.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

Wybrane wiersze poetki na polityka.pl

© BIBLIOTEKA WIELKOPOLSKA IM. STANISŁAWA BARAŃCZAKA

eprasa.pl 0eac8d3e91

Skarby piastowskiego Mazowsza.
Wyjątkowa wystawa w Płocku

Już od 10 września w Muzeum Mazowieckim w Płocku oglądać będzie można niezwykłą ekspozycję z okazji 500-lecia inkorporacji Mazowsza do Korony. Oto osiem najcenniejszych obiektów, które trzeba tam zobaczyć.

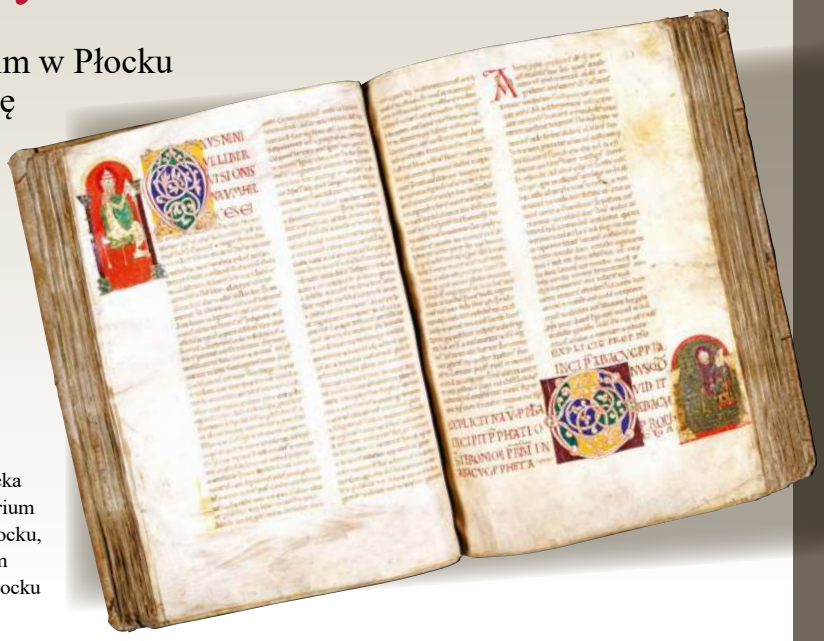

Biblia Płocka
Własność -Biblioteka Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku, depozyt w Muzeum Diecezjalnym w Płocku

Przez kilkaset lat Mazowsze stanowiło odrębny organizm polityczny. Choć od połowy XIV wieku uznawało zwierzchność lenną Królestwa Polskiego, to zachowało własne sądownictwo, administrację, sejm oraz dumną linię Piastów mazowieckich, która wygasła bezpotomnie dopiero w 1526 roku. Ta zapomniana niezależność, pełna splendoru, intryg i wielkiej polityki, powraca na wyjątkowej wystawie w Płocku. Spośród blisko dwustu unikatowych eksponatów wybraliśmy osiem, które najlepiej opowiadają tę fascynującą historię.

- **Herma św. Zygmunta (1370):** Srebrny, pozłacany relikwiarz ufundowany przez Kazimierza Wielkiego. Wieńczy go XIII-wieczny diadem książęcy ozdobiony szafirami, rubinami i perłami. Przedstawia on sceny z arturiańskiego eposu „Erek i Enida" – to unikatowy motyw arturiańskich legend rycerzy okrągłego stołu na dworze Piastów.
- **Kielich i patena Konrada Mazowieckiego (ok. 1239):** Arcydzieło sztuki romańskiej, powstałe jako wotum pokutne księcia za zabójstwo płockiego scholastyka Jana Czapli. Na patenie uwieczniono klęczącego u stóp Chrystusa fundatora z żoną Agafią i synami.
- **Złoty Kodeks Pułtuski (ok. 1075):** Luksusowy ewangeliarz, jeden z czterech zachowanych na świecie tego typu zabytków. Spisany w całości płynnym złotem na pergaminie, olśniewa wspaniałymi miniaturami i motywami ornamentalnymi wiązanymi z malarstwem ratyzbońskim.
- **Biblia Płocka (XII w.):** Monumentalny rękopis sprowadzony z rejonu mozańskiego przez biskupa Aleksandra z Malonne. Zawiera m.in. najstarszy zachowany opis cudów na ziemiach polskich z 1148 roku.
- **Miecz sprawiedliwości Zygmunta Starego (1507-1548):** Gladius iustitiae ze złoconego srebra, będący symbolem władzy sądowniczej, na wystawie podkreśla ostateczne przejęcie zwierzchnictwa nad Mazowszem przez króla Polski w 1526 roku.
- **Kodeks Świętosławów (XV w.):** Iluminowany zbiór statutów królów polskich i książąt mazowieckich w tłumaczeniu na język polski, co jest bezcennym świadectwem rozwoju języka i kultury prawnej regionu.
- **Tryptyk Świętej Zofii (ok. 1460):** Srebrzony obraz na deskach lipowych ukazujący św. Zofię z córkami w części centralnej oraz św. Bartłomieja (na prawym skrzydle) i Męczeństwo 10 Tysięcy z Góry Ararat (na lewym skrzydle). To unikatowe retabulum łączy gotycki wdzięk z charakterystycznie łamanymi fałdami szat, typowymi dla drugiej połowy XV wieku.
- **Portret Konrada III Rudego (XVI w.):** Dynastyczny wizerunek władcy z różańcem w dłoniach. Anachroniczna data „1246" na obrazie odwołuje się do Konrada I, co miało manifestować dawną chwałę i historyczną ciągłość rodu Piastów mazowieckich.

Artykuł powstał w ramach projektu „Mazowsze dla Korony", realizowanego przez Muzeum Mazowieckie w Płocku i sfinansowanego w całości ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego, co podkreśla kluczową rolę samorządu w pielęgnowaniu lokalnego dziedzictwa. Na to szeroko zakrojone przedsięwzięcie składają się: program edukacyjny w 240 szkołach („Mazowiecki Projekt Żywej Historii"), mobilna wystawa plenerowa odwiedzająca 33 miejscowości, badania naukowe we współpracy z Instytutem Historii PAN oraz kulminacyjna wystawa czasowa w Płocku.

Mazowsze dla Korony
500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego

MUZEUM MAZOWIECKIE W PŁOCKU
10 IX 2026, godz. 13.00
Muzeum Mazowieckie w Płocku
aula przy ul. Kolegialnej 6

Mazowsze.
Muzeum Mazowieckie w Płocku jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Mazowieckiego

Zadanie „MAZOWSZE DLA KORONY. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego" zrealizowane ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego.

FOT. PRZEMYSŁAW ADAMSKI, NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA W WARSZAWIE

eprasa.pl 0eac8d3e91

Dolly z niedoli

Dlaczego nie trzeba było lubić country, żeby na zawsze pokochać Dolly Parton.

BARTEK CHACIŃSKI

Zmarłą 25 sierpnia Dolly Parton żegnała cała Ameryka. Nie ma w tym zdaniu cienia przesady, bo Hillary Clinton wspominała jej dobre serce, a Donald Trump nakazał opuszczenie do połowy masztu flag w budynkach publicznych na cały tydzień. 10 lat temu, kiedy stanęli przeciwko sobie w ostrej kampanii, obie połówki podzielonej Ameryki obserwowały m.in. właśnie Parton – czy ważniejsze będzie dla gwiazdy country wychowanie na konserwatywnym Południu, czy jednak wspieranie walki kobiet o samostanowienie. Wykręciła się po raz kolejny od odpowiedzi, żartując, że niezależnie od tego, kto wygra, kraj będzie obserwować szczególną odmianę huśtawki nastrojów, czyli zespół napięcia prezydenckiego.

U nas ten stopień zaufania społecznego do autorki „Jolene" był czymś mniej ważnym. Przesłaniała to prosta, przez wielu odrzucana konwencja country oraz postać Dolly – niemal elvisowska – z burzą włosów, cekinami i sztuczną biżuterią. A wreszcie charakterystyczną figurą, przedmiotem niezliczonych żartów (włącznie z gestem naukowców, którzy słynnej owcy, sklonowanej z komórki wymienia, nadali imię Dolly). Sama Parton musiała je znosić i odnosić się do nich przez całe życie. „Skąd wiem, co myśli mężczyzna, który ze mną rozmawia? Po tym, gdzie biegnie jego wzrok" – mawiała. „A dlaczego zawsze miałam małe stopy? Bo w cieniu nic nie rośnie".

Brzmisz jak mysz

Za tym luzem, dystansem i sztucznym wizerunkiem kryły się losy: prawdziwe i wyboiste. Parton urodziła się na głębokiej prowincji, w Appalachach, w tradycyjnej, religijnej i biednej rodzinie robotnika budowlanego, a później dzierżawiącego ziemię farmera, analfabety, który ożenił się z 15-latką, gdy sam miał 17 lat. Dolly była czwartym z ich 12 dzieci. I pierwszym dzieckiem w rodzinie, które ukończyło liceum, a dzięki talentowi do muzyki zyskało wcześnie szansę na finansową niezależność. Wcześniej – jak mówiła – „za przejaw bogactwa uważała sytuację, gdy ktoś miał czysto w domu".

„Mam silną wolę. Potrafię myśleć jak robotnik, bo wiem, przez co robotnicy przechodzą" – mówiła. I sama przebijała się w show-biznesie od 12. roku życia, kiedy to zaliczyła pierwszy występ radiowy. Zaraz po szkole uciekła do Nashville, gdzie czekając na sukces, zbierała niedojedzone resztki w restauracjach i znosiła najgorszą krytykę („brzmisz jak mysz" – mówili jej fachowcy). Tam również wzięła ślub z przypadkowo spotkanym w pralni Carlem Deanem (byli małżeństwem przez niemal sześć dekad), a w pełni profesjonalny debiut zaliczyła w końcu w 1967 r. Wydała wtedy w Nashville pierwsze single i dołączyła do dwukrotnie starszego od siebie Portera Wagonera w jego superpopularnym telewizyjnym show, by śpiewać w duecie. Przez lata rozwijała stopniowo własną karierę, pisząc samodzielnie niemal cały swój repertuar (ponad 3 tys. piosenek), aż do momentu przełomowego, czyli rozwiązania stałej współpracy z Wagonerem w 1974 r.

Wtedy była już jednak boginią dla fanów gatunku, a zdjęcia Dolly przyczepione do szyby wozili kierowcy trucków jak kraj długi i szeroki. „Nie pozostawiam muzyki country! Zabieram ją ze sobą!" – uspokajała opinię publiczną, wychodząc na szersze wody. I żegnając się z Wagonerem piosenką „I Will Always Love You". Obok wspomnianej „Jolene" – przypominanej co rusz przez inne gwiazdy, choćby Jacka White'a czy Miley Cyrus (chrzestną córkę Dolly) – to największy przebój artystki.

W tym punkcie kariery pokazała ambicję, charakter i zmysł biznesowy. Utwór zainteresował bowiem Elvisa Presleya, którego wykonanie stałoby się dla piosenkarki

© ABACA PRESS/FORUM

eprasa.pl 0eac8d3e91

potężną trampoliną – tyle że jego menedżer zażądał połowy praw wydawniczych do napisanej przez Parton piosenki. Nie zgodziła się na to, a na szersze, popowe wody szlagier wyprowadziło dopiero w 1992 r. wykonanie Whitney Houston. W ten sposób „I Will Always Love You" stało się najpopularniejszą w historii piosenką śpiewaną przez kobietę, dodatkowo jeszcze przez kobietę napisaną. Zdobywało pierwsze miejsce na listach bestsellerów w trzech kolejnych dekadach: w latach 70. i 80. dzięki różnym wersjom Parton było numerem jeden na listach przebojów country, a w latach 90. miała „jedynkę" na głównej liście „Billboardu" przez 14 tygodni.

Ale w latach 90. Dolly była już nie tylko gwiazdą. Była ikoną – i właścicielką świetnie prosperującego rodzinnego biznesu. W zespole i managemencie zatrudniała głównie członków rodziny. A dodatkowe zyski przynosiły jej liczne występy filmowe oraz otwarty w 1986 r. Dollywood – park rozrywki z osobistym muzeum, ale też parkiem wodnym i kolejkami górskimi, położony w Pigeon Forge, kilkanaście kilometrów od miejsca, gdzie pół wieku wcześniej przyszła na świat.

Feminizm light

Jeśli dziś Taylor Swift pisze w pożegnaniu, że „świat bez Dolly nie wydaje się możliwy, prawdziwy ani właściwy", to myśli na pewno także o sobie. Nie byłoby bez kariery Parton i jej twórczości nie tylko tego typu niezależnej kariery kobiety-songwriterki w muzyce country (a w tym nurcie Swift zaczynała), ale też nie byłoby z country wyjścia na wielki rynek pop. Jej repertuar to nie tylko gatunkowe hity, których miała dziesiątki, to także główny nurt muzyki rozrywkowej.

Już na drugiej solowej płycie Parton „Just Because I'm a Woman" dostajemy w piosence „The Bridge" opowieść dość mroczną: o młodej dziewczynie, która poznaje ukochanego na moście, zachodzi z nim w ciążę, by zostać przez niego porzucona, wrócić na ten sam most i rzucić się do rzeki. Rzecz ma społeczne tło – pokazuje nierówno rozłożoną odpowiedzialność. To feminizm w wersji light: artystka nie kwestionuje nawet męskiej władzy („wierzę w Boga i Biblię" – deklarowała), tylko pyta, dlaczego w kwestiach moralnych mężczyznom wolno więcej. Później dorzuca do tego kwestie socjalno-bytowe i dotyczące awansu. „Ledwie przeżyć pozwalają: tylko biorą, nic nie dają" – śpiewa w filmowym „9 to 5" (później zamienionym przez nią w musical). „Wezmą twoje pomysły, wkładu nie uznają".

Ważny był u niej szacunek do pracy i życia nizin społecznych. W „Coat of Many Colors" odwołuje się do własnej biografii, gdy biegała do szkoły „z łatami na spodniach i dziurami w obu butach, w wielokolorowym płaszczyku", z którego śmiały się dzieci. Zarazem z tradycyjnej religijności Parton wyprowadza w swoich piosenkach myśl o tym, że w rodzinie należy zaakceptować wszystkich, włącznie z mniejszością LGBT. Wywrotowość tego nie polegała na tym, co śpiewała – bo w świecie muzyki rozrywkowej zdarzały się mocniejsze wyznania – tylko do kogo docierała. Z opowieścią o biedzie – do bogatych i wykształconych, z opowieścią o akceptacji – do środowisk głęboko konserwatywnych. Ogółem: do wszystkich.

365 peruk

Sama wydawała się lewicowa w społecznych poglądach, ale konserwatywna w innych, choćby przywiązaniu do broni, którą woziła ze sobą dla bezpieczeństwa. Jedni przyjmowali jej krzykliwy wizerunek zupełnie serio, inni widzieli w tym odgrywanie scenicznej roli.

Odsłoniła się nieco już w wywiadzie dla „Playboya" w 1978 r. Nie zgodziła się wprawdzie na nagą sesję (we wspomnieniach obiecywała, że zgodzi się, kiedy dociągnie do setki), ale sama rozmowa z nią – z prowokacyjną okładką w stroju króliczka – podwoiła wtedy sprzedaż magazynu. Potwierdziła, że swój image wybrała świadomie, że wcale nie chodzi w nim o seks ani wielką klasę. Wiedziała, że jest tandetny, ale stanowił wygodny uniform oddzielający prywatność od sceny. Tę pierwszą chroniła w sposób wyjątkowy – po latach „New Yorker" poświęcił długi esej temu, w jaki sposób udało jej się zachować prywatność i ciszę wokół małżeństwa ze zmarłym w 2025 r. Deanem. Fakt, że nie mieli dzieci, uzasadniała pracą i potrzebą artystycznej wolności. Plotki, że małżeństwo jest tylko fasadą, twardo dementowała.

Stroje ozdobione cekinami i cyrkoniami wybrała dlatego, że jako młoda dziewczyna nie miała nic. Stąd również kolekcja butów, która pod koniec życia artystki sięgnęła ponad 2 tys. par. Potężne peruki, które zmieniała regularnie („Mam ich 365 – na każdy dzień w roku", tłumaczyła), były nie tylko sposobem na oddzielenie się od prywatnej Dolly, okazały się też praktyczne: „Wiele osób myśli, że spędzam godziny na przygotowaniach, tymczasem jestem w pełni gotowa na scenę w 30 minut". Dzięki temu nie obrażały jej dowcipy o blondynkach: „Po pierwsze – wiem, że nie jestem głupia. A po drugie – wiem, że nie jestem blondynką", mogła też błysnąć dowcipem w wywiadzie: „Kiedy ludzie pytają, ile czasu zajmuje mi zrobienie włosów, odpowiadam: nie wiem, bo mnie wtedy przy nich nie ma". Tymczasem za dowcipem kryje się ścisła kontrola wizerunku, prowadzona w bardzo współczesnym stylu.

Zresztą nawet niektóre dowcipy o swojej fizjonomii Dolly wymyślała sama. „Ktoś musiał to zacząć" – mówiła, przejmując kontrolę nad narracją.

Ostatni gest

Jednym z ostatnich gestów 80-letniej Parton w sferze publicznej było nagranie filmu z podziękowaniami za donację w wysokości 2 mln dol., jaką Swift i jej mąż Travis Kelce przekazali na Imagination Library. Bibliotece Wyobraźni, charytatywnej instytucji wysyłającej miliony darmowych książek małym dzieciom (żeby nie były jak ojciec Dolly). To tylko jedna z wielu jej filantropijnych akcji.

Jedną z ostatnich gorących dyskusji, które wywołała, była ta na temat szczepionki na Covid-19, bo w czasie pandemii Dolly Parton przekazała milion dolarów dla Vanderbilt University Medical Center na badania nad szczepionką na koronawirusa. Po czym sama się publicznie zaszczepiła.

Ostatni wiral z jej udziałem opisywaliśmy szerzej na łamach POLITYKI (6/20) – to zestawienie czterech zdjęć z jej kariery, dobranych pod kątem różnych internetowych platform: od formalnego (LinkedIn), poprzez luźniejsze (Facebook, Instagram), aż po całkiem szalone, ze wspomnianym króliczkiem „Playboya" (Tinder). Cały świat podchwycił wtedy zabawę w kreowanie swojego wizerunku na różne sytuacje. Ale ta mówiła przecież coś ważnego na temat samej gwiazdy. Bo choć przywykliśmy na nią patrzeć jako na serce Ameryki, postać godzącą spory i zasypującą podziały („New York Times" w 2019 r.: „Czy jest jakaś sprawa, w której jesteśmy wszyscy zgodni? Owszem, Dolly Parton"), to przecież była kimś innym dla każdego. I każdy, włącznie z Clinton i Trumpem, inaczej ją zapamięta. ■

eprasa.pl 0eac8d3e91

Głodny wrażeń

Choć od jego śmierci minęło osiem lat, niezbyt przykładna kariera szefa kuchni Anthony'ego Bourdaina, bohatera nowego filmu „Tony", nie przestaje fascynować.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Nie tak miały wyglądać wakacje 19-letniego Tony'ego Bourdaina. Głęboko przekonany o własnym geniuszu młody chłopak oznajmia rodzicom, a także Nancy, koleżance, w której się podkochuje, że dostał stypendium pisarskie i wyjeżdża do Nowego Jorku. Problem w tym, że marzenia o stypendium brutalnie zweryfikowała rzeczywistość – Uniwersytet Nowojorski postawił na innego aspirującego młodzieńca – a pozbawiony perspektyw na przyszłość Tony jest zbyt zadufany w sobie, żeby przyznać się do porażki. Jedzie więc do Provincetown, turystycznego miasteczka na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, gdzie w wakacje dorabia Nancy. Lecz tam wszystko idzie fatalnie: okazuje się, że Nancy ma chłopaka, więc Tony postanawia zapić smutki w lokalnej knajpie, wdaje się w bójkę, wreszcie zostaje okradziony. Pomocną dłoń wyciąga do niego Jose, szef restauracji The Flagship – tej, w której Bourdain dzień wcześniej wywołał awanturę – i proponuje mu pracę na zmywaku oraz miejsce do spania. A to dopiero początek długiej i trudnej drogi do kuchennego zawodowstwa: podróży, której rytm wyznaczają początkowo kolejne oparzenia, szramy, upokorzenia.

Scenariusz wchodzącego właśnie do polskich kin „Tony'ego" czerpie inspirację z najsłynniejszej książki Bourdaina „Kitchen Confidential" (w Polsce ukazała się po raz pierwszy pod fatalnym tytułem „Kill Grill. Restauracja od kuchni", ale nowe wydanie na szczęście wróciło do oryginalnego brzmienia) – tej samej, która na początku XXI w. otworzyła mu szeroko drzwi do sławy i popularności. Film nie trzyma się jednak kurczowo faktów z jego życiorysu: Jose (bardzo dobrze zagrany przez Antonia Banderasa) i inni pracownicy The Flagship łączą w sobie cechy charakteru różnych ludzi, niektóre zdarzenia zostały dopisane na potrzeby filmowej dramaturgii. W „Tonym" od początku nie chodziło o dokumentalną wierność prawdzie, tylko raczej o uchwycenie w życiu bohatera przełomowego momentu, który ostatecznie uświadomił mu, jaką drogę kariery chce wybrać. Zresztą jeśli wierzyć napisanej przez Charlesa Leerhsena nieautoryzowanej biografii „Zagubiony w raju", Bourdain w swoich wspomnieniach także wiele rzeczy przemilczał lub podkoloryzował.

Główną rolę fantastycznie gra Dominic Sessa: jego Bourdain jest charyzmatyczny, ale piekielnie irytujący. Scenariusz cytuje zresztą wprost kluczowe zdanie z „Kitchen Confidential": „Byłem – powiedzmy sobie szczerze – rozpuszczonym, żałosnym, narcystycznym, autodestrukcyjnym i bezmyślnym młodym chamem, który prosił

© BARRY LEWIS/ALAMY/BE&W

eprasa.pl 0eac8d3e91

się, żeby ktoś mu w końcu porządnie skopał dupę". Dla Tony'ego, zarówno w życiu, jak i w filmie, praca w podrzędnej knajpie w Provincetown była nie tylko wejściem do wymagającego, fascynującego i uzależniającego świata gastronomii, lecz przede wszystkim szkołą życia i pokory. Choć z tą pokorą, jak się miało okazać, bywało różnie.

Sumienny ćpun

Anthony'ego Bourdaina nie wystarczy nazwać po prostu szefem kuchni – sam zresztą nie uważał siebie za wybitnego kucharza, choć miał talent i instynkt, poparte stosownym wykształceniem. Był też kimś więcej niż osobowością telewizyjną, niezłym pisarzem, aktorem, celebrytą (który swojego celebryckiego statusu szczerze nie znosił), filozofem. Dopiero połączenie tych wszystkich cech daje przybliżony obraz tej skomplikowanej, fascynującej osobowości. Przybliżony, bo Bourdain nie dawał się wpasować w żaden prosty schemat, a jego biografią dałoby się obdzielić przynajmniej kilka osób.

W połowie lat 70. dostał się do Culinary Institute of America, prestiżowej szkoły gastronomicznej w Nowym Jorku, i uwierzył, że będzie wielki. „W owym czasie moimi idolami byli Hunter Thompson, William Burroughs, Iggy Pop i Bruce Lee. Przez chwilę miałem romantyczne, choć mało skonkretyzowane wyobrażenie o sobie jako kimś w rodzaju superagresywnego lorda Byrona ćpuna. Zacząłem nosić w przypiętej na pasku kaburze nunczaku oraz samurajski miecz – to powinno wyjaśnić wam wszystko", wspominał w „Kitchen Confidential". Bourdainowi po prostu pisane było stać się ikoną popkultury.

Zanim jednak skłonność do przesady, dziwactw i używek zamienił na błyskotliwą karierę pisarską i telewizyjną, przez wiele lat pracował w nowojorskich knajpach, przechodząc wszystkie szczeble kariery: od pomywacza po jednego z najbardziej cenionych amerykańskich szefów kuchni. O swoich doświadczeniach opowiadał z bezwzględną szczerością i sarkazmem. „Przyglądając się mojej, niezbyt w końcu przykładnej karierze, można odnieść wrażenie, że wszyscy kucharze to zwyrodnialcy, ćpuny, uchodźcy, zapita chuliganeria, zbieranina złodziejaszków, zdzir i psychopatów. Nie byłby to osąd szczególnie daleki od prawdy", pisał.

W jego wspomnieniach narkotyki, alkohol, werbalna i fizyczna przemoc, przypadkowy seks gdzieś na workach z mąką oraz oczywiście humor czarniejszy niż stek spalony na węgiel są nieodłącznymi elementami pracy na zapleczu restauracji. Sposobem na odreagowanie stresu i nieludzkich warunków pracy, lecz także odbiciem panującej w Nowym Jorku, zwłaszcza w latach 80., atmosfery, gdy miasto było wciąż pogrążone w głębokim kryzysie, a statystyki przestępczości szybowały pod sufit. Bourdain wspominał pracę w knajpach prowadzonych przez mafię i sceny, które mogłyby trafić do któregoś z filmów Martina Scorsesego: otyli gangsterzy w koszulach i garniturach zjawiający się, by przez chwilę pomóc w codziennych obowiązkach.

Pracując w karkołomnym tempie, szybko uzależnił się od narkotyków, choć przez pewien czas sam przed sobą udawał, że kontroluje to, co robi: „Funkcjonowaliśmy cały czas na haju (...) Właściwie żadnej decyzji nie podejmowaliśmy bez narkotyków. Trawka, metakwalon, kokaina, LSD, grzybki halucynogenne, zanurzane w miodzie, którymi słodziliśmy herbatę, seconal, tuinal, speed, kodeina i – coraz częściej – heroina, po którą posyłaliśmy do Alphabet City (zamieszkana głównie przez imigrantów część Manhattanu – przyp. red.) władającego hiszpańskim pomocnika kelnera". Być może za jego skłonność do nałogów należałoby częściowo winić Francuzów: Bourdain podobno zaczął palić i pić alkohol w wieku 12 lat, zainspirowany tym, że dzieci we Francji (gdzie Anthony spędzał wakacje z rodzicami i bratem) dostawały do obiadu rozcieńczone wodą wino, pozwalano im także palić papierosy. Mimo uzależnienia był na tyle sumiennym i dobrym pracownikiem, że zyskał renomę faceta, którego zatrudnia się w restauracji, by stanęła na nogi. Jednak Bourdain wspominał, że przypominał raczej grabarza niż lekarza, a sam był „wygłodniałym duchem spragnionym pieniędzy i narkotyków".

Podróżnik, nie turysta

Opamiętanie przyszło dopiero w drugiej połowie lat 90. Próbując wygrzebać się z długów, wreszcie spełnił młodzieńcze marzenie i zadebiutował jako pisarz niezbyt entuzjastycznie przyjętą prozą kryminalną, a w 1998 r. objął posadę szefa kuchni w cenionej restauracji Brasserie Les Halles, w której, jak twierdził, odnalazł dom i z którą pozostał związany nawet w późniejszych latach, gdy ▶

REKLAMA

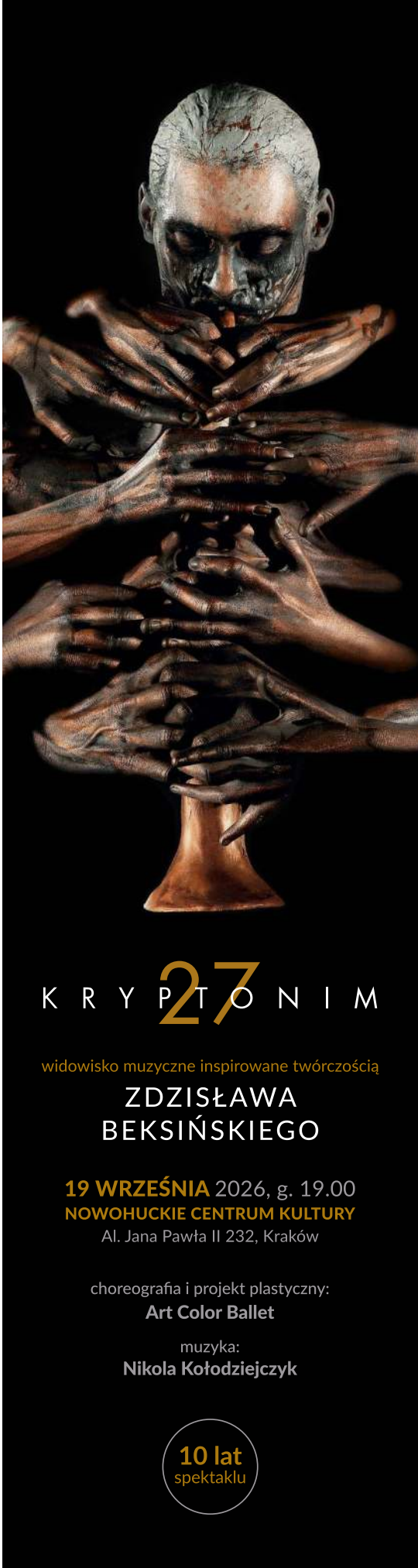

eprasa.pl 0eac8d3e91

▶ zrezygnował już z pracy. W 1999 r. na łamach „New Yorkera" opublikował głośny tekst „Don't Eat Before Reading This" (Nie jedz przed czytaniem), w którym opisywał, jak wygląda kuchnia od zaplecza. Te dwa wydarzenia zmieniły w jego życiu wszystko.

Artykuł w „New Yorkerze" i wydana rok później książka „Kitchen Confidential" sprawiły, że Bourdain stał się naprawdę popularny: nie tylko jako szef kuchni, lecz również jako komentator gastronomicznej rzeczywistości. Szybko dostał propozycję współpracy z kanałami telewizyjnymi, a jego kolejne programy, w których podróżował po świecie, próbując lokalnych potraw – koniecznie z małych lokalnych knajp, wolał przyrządzany ze świeżych składników street food niż wykwintne dania – poznając miejscową kulturę i rozmawiając z ludźmi, cieszyły się coraz większą popularnością. „Jeżdżę po świecie, jem mnóstwo gówna i krótko mówiąc, robię, co mi się kur...a podoba", opowiadał bezpretensjonalnie reporterowi „New Yorkera".

Jego programy, od „Podróży kucharza", poprzez lepiej znane „Bez rezerwacji", po „Miejsca nieznane", które realizował dla stacji CNN aż do śmierci, wyznaczały nowe trendy w opowiadaniu o świecie. Bourdain był ciekawy innych, a większą frajdę sprawiały mu rozmowy z ludźmi z ulicy niż z kuchennymi celebrytami, których w większości serdecznie nie znosił i jako zaprawiony w bojach prowokator często w swoim pisarstwie obrażał. W kwestiach kulinarnych był nieustraszony: zawsze gotowy do próbowania najbardziej dziwacznych potraw, często takich, o których sama myśl wystarczy, by wywołać mdłości (do najgorszych sam zaliczał focze oko i odbytnicę guźca – każde z nich spożywane na surowo – oraz sfermentowane mięso rekina). Uważał to nie tylko za chęć zaspokojenia własnej ciekawości, lecz także za obowiązek wobec ludzi, którzy go gościli, krytykę kulinarnych tradycji innych kultur postrzegał, poniekąd słusznie, jako formę rasizmu. „Bądź podróżnikiem, nie turystą", powtarzał. A felietonista magazynu „The Nation" pisał, że programy Bourdaina „pozwalały uwierzyć, że sprawiedliwość społeczna i ziemskie rozkosze nie wykluczają się wzajemnie".

Bourdain nie unikał też trudnych tematów. Gdy w 2006 r. realizował jeden z odcinków „Bez rezerwacji" w Bejrucie, Izrael zaatakował Liban, a Anthony i jego ekipa zostali uwięzieni w mieście w stanie wojny. Zamiast tradycyjnej opowieści o kulturze i kuchni epizod został zmontowany m.in. z rozmów z Libańczykami, często zwolennikami Hezbollahu, i był kręconym niemal na żywo komentarzem do dramatycznej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Podczas realizacji „Miejsc nieznanych" pojechał do Strefy Gazy także z tego względu, że tradycyjne media nie pokazywały uczciwie sytuacji Palestyńczyków. Za ten odcinek dostał później nagrodę od Muslim Public Affairs Council, amerykańskiej organizacji walczącej o prawa muzułmanów. Odbierając ją, powiedział: „Świat zgotował narodowi palestyńskiemu wiele strasznych rzeczy. Żadna z nich nie jest jednak bardziej haniebna niż pozbawienie go człowieczeństwa. Ludzie to nie statystyki. Właśnie to staraliśmy się pokazać".

Idol, kumpel, filozof

Pojawiające się do dziś w mediach społecznościowych memy często portretują Bourdaina jako człowieka lekko zblazowanego, zamyślonego nad kieliszkiem wina. Dopisują mu banalne złote myśli na temat kultury i świata. Ale Bourdain, choć konsekwentnie pielęgnował swój kontrkulturowy wizerunek buntownika, był jednocześnie głęboko zaangażowanym w kulturę i sprawy społeczne intelektualistą. „Był człowiekiem literatury – czytelnikiem, pisarzem, osobą świadomą meandrów ludzkiego losu – z książkową, a w każdym razie ponadprzeciętnie pokręconą historią typu od nędzy do pieniędzy", pisał jego biograf Charles Leehrsen. Bourdain zresztą pisał nie tylko książki: był autorem scenariuszy do kilku odcinków serialu „Treme" i współautorem (wraz z Joelem Rose'em) inspirowanych japońską kulturą komiksów „Dorwać Jiro" oraz „Hungry Ghosts". Pojawiał się również w filmach i serialach. Udzielił głosu własnej animowanej wersji w „Simpsonach", zagrał epizod w „Far Cry" Uwego Bolla, a w komediodramacie „Big Short" o kryzysie finansowym z 2008 r. tłumaczył na przykładzie zupy rybnej, czym są obligacje zabezpieczone długiem.

Wyprodukował m.in. serialową adaptację „Kitchen Confidential", w której Bourdaina (tyle że o imieniu Jack) grał Bradley Cooper, oraz ekranizację swojej debiutanckiej powieści „Bone in the Throat". Kochał kino, odwoływał się do klasyki w swoich książkach i programach, a amerykański filmoznawca Todd Kennedy napisał nawet książkę analizującą dokonania Bourdaina w kontekście historii kina, krytyki filmowej i zagadnień wierności prawdzie w dokumencie etnograficznym, widząc w jego programach dekonstrukcję tradycyjnego męskocentrycznego i zachodniego spojrzenia na świat (książka „Anthony Bourdain, Filmmaker" ukaże się w Stanach Zjednoczonych jesienią br.).

„Jego fanami są młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, heterycy i queer. Są wśród nich Demokraci i Republikanie, ludzie Wschodu i Zachodu, czarni i biali; hipsterzy i dziadersi, żądni przygód i nieśmiali, fanatycy diety paleo i weganie, zarówno domatorzy, jak i zapaleni podróżnicy. Był jednym z nielicznych przykładów osoby, która potrafi wkurzyć ludzi i pomimo żywionej do niego urazy nadal cieszyć się ich szacunkiem", pisała Karen Rinaldi, dziennikarka i redaktorka książek Bourdaina.

Ludzie pokochali go za bezpośredniość, wiedzę, pewność siebie i pokorę, której wreszcie się nauczył. Dla widzów i czytelników był kimś więcej niż kolejnym kuchennym celebrytą: trochę idolem, a trochę kumplem; trochę guru, a trochę facetem, który przyznaje się do własnych błędów, a zarazem zmienia się na oczach świata. Nieustannie potrzebował nowych bodźców. Narkotykowy nałóg zastąpił innymi uzależnieniami: jeśli ćwiczył brazylijską odmianę jiu-jitsu, to do poziomu, który pozwalał mu startować w międzynarodowych zawodach; jeśli angażował się w romanse, to na całego. Jego dwa małżeństwa skończyły się rozwodami, ale najwięcej uwagi paparazzi przyciągnął jego kilkuletni związek z aktorką Asią Argento, zakończony dość gwałtownie w 2018 r. Kilka dni później 61-letni Bourdain powiesił się w hotelowym pokoju we Francji po zdjęciach do kolejnego epizodu „Miejsc nieznanych".

W filmie „Tony" grający Bourdaina Dominic Sessa zdołał uchwycić ważną cechę swojego bohatera: niekończącą się ciekawość świata i potrzebę zaspokajania zmysłów. Bourdain – a przynajmniej ta część jego osobowości, którą sam wystawiał na widok publiczny – mimo tragicznego epilogu, jaki sam dopisał do swojej biografii, pozostaje uosobieniem wiecznego głodu życia i wrażeń.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Fragmenty „Kitchen Confidential" Anthony'ego Bourdaina w przekładzie Jacka Koniecznego, cytaty z „Zagubionego w raju" Charlesa Leerhsena w przekładzie Arkadiusza Czerwińskiego.

eprasa.pl 0eac8d3e91

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Krzysztof Skiba poprowadzi talkshow „Izba przyjęć doktora Skiby" w Telewizji TVT z Rybnika. Krzysztof jest komikiem demokratą. Cieszę się, że dowiedzą się o tym Suszec, Mszana, Radlin i Pszów.

●

Sandra Hajduk – kiedyś Pudelek, a dziś „Dzień Dobry TVN" – poprowadzi z Michałem Figurskim poranki w Antyradiu. Kiedyś to były Niegrzeczne Dzieci Eteru. Dziś pozostał tylko eter. Dietylowy.

●

Daniel Martyniuk zdominował media. Wystarczyło tylko, że zwyzywał małżonkę, znaną aktorkę, jej nieznanego męża, piosenkarza, ojca oraz telewizję TTV. Podobno używamy od czterech do siedmiu słów, żeby opisać własne emocje. Daniel potrzebuje jednego.

●

Jacek Kawalec sparodiował Zenka Martyniuka i zasugerował, że piosenkarz śpiewa z playbacku, co zaowocowało odejściem Jacka z Budki Suflera i pozwem od Zenka. Jednym słowem – sukces.

●

Anna Kalczyńska dołączy do programu Polsatu „Wydarzenia 18:50". Wcześniej prowadziła „Wydarzenia wieczorne 21:50". Co robiła w czasie pomiędzy tymi wydarzeniami, niestety nie wiadomo.

●

Dominik Tarczyński ujawnił, że Donald Trump jest darem od Boga oraz błogosławieństwem dla Ameryki. W trzecim sezonie serialu „1670" padają podobne słowa. Na przykład „Przyłączyć księżyc do Polski".

Rafał Olbrychski prawi o swoim ojcu: „Połowa Polski go nienawidzi". Ciekawe. Jak wynika z ostatnich badań, prawie 50 proc. Polaków nie wie o tym, że stanowi połowę Polski.

●

Polska Organizacja Turystyczna ruszyła z międzynarodową kampanią promującą nasz kraj. Wystąpili: Lewandowski, Wałęsa, Rubik, Rodowicz, Eisenberg. Mnie przekonała. Jak salonik VIP przy Szpitalu Południowym.

●

Naczelna plotek.pl Karolina Borkowska będzie szefową projektów specjalnych w Agorze. Kiedyś był etos, potem patos, teraz bigos.

Cudowne dziecko wszystkich telewizji Agustin Egurrola wziął ślub kościelny. Dotychczasowa praktyka tancerza podpowiada jedno: planuje transfer do TV Republika.

Książulo kupił Porsche 911. Ferry Porsche powiedział kiedyś: „Nie mogłem znaleźć samochodu, o jakim marzyłem. Więc postanowiłem zbudować go sam". Panie Książulo, w gastronomii może być podobnie.

●

Agata Młynarska poddała się blefaroplastyce. „Bardzo mi to przeszkadzało" – wyznała. Cieszę się. Teraz Agata obejrzy ogrom swojej kariery w całości.

●

Maciej Zakościelny wystąpił we włosko-hiszpańsko-polskiej komedii „Zróbmy sobie przerwę". Maciek zagrał Polaka. Dla większej zmyłki Włocha zagrał Włoch, a Hiszpana Hiszpan.

●

„Napiwki są i powinny być obowiązkiem dla każdego gościa w restauracji" – to Mateusz Gessler. Następnie z oburzeniem wypowiedzieli się Kamińska-Radomska, Książulo i Bogacka. Czyli najwięksi.

●

„Apartament Barbary Kurdej-Szatan w centrum Warszawy. Taras robi wrażenie" – ekscytuje się Jastrząb Post. Oglądam zdjęcia z mieszkania, a tam na horyzoncie widać Pałac Kultury. Twardziutko. Słoiki nie pękają.

●

Sebastian Fabijański chce reprezentować Polskę na konkursie Eurowizji 2027. 93 proc. jego fanów jest na tak. Lud ma zawsze rację. W 1970 r. w Kolumbii wybrano osła na burmistrza miasta.

●

Julia Wieniawa, jurorka „Mam talent!", została nową jurorką „Tańca z gwiazdami". Wojna dyrektorów programowych TVN i Polsatu wchodzi w ciekawą fazę. Już destabilizacja, ale jeszcze nie drony.

© INSTAGRAM.COM/AGUSTINEGURROL

eprasa.pl 0eac8d3e91

Orliński

Witaj, szkoło

Z okazji nowego roku szkolnego pozwolę sobie znowu na wypełnienie felietonu belferskim gderaniem. Pytanie „po co komu szkoła" jest stare jak sama szkoła. Stary jest też ten problem, że tej odpowiedzi starsze pokolenie udziela za młodsze. A młodsze przecież może całkiem zasadnie argumentować, że czasy się zmieniły, a rodzice i nauczyciele tych zmian nie rozumieją. Od Mickiewicza, poprzez Żeromskiego, aż po teksty hiphopowe polska literatura jest pełna takich oskarżeń. To dobry argument. W Polsce od stuleci nie mieliśmy takiej stabilizacji ustrojowej, żeby porady typu „jak zarobić na pierwsze mieszkanie", „jak szukać pracy", „jakie wykształcenie najlepiej chroni przed biedą", zachowywały ważność przez 30 lat.

Moje pokolenie wchodziło w dorosłość w chwili wyjątkowej mobilności społecznej. Moi rówieśnicy uwielbiają perorować, jak to do wszystkiego sami doszli ciężką pracą, radośnie nie chcąc widzieć, że wciągnęli(śmy) za sobą drabinę i młodzież już nie ma szans na powtórzenie naszej drogi. Ja się staram gryźć w język, żeby nie odstawiać jakiegoś „starego Cedzyny" czy innego dziadersa z lektur szkolnych, ale oczywiście mnie też to dotyczy.

Najgorsze, że i tak musimy coś doradzić następnemu pokoleniu, a czasem podjąć za nie decyzję, bo w kwestii wykształcenia brak decyzji też jest decyzją, która po latach może się odbijać czkawką. Cóż więc odpowiedzieć młodej osobie, która pyta: „Po co mi szkoła, skoro można dobrze zarabiać, robiąc tipsy / walcząc w klatce / pajacując na TikToku / tyrając na budowie"?

Ja odpowiadam, że większość takich pomysłów zapowiada kariery być może cudowne, ale krótkotrwałe. Tipsy wyjdą z mody, a walcząc w klatce, szybko stracisz zdrowie. Wykształcenie nie gwarantuje szybkich zarobków, ale ułatwia elastyczne dostosowywanie się do zmian. Nikt nie wie, jak będzie wyglądać rynek pracy za 20 lat, ale jedno jest pewne: łatwiej się na nim odnajdą ludzie wykształceni.

Młody człowiek czasem pyta: „Po co wykształcenie, skoro cała wiedza jest w internecie?". Podobnie jak poprzednie pytanie i to też ma dobre 200 lat. Już w czasach Mickiewicza w każdym szanującym się szlacheckim czy inteligenckim domu na poczesnym miejscu widniała encyklopedia (albo i kilka różnych). W tych tomach też była „cała wiedza". Tylko że człowiek nieprzygotowany nie będzie umiał z tego skorzystać, trzeba mieć wiedzę, by umieć korzystać z wiedzy.

Sztuczna inteligencja w ułamku sekundy policzy nam całkę oznaczoną z sinusa od zera do dwóch pi, ale naturalna inteligencja jeszcze szybciej powie, że to zero. Człowiek dobrze nauczony matematyki nie będzie tego „liczyć", po prostu wyobrazi sobie sinusoidę. Tylko że samemu matematyki porządnie się w praktyce nie da nauczyć, wymaga to geniuszu klasy Banacha. I tak jest właściwie z wszystkim. Biada prawnikowi samoukowi, który wiedzę czerpał tylko z internetu!

Żeby zdobyć wykształcenie, trzeba mieć maturę. Niby to tylko papier, ale bez niego ciężko w życiu. Tymczasem od lat – niezależnie od tego, która partia jest u władzy – wszelkie reformy edukacji bazują na braku zaufania do nauczycieli. Politycy podejrzewają, że nasze oceny mogą być stronnicze albo nierzetelne, zatem wszystkie egzaminy, w tym ten najważniejszy, urządzane są tak, żeby wyeliminować wszelką subiektywność.

Pozornie to brzmi sensownie, ale w praktyce oznacza, że egzamin przeprowadzony jest tak, jakby chodziło o wywołanie maksymalnego stresu dla ucznia. Matura przypomina dziś przesłuchanie w Stasi, jak w filmie „Życie na podsłuchu". Po paru godzinach siedzenia w upiornej ciszy na niewygodnym krześle podejrzany załamuje się psychicznie i przyznaje do wszystkiego, żeby to już mieć za sobą.

Co za tym idzie, matura testuje nie tyle wiedzę, co odporność psychiczną abiturienta. Zmorą naszego zawodu są sytuacje, w których uczeń oddaje pustą kartkę albo robi głupi błąd, przez który zgodnie z kluczem musi dostać zero punktów (chociaż widać, że umiał). A klucz jest obowiązkowy i uniwersalny właśnie po to, żeby nie można było nic zrobić, tylko zdawać od nowa.

> Matura przypomina dziś przesłuchanie w Stasi. Po paru godzinach podejrzany się załamuje i przyznaje do wszystkiego.

Kto ma budować tę odporność? Szkoła się do tego średnio nadaje, to instytucja zaprojektowana w czasach, w których nikt o tym nie myślał. Rodzice z kolei często podejmują działania przeciwskuteczne – w obawie przed maturalną katastrofą wykosztowują się na drogą szkołę czy korepetycje. To w uczniu może umacniać myśli typu: „Skoro to nie pomaga, to pewnie coś ze mną nie tak". A to jest recepta na załamanie psychicznie, to takie myśli kłębią się w głowie nastolatka oddającego pustą kartkę.

Gdybym znał uniwersalną receptę na hart ducha, pisałbym o tym mądre księgi, a nie skromne felietoniki. Ograniczę się więc do złożenia życzeń dziatwie uczniowskiej, by w roku szkolnym 2026/27 nie przestawała wierzyć w siebie. To ważniejsze od stułbi płowej, Pitagorasa i lektur szkolnych. Których przesłanie często zresztą sprowadza się do tego samego: uwierz w siebie, reszta sama przyjdzie!

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 0eac8d3e91

FELIETON

Koziołek

Repolonizacja

Uważa pan, że jak nas Putin napadnie, to Anglia i Ameryka powinny deportować Polaków w wieku poborowym? – zapytała sąsiadka.

– Tylko tych, co nie pracują – próbowałem wymigać się żartem.

– Muszą mieć etat czy umowa-zlecenie wystarczy? – odbiła. – To poważne pytanie, niech pan się nie wygłupia.

– No dobrze – zastanowiłem się. – Ryzykowanie życia nawet w obronie ojczyzny powinno być dobrowolne. Siłą wcielano nas do armii niemieckiej i rosyjskiej. Z drugiej strony Polacy bili się za cudzą wolność i w Ameryce, i w Anglii. Dla wybranej ojczyzny też można chcieć walczyć. Bywało, że bronili Polski Litwini, Tatarzy, Kozacy, Rusini, a nawet Szkoci. Teraz u nas ich nie ma albo mają swoje państwa, więc powstało NATO. Trzeba tylko wierzyć, że jesteśmy razem naprawdę.

Dłużej już nie cisnęła.

Nowoczesna suwerenna Polska istnieje – z przerwą na PRL – zaledwie niespełna pół wieku. Po prawie ośmiu wiekach ciągłego trwania polskiego państwa do rozbiorów! To śmiesznie mało, żeby uwierzyć w kolejne długie trwanie. Poza tym dziedziczymy ponadstuletnią traumę nieistnienia, więc nie dziwmy się, że wciąż trawi nas niepewność, czy to się dzieje naprawdę; czy duch historii nie żartuje z nas okrutnie, dając poczucie, że możemy znów mieć swoje państwo, a życie w nim może być tak bezpieczne i wygodne w porównaniu z niedawną przeszłością.

Aby Polska była Polską, powinna bogacić się nie tylko ekonomicznie, ale i etnicznie. W jakich proporcjach, powiedzieć niełatwo.

Swoją drogą te osiem wieków pod stopami czy za plecami – jak kto chce – to potężny kapitał kulturowy i polityczny. Wspólny język, literatura, prawa, tradycja, wielowyznaniowe chrześcijaństwo, mitologia historyczna i polityczna, z najnowszą Solidarnością na czele. No i długa lista win i błędów. To powinien być edukacyjny pakiet mocy dla każdego dziecka w kraju nad Wisłą, który wie, jak żyć i przeżyć setki lat między agresywnymi potęgami. Jak nam się to udało? I jak powtórzyć sukces naszych przodków? Jak budować społeczeństwo i państwo, które przetrwa następne osiem wieków?

Dlatego, choć śmiałem się z trzeciego sezonu serialu „1670", to nie chciałbym, żeby figurą symbolizującą I Rzeczpospolitą był groteskowy sarmata. Niech sobie ta świetna komedia tendencyjna leczy na chwilę schizofrenię liberalnej klasy średniej, która zwrotem chłopskim okupuje niedawne tęsknoty folwarczne (te zresztą kwitną nadal w zachowaniu kierowców na drodze, patodeweloperce, grodzonych osiedlach, pogardzie dla obcych). Pamiętajmy jednak, że śmiech jest zdradziecki; korumpuje myślenie i współczucie. Śmiejemy się z idiotyzmów Jana Pawła, ale po cichu widz kibicuje, aby znów udało mu się wykiwać swoich i obcych. Czy wielowiekowy sukces Polski opierał się na cwanej głupocie i przywilejach szlachty? Bądźmy poważni, jak już się do syta naśmiejemy.

Rozmyślając, co dobrego było w Polsce z 1670 r. i co warto byłoby przenieść do naszej dzisiejszej, przypomniałem sobie zdanie Zbigniewa Herberta wypowiedziane w rozmowie z Jackiem Trznadlem: „Dla mnie Polska bez Żydów, bez Ukraińców, bez Ormian, tak jak to było we Lwowie, bez Wołochów, bez rodzin pochodzenia włoskiego – przestała być Polską. Ten ideał jednonarodowego państwa jest ideałem faszystowskim, co tu dużo gadać".

Wniosek stąd, że aby Polska znów była Polską, powinna bogacić się nie tylko ekonomicznie, ale też etnicznie. Wygląda bowiem na to, że jak wśród Polaków jest wielu różnych obywateli nie-Polaków, wtedy mamy państwo bardziej mocne i stabilne. Historia uczy, że im bardziej stawaliśmy się narodowo tacy sami, tym z Polską było gorzej. Jakie proporcje są najlepsze, powiedzieć niełatwo.

W Polsce międzywojennej zadeklarowanych Polaków było prawie 70 proc., Rusinów 15 proc. (dziś nazywalibyśmy ich Ukraińcami), 8 proc. Żydów, 4 proc. Białorusinów i 3 proc. Niemców. To by oznaczało, że jeśli chcemy odzyskać proporcje z czasów II RP, potrzebujemy ok. 10 mln obywateli pochodzących z innych narodów. A cóż dopiero, gdybyśmy chcieli odzyskać potęgę Jagiellonów?! Po 1569 r., kiedy Litwa i Korona stworzyły wspólne państwo, „prawdziwych" Polaków nie było w niej więcej niż 40 proc. Prawie drugie tyle stanowili razem Rusini i Litwini. A Niemcy i Żydzi dali kolejne kilkanaście procent, wraz z niemożliwymi już do policzenia przedstawicielami innych nacji.

Najbardziej etnicznie zróżnicowana była Polska Jana Pawła z Adamczychy. Było nas wtedy pewnie ze 12 mln. Z czego Polaków niewiele ponad 40 proc. (4,5 mln). Poza tym m.in. Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Żydzi, Ormianie, „Olędrzy", obywatele Prus i Inflant. Dziś narodowość polską deklaruje 96 proc. obywateli. Czy to bardziej skutek tego, że mapa nam się skurczyła i przesunęła na zachód? Czy sprawiły to drugowojenne zbrodnie i przesiedlenia, a później unifikacyjna polityka państwa komunistycznego? Nie wiem. Ale zgadzam się z Herbertem, że „to jest zbrodnia, bo kulturze polskiej wielonarodowość dawała kolosalne szanse".

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 0eac8d3e91

FELIETON

Hartman

Wielkie Przedszkole Polska

Afera z niefortunną pełnomocniczką rządu do spraw marki Polska jest zbyt straszna, żeby się śmiać, i zbyt śmieszna, żeby traktować ją na serio. No i może o to właśnie chodzi, że nic nie jest na serio! Nikt poważnie nie traktuje ani marki Polska, ani stanowiska pełnomocniczki do jej spraw, ani tego, kim mianowana pełnomocniczka była i jest. Ona zaś nie traktuje poważnie tego, co robi, co mówi, a nawet tego, pod czym się podpisuje. I chyba samej siebie w ogólności.

Nieszczęsny „Polaków portret własny. Raport z badań DNA marki Polska – perspektywa wewnętrzna" już samym swym durnym tytułem zapowiada hucpę. Jest miazmatem wszystkich patologii akademickich, urzędniczych i politycznych, które miały fantazję spotkać się pod tym prześmiewczym szyldem. Rzecz nawet nie w tym, że ten śmieć został napisany przez jakiś tani model językowy AI. Rzecz w tym, że nikt tego nie przeczytał przed publikacją, o czym dobitnie świadczą zawarte tam brednie. Dosłownie nikt. Oczywiście wynikło to z przekonania, że takie barachło produkuje się wyłącznie *pro forma* i *pro pecunia*, więc nikt tego nie czyta z zasady.

A może to tylko przypadek? Ot, zdarzyła się taka jedna niefrasobliwa pani doktor, która niefrasobliwie została uczyniona sekretarzem stanu. Tyle tylko, że w tej żenującej sprawie mamy do czynienia z całym szeregiem osób, które powinny były zajrzeć do nieszczęsnego „raportu", a po zajrzeniu alarmować. Nikt niczego nie sprawdzał – i poszło. A teraz mamy klęskę wizerunkową na odcinku promocji wizerunku. No, tego by sam autor „Komedii omyłek" nie wymyślił.

Świat pęcznieje od fikcyjnych instytucji produkujących zbędne „raporty", za którymi stoją zautomatyzowane analizy.

Żyjemy w czasach strukturalnej fikcji. Nic się nie liczy i nic nie jest poważne, skoro wszystko jest tylko grą pozorów, uwodzeniem i zgrywą, i to pod dyktando algorytmów. Świat dosłownie pęcznieje od fikcyjnych instytucji produkujących zbędne „raporty", za którymi stoją marne i coraz bardziej zautomatyzowane, a w dodatku zideologizowane analizy i badania. Dawny nawis biurokratyczny zastąpiły zwały ekspertyz, a że większość z nich nie jest do niczego potrzebna i nikt ich (oprócz modeli językowych) nie czyta, ich jakość dramatycznie spada. Służą w najlepszym razie zadowoleniu zamawiającego, a w najgorszym – wyłudzeniu pieniędzy.

Powaga już dawno ulotniła się z nauk społecznych „stosowanych" i z okołopartyjnych „think tanków". Rezyduje jeszcze w laboratoriach, lecz coraz trudniej ją znaleźć w biurokratycznym otoczeniu władzy. Sama władza dziecinnieje, a wraz z nią dziecinnieją instytucje i rzesze zatrudnianych w nich urzędników. Nikt nie wierzy w produkowaną masowo, pseudohumanistyczną mowę-trawę i całą tę wszechmiłującą ideologię, którą podszyta jest społeczna i oficjalna komunikacja. Jedyne, w co wierzy, to nasze Wielkie Przedszkole, to święty pozór, który za wszelką cenę trzeba zachować. Kto bowiem podważy pozór, ten stanie jakby nagi pośród jego przerażonych i zgorszonych czcicieli, w panice gotowych na lincz.

Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że habilitowana specjalistka od marketingu nie wie, że trzeba było przeprosić, zamiast zasłaniać się tym, że raport „nie był częścią zamówienia". Może po prostu się na tym nie zna? Nie wie, że „marki osobowej" nie da się uratować, gdy traci się honor i nie ma się wstydu? Jeszcze trudniej mi zrozumieć premiera, a zwłaszcza jego najbliższe otoczenie, które tak łatwo dało się podejść. A przecież ta cała sprawa dopiero się zaczyna i zapewne nieprędko się skończy. Jej polityczne skutki mogą być opłakane.

A najbardziej żal mi marki Polska, której potencjału naprawdę nie umiemy wykorzystać, przez co jej siła i rozpoznawalność są dalece poniżej możliwości. Wiele lat zajmowałem się (publicystycznie, ale jednak) marketingiem, więc pozwolę sobie na kilka podpowiedzi.

Otóż trzeba zatrudnić dobry model językowy i dobrych analityków, zlecając im ustalenie kilkudziesięciu kluczowych branż, w których Polacy są w czołówce światowej – od himalaizmu po przyszywanie rąk – aby powstała „mapa atutów Polski". Następnie trzeba się spotkać z liderami tych środowisk i ustalić z nimi, w jaki sposób fundusze publiczne mogłyby wesprzeć nie tylko ich działalność, lecz kojarzenie jej z naszym krajem. Ponadto potrzebna byłaby analiza metod autopromocji kilku krajów o podobnym do Polski potencjale. W marketingu bowiem prawie wszystko opiera się na naśladownictwie.

Przede wszystkim jednakże trzeba ustalić, jakie i w których krajach są tzw. grupy docelowe, którym można to czy owo z Polski (od krajobrazów po maszyny) oferować. I dopiero, gdy wszystko to już stanie się wiadome, będzie można się zabrać do budowania „strategii marketingowej". Wtedy raporty do czegoś mogą się przydać! Byle robił je dobry algorytm.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 0eac8d3e91

FELIETON

Chutnik Plebanek

Podejrzana literackość

Spór o plagiat zaprzątnął uwagę Ryszarda Kapuścińskiego akurat, gdy w Afryce kraj po kraju wybijał się na niepodległość. Polski reporter, wysłannik agencji PAP i POLITYKI, po powrocie z Konga odnalazł w dramacie Bohdana Drozdowskiego „Kondukt" zarysy fabuły swojego opowiadania „Sztywny". Drozdowski stwierdził jednak, że „Sztywnego" można odczytać jako reportaż. „Fakty zaś podawane w reportażach nie bywają niczyją własnością i mogą być uznawane za własność publiczną" – argumentował. Za Kapuścińskim ujęła się rodzima redakcja i Antoni Słonimski. Drozdowskiego bronił Związek Literatów Polskich z Jarosławem Iwaszkiewiczem na czele.

Dyskusję o granicach własności intelektualnej z lat 60. opisał Artur Domosławski w „Kapuściński. Non-fiction". Pół wieku po tym sporze również książka Domosławskiego wywołała wielkie zamieszanie. W Polsce najważniejsze wydawało się pytanie, co wolno biografowi, ile może ujawniać z życia prywatnego twórcy. Na Zachodzie krytycy zajęli się jednak niemal wyłącznie tym, co wolno reporterowi. Czy może opisywać wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca, jak to się zdarzyło mistrzowi polskiej szkoły reportażu?

„W żadnym wypadku »literackość« reportażu literackiego nie zwalnia od odpowiedzialności za fakty – pisał Peter Englund, sekretarz Akademii Szwedzkiej, która przyznaje Literacką Nagrodę Nobla. – Jeśli tylko jakikolwiek element fikcyjności zostanie wprowadzony do tekstu, w fikcję zamienia się cały tekst". Podobnie ma się rzecz z punktu widzenia anglojęzycznej szkoły reportażu, gdzie najważniejszą wartością tekstu jest wierność faktom.

Polska do tej pory nie zmierzyła się otwarcie z kłopotliwą kwestią reporterskiej konfabulacji. Czy hamuje nas czołobitność wobec autorytetów? A przecież Tadeusz Boy-Żeleński już w 1930 r. przestrzegał przed „brązownikami", którzy pucują wizerunek mistrza z nabożną gorliwością.

Dziś spory dotyczące zawłaszczenia prawdziwych życiorysów, nieobecne na salonach, przenoszą się na salę sądową. Rodzina lekarki Bożeny Hager-Małeckiej, której postaci w filmie „Ołowiane dzieci" przypisano czyny niezgodne z prawdą, skierowała do platformy Netflix przedsądowe wezwanie. Prawnik rodziny lekarki twierdzi, że doszło do naruszenia tzw. prawdy biograficznej. Szkoda, że nie podejmuje się publicznie dyskusji o uczciwości w opisywaniu prawdziwych wydarzeń. Z pewną nostalgią patrzymy, jak fundamentalne kwestie – prawda vs oszustwo – rozgrzewały kiedyś do czerwoności łamy literackie i dyskusje środowiskowe. Obecnie emocje wywołują tylko kwestie pieniężne, np. feudalne relacje na rynku książki, z pisarzami i pisarkami w roli chłopów pańszczyźnianych.

Nie ma już też grona, które miałoby siłę i chęć zainicjować dyskusję wokół wartości etycznych. Krytyka literacka dzieli ponury los dinozaurów. Grażyna powiedziała o tym w rozmowie znajomemu pisarzowi, Belgowi. Odparł, że coraz częściej i na Zachodzie pisanie recenzji to „zabawny sport dla kilku szczęśliwców", użyteczny jedynie dla wydawców, by mogli wyłowić zręczne zdania do blurbów.

Książki się wydaje, ale się nad nimi nie zatrzymuje. Publikuje się wiele, by zobaczyć, co chwyci. Promocja podąża za rynkiem, a nie za tym, co wartościowe. „Uprawiana przez wielkich wydawców polityka nadprodukcji zamieniła ten rynek w smętny ściek produktów książkowych" – powiedział Zygmunt Miłoszewski w rozmowie z Wojciechem Szotem („Gazeta Wyborcza"). Pisarz założył własne wydawnictwo niejako w proteście przeciw konsekwencjom swego rodzaju rewolucji przemysłowej, jaka dotknęła rynek książki. Spółka Autorska Heca powstała, by szanować pracę autorów również poprzez odpowiednie ich wynagradzanie.

> Książki się wydaje, ale się nad nimi nie zatrzymuje. Promocja podąża za rynkiem, a nie za tym, co wartościowe.

Przypomnijmy, że twórca książki, którą czytelnik kupuje za 60 zł, zarabia 2,87 zł od sprzedanego egzemplarza. To raptem kilka procent ceny, która figuruje na okładce. Ceny, która w Polsce jest fikcją, bo obowiązuje tzw. cena zbytu, dyktowana przez wydawców i dystrybutorów. Niestety, nie ma wciąż ogólnodostępnych danych, ile i w jakiej cenie książek się sprzedało, dlatego Unia Literacka postuluje, by zbierał je Główny Urząd Statystyczny. Chce też gwarancji, że autorka podpisująca umowę na napisanie książki będzie mogła wyjść od 10 proc. ceny okładkowej. Nie chodzi o to, czy książka sprzedaje się dobrze, lecz o zmianę proporcji rozliczeń, by nie zostawiać autora z okruchami. Do tego potrzebna jest też w Polsce stała cena książki, którą ma większość państw Unii Europejskiej.

Na razie pozostaje liczyć na powolny rozpad turbokapitalistycznych struktur polskiego rynku książki. Trzymamy kciuki za Spółkę Autorską Heca. Wierzymy, że dzięki przesunięciu akcentów z fabrycznej zyskowności na przypomnienie, czym jest i jaką funkcję pełnią literatura i reportaż, odzyskamy nie tylko godność środowiska pisarskiego, ale i wielkie dyskusje na tematy, takie jak prawda, konfabulacja czy zawłaszczanie rodzinnych historii.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 0eac8d3e91

Godzilla kontra rozum

Poseł Łukasz Schreiber z Rozwoju Plus uważa, że zbiegły Marcin Romanowski „nie powinien przebywać w Naddniestrzu", ponieważ jego przebywanie w Naddniestrzu „byłoby niewytłumaczalne". Niewytłumaczalnych rozumowo zjawisk jest w krajowej polityce więcej, choćby Bogdan Święczkowski, ksywka Godzilla, kiedyś szef ABW z nadania PiS, a obecnie z tego samego nadania prezes Trybunału Konstytucyjnego. Niewytłumaczalne przebywanie Święczkowskiego w TK obraża rozum, niestety rozum nie może nic z tym zrobić, bo wygląda na to, że jest wobec Święczkowskiego bezradny.

Mimo że Święczkowski jako prezes TK jest sprzeczny z rozumem, pozostaje zgodny z linią PiS i Karola Nawrockiego. I całkiem na poważnie złożył doniesienie o zamachu stanu dokonanym przez premiera Donalda Tuska i innych ważnych urzędników państwowych, a także ogłosił, że będąc szefem ABW, pozyskał „z wnętrza" Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu informacje potwierdzające, że Trybunał ten nie jest niezależnym organem i nie urzędują w nim niezależni sędziowie, tacy jak on, mgr Julia Przyłębska i pozostałe osoby powołane do TK za rządów PiS.

Znając skłonności Święczkowskiego, trudno uwierzyć, że jako szef ABW nie spenetrował także innych unijnych ciał. Prezydent Andrzej Duda stwierdził kiedyś, że Unia Europejska nie jest wspólnotą prawdziwą, tylko wyimaginowaną, ale wiadomo, że sam tego nie wymyślił. Wygląda na to, że musiał znać wyniki badań Święczkowskiego.

Innym niewytłumaczalnym zjawiskiem jest Radosław Piesiewicz, szef PKOl. Sprzeczne z rozumem są jego niektóre działania, np. zakup zegarka za 40 tys. euro, za który faktycznie zapłacił Przemysław Kral, prezes Zondacrypto, na co są stosowne dokumenty. „Jestem w szoku. Dziękuję" – napisał w mejlu Piesiewicz Kralowi zachwycony zegarkiem, który sam sobie jego rękami i za jego pieniądze kupił. A następnie – jak zapewnia – zwrócił te pieniądze w ratach, na co niestety nie ma dokumentów.

Miejmy nadzieję, że prokuratura ustali, dlaczego Piesiewicz podziękował Kralowi za to, że sam musiał zapłacić kupę kasy za swój zegarek. Może był zwyczajnie i po ludzku wdzięczny szefowi Zondacrypto za to, że ten nie dał mu zegarka w prezencie, co prokuratura mogłaby potraktować jako łapówkę? A może Piesiewicz, który sprawia wrażenie zachwyconego sobą, faktycznie był w takim szoku, że chcąc sobie podziękować za zegarek, za który zapłacił Kral, mejla z podziękowaniem zamiast do siebie przez pomyłkę wysłał do niego?

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

Członkowie Zarządu
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-ca Redaktora Naczelnego Tygodnika Polityka
Witold Pawłowski

Sekretarz Redakcji
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe

Pion wydawniczy
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
Pion cyfrowy
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
Administracja
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY
polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 0eac8d3e91

NARODOWA DEBATA O BEZPIECZEŃSTWIE KLIMATYCZNYM POLEK I POLAKÓW

SAFE dla klimatu

7 września w Sali Kolumnowej Sejmu odbędzie się debata poświęcona skutkom zmian klimatu oraz działaniom, jakie należy podjąć, aby ograniczyć ich konsekwencje dla środowiska, społeczeństwa, gospodarki i bezpieczeństwa państwa. – *Tegoroczne lato pokazało nam, jak wygląda nowa rzeczywistość klimatyczna Polski i Europy. Doświadczyliśmy bezprecedensowych fal upałów, pożarów lasów, doświadczamy suszy hydrologicznej oraz nawałnic z ulewami i niszczycielskimi wiatrami. Odnotowaliśmy rekord temperatury powietrza wszech czasów: 40,5 stopnia. Tego nie da się już ignorować. Odrzucamy zasadę „mądry Polak po szkodzie" i wychodzimy z praktycznymi rekomendacjami w dziedzinie bezpieczeństwa, gospodarki i środowiska* – mówi prof. Szymon Malinowski, przewodniczący Komitetu ds. Kryzysu Klimatycznego Polskiej Akademii Nauk.

W tym roku ponad 600 gmin w Polsce zaapelowało do swoich mieszkańców o ograniczenie zużycia wody na ich posesjach. Na początku sierpnia IMGW wydało ponad 70 ostrzeżeń przed suszą hydrologiczną. Przedłużające się susze i fale upałów obniżają poziom rzek, zagrażając chłodzeniu elektrowni i dostawom prądu, a gwałtowne nawałnice niszczą uprawy i wywołują błyskawiczne powodzie w miastach, co zwiększa inflację, ceny żywności i paraliżuje transport. Te nawarstwiające się skutki generują obciążenie finansowe dla gospodarki: powódź na Dolnym Śląsku z września 2024 r. przyniosła straty rzędu 13 mld zł. Według raportu Instytutu Reform oraz Fundacji ClientEarth koszty skutków zmian klimatu dla polskiej gospodarki mogą wynieść nawet 124 mld zł (2,2 proc. PKB) rocznie.

Debata, w której udział wezmą eksperci z różnych dziedzin nauki i gospodarki, ma nie tylko naświetlić problemy, ale przedstawić konkretne rozwiązania – zaproponować swego rodzaju program SAFE dla klimatu. Organizatorem debaty jest Komitet ds. Kryzysu Klimatycznego Polskiej Akademii Nauk we współpracy z Pracownią na rzecz Wszystkich Istot, Koalicją Klimatyczną oraz Państwową Radą Ochrony Przyrody. Patronat nad tym wydarzeniem objęli marszałek Sejmu RP Włodzimierz Czarzasty oraz prezes Polskiej Akademii Nauk prof. Marek Konarzewski. POLITYKA jest partnerem medialnym debaty.

Więcej informacji na stronie internetowej wydarzenia: **https://klimat.pan.pl/debata/**

(RED.)

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego kolegi, wieloletniego pracownika działu graficznego

Andrzeja Kozaka

Andrzej był świetnym fachowcem, każde, nawet najgorsze zdjęcie potrafił podrasować i uratować, dzięki niemu nasz tygodnik nabierał żywych barw. Dowcipny, życzliwy, skromny. Takim będziemy go pamiętać. Żonie Uli składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Przyjaciele z POLITYKI

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

35 lat temu, w nr. 35 z 31 sierpnia 1991 r., Marcin Meller w artykule „Wielka fala" pisał o reakcji polskich władz na pucz Janajewa w Moskwie. A gdyby przez wschodnią granicę ruszyła do nas fala uchodźców? W ówczesnym czarnym scenariuszu zdezaktualizował się tylko ZSRR...

„W grudniu ubiegłego roku ówczesny pełnomocnik ministra spraw wewnętrznych do spraw uchodźców, płk Zbigniew Skoczylas, opracował studium, w którym analizował różne warianty napływu uchodźców z ZSRR do Polski: od wzmożonej emigracji zarobkowej, przez stan wyjątkowy w Związku Radzieckim i decyzję o pozostaniu w Polsce większości już przebywających tutaj obywateli radzieckich, do sytuacji kompletnego chaosu w ZSRR i napływu co najmniej kilkuset tysięcy uchodźców. W dniach moskiewskiego puczu można było sądzić, iż spełni się najczarniejszy scenariusz. W ZSRR ogłoszono stan wyjątkowy, ale władze radzieckie nie zamknęły granic. Wydawało się, iż Polskę zaleje fala uciekinierów. (...) – Organizacyjnie byliśmy gotowi od grudnia – mówi Skoczylas. – W całym kraju mamy wyznaczone ośrodki wczasowe, które można opróżnić w ciągu 48 godzin i zakwaterować w nich od ręki 50 tys. osób. Spodziewaliśmy się, że tylu spośród 140 tys. obywateli radzieckich przebywających w Polsce może poprosić o azyl w wypadku stanu wyjątkowego w ZSRR. Docelowo moglibyśmy zapewnić 400 tys. miejsc w ośrodkach wypoczynkowych, z których połowa plajtuje, świecąc pustkami. Do tego dochodzą możliwości zakwaterowania prywatnego. Sądzę, że w sumie dysponowalibyśmy milionem miejsc. Mam tylko drobne pytanie: w razie konieczności kto za to będzie płacić? W tym roku rząd przeznaczył na działalność Biura 44 mld zł. 14 mld pochłania bieżąca działalność. Pozostałe 30 mld wystarczyłoby na dwa tygodnie opieki nad 50 tys. uchodźców. W ciągu 12 miesięcy potrzebne by były przynajmniej 2 bln zł. (...) Bieg wydarzeń w ZSRR jest trudny do przewidzenia. „Wielka Fala" (...) może ruszyć w każdej chwili, a tymczasem Biuro do spraw Uchodźców zatrudnia tylko 14 osób. (...) Pod opieką urzędu znajduje się ponadto 280 uchodźców z państw azjatyckich i afrykańskich. Gdy polscy lekarze odmówili zbadania podopiecznych biura, jego pracownicy musieli (...) zorganizować azylantom testy na AIDS, by przekonać medyków, iż bycie kolorowym nie oznacza automatycznie posiadania wirusa HIV. Sporo energii pochłania przekonywanie mieszkańców okolic, gdzie znajdują się uchodźcy, iż są to ludzie, którym trzeba pomóc, a nie reagować w stosunku do nich agresją. (...)

© MAREK SOBCZAK

eprasa.pl 0eac8d3e91

Rozmiar ma znaczenie?

Trzy największe polskie winnice walczą o krajowy prymat.

WINO

Fanki i fanów polskiego wina rozpala korespondencyjny mecz między potęgami. Która winnica w Polsce jest największa? Przez lata nie było wątpliwości – była to **Winnica Turnau** w województwie zachodniopomorskim, która jako pierwsza w kraju przekroczyła areał 30 ha obsadzonych winną łozą i od tej pory dzierżyła palmę pierwszeństwa. Inne duże jak na nasz krajowy kontekst winnice, takie jak Srebrna Góra (Kraków) czy Majątek Drzewce (Nałęczów), z przeszło 20 ha walczyły o niższe stopnie podium. Za czołówką jechał peleton kolejnych posiadłości z kilkunastoma hektarami.

W 2021 r. na czoło peletonu wysforował się Dom Charbielin (woj. opolskie), gdzie na start posadzono imponujące 27 ha. Cztery lata później Charbielin postanowił obalić dotychczasowego lidera i dobił do 42 ha. Jednak na terenie Winnicy Turnau do wcześniejszych 41 ha dołożono kolejne pół i kwestia prymatu się skomplikowała. Tym bardziej że tygrysi skok wykonała też wielkopolska Winnica Warto (dawniej: Powiercie), która z kilkunastu hektarów urosła do... 43. A podwarszawski Pałac Mała Wieś ma już 30 ha i ptaszki ćwierkają, że na tym nie poprzestanie.

Odwiedziłem niedawno dwie z tych czterech posiadłości i w obu mnie zapewniano, że „aktualnie" są

Wojciech Bońkowski
– dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

największi w Polsce. No i co z tego? – pytają sceptycy – przecież ta nasza największa winnica w normalnym kraju winiarskim byłaby jedną z najmniejszych. To ostatnie nie jest prawdą – u naszego zachodniego sąsiada na 102 tys. ha gospodaruje 14 150 właścicieli, czyli przeciętna winnica ma ok. 7 ha. We Francji średnia wynosi ok. 12 ha, a we Włoszech – poniżej 3 ha. Przy czym „winnica" może oznaczać różne rzeczy, bo tylko część z tych „winiarzy" faktycznie robi wino – w Niemczech co trzeci oddaje winogrona do spółdzielni, czyli de facto zajmuje się tylko uprawą winorośli, fermentację, butelkowanie i sprzedaż zostawiając innymi. Na drugim końcu skali, gdzie ziemia i powstające z niej wina są najdroższe, działki liczy się już w arach. W takim Montrachet w Burgundii winiarze się biją, żeby kupić choć 10 arów, choć z takiego areału można zrobić zaledwie beczkę wina – ale wartego fortunę.

A jak jest lepiej dla wina? Czy lepsze butelki kupimy u małego winiarza, czy w dużej przetwórni? Większość z państwa podpisałaby się intuicyjnie pod pierwszym stwierdzeniem, ale ono również nie jest prawdą. Sarkanie na wielkie firmy winiarskie ma długą tradycję, ale najczęściej jest pozbawione podstaw. Największym producentem w Italii jest rodzina Antinorich, która z jednej strony firmuje tanie i prozaiczne Santa Cristina, ale z drugiej – ma w portfolio takie legendarne etykiety jak Tignanello i Solaia, które kosztują powyżej 100 euro i grają we włoskiej ekstraklasie. We Francji duże sukcesy odnoszą spółdzielnie, takie jak Plaimont z południowego zachodu kraju czy La Chablisienne w Chablis. Skala produkcji jest może przemysłowa, ale to daje dużym firmom możliwość selekcji i inwestycji, jakiej mali winiarze często nie mają.

Oczywiście na poziomie opowieści o przywiązaniu do ziemi, doglądaniu każdego krzaczka i dbałości o każdy jakościowy szczegół małych rodzinnych firm nikt nie przebije. Czasem to tylko opowieści, a czasem realne zaangażowanie i prawdziwe dziedzictwo. I to akurat prawda, że największe wina świata firmują często winiarskie rody o długiej tradycji, a każda kiść jest tam oglądana trzy razy, zanim trafi do fermentacyjnej kadzi. Niekoniecznie jednak są to firmy bardzo małe.

Wróćmy na krajowe podwórko. Winnica Turnau istnieje od 2010 r. i od tamtej pory wykształciła swój wyrazisty styl. Jej riesling i chardonnay to absolutna krajowa czołówka, a żadne wino nie schodzi poniżej bardzo dobrego poziomu, również cenowego. Pozostali liderzy to znacznie nowsze projekty, które swój styl dopiero definiują – np. Charbielin część produkcji przeznacza do marketów, a Warto eksperymentuje ze szczepami w Polsce jeszcze mało znanymi, jak sauvignac. Wyścig o krajowy prymat trwa. ■

Winnica Warto Souvignier Grey 2022, 74 zł (delibeef.pl)
Dom Charbielin Muscaris C 2025, 79,50 zł (darwina.pl)
Winnica Pałac Mała Wieś Solaris 2025, 89 zł (winnica-pmw.pl)
Winnica Turnau Chardonnay 2024, 99 zł (winnicaturnau.pl)

© WINNICA TURNAU, RAFAŁ MASŁOW, VISITBRITAIN.COM, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0eac8d3e91

Storytelling, nie suffering

WIRAL

Gdyby trendy w Google przekładały się na PKB i popularność, Polska już byłaby potęgą. Samo hasło „Mróz-Gorgoń", czyli nazwisko byłej pełnomocniczki rządu ds. promocji marki Polski, zaliczyło 5000-procentowy wzrost w porównaniu z ubiegłym rokiem. Na reputację kraju trzeba jednak bardziej zapracować. Pocieszające zarazem, że po publikacji raportu „Polaków portret własny" i klipu Polskiej Organizacji Turystycznej („Polska. Więcej, niż się spodziewasz") chyba trudno wymyślić coś mniej rzeczowego i błyskotliwego. Ktoś w sieci proponuje zwykłą czarną planszę. „Jeśli lektorem będzie Filip Kosior, to można ten klip puścić nawet bez obrazu" – radzi jeden z internautów (dodajmy autopromocyjnie, że Filip Kosior gościł niedawno w jednym z podkastów POLITYKI).

Można się też zainspirować. A jest czym. Na przykład Szwajcaria też postawiła na duże nazwiska, ale wyszło mniej topornie. Jesse Eisenberg i Robert Lewandowski mieli do zagrania dużo mniej niż Robert De Niro i Roger Federer, którzy w klipie rozmawiają przez telefon: słynny aktor odmawia słynnemu tenisiście udziału w kampanii Szwajcarii, bo „za mało tu dram", ludzie są zbyt mili i nic się nie dzieje, tylko krowy się pasą. Hasło: „Potrzebujesz wakacji bez dram. Potrzebujesz Szwajcarii". Z kolei Szwecja w serii zabawnych filmików instruuje, jak ją odróżnić od innych miejsc występujących w świecie pod nazwą „Sweden" (ponoć jest ich osiem, kilka w Ameryce). Dania chwali

się swoim „zen", Australia wyśmiewa swój akcent. Chyba najambitniej podeszli do zadania Brytyjczycy – w klipie wyreżyserowanym przez Toma Hoopera (Oscar za „Jak zostać królem") grają sławy, m.in. **Zendaya**, Tom Cruise i obsada „Sukcesji", do tego dinozaury, smoki i Miś Paddington. Ale to Wielka Brytania „występuje w roli głównej" i jest „prawdziwą gwiazdą" – z jej krajobrazami, architekturą i tradycją picia herbaty. A wszystko to podlane angielskim humorem.

Wnioski? Stolice nie muszą być na pierwszym planie, a udane reklamy krajów są niemal jak filmowe zwiastuny. To opowieści, które mają zachęcać do odwiedzin oraz inwestycji, przejmować i bawić, uwiarygadniać na świecie, wzmacniać miłe skojarzenia i *soft power*. Od „głębokiego sufferingu" lepiej się sprawdza storytelling.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Wysyp słów

SŁOWO

To, co dostajemy w social mediach na koniec wakacji, nazywa się **dump**. Zrzut, śmietnik lub sterta różności – w tym wypadku fotograficznych i filmowych pamiątek, jakimi chcą się pochwalić na ostatniej prostej nawet ci, którzy nie chwalili się nimi wcześniej. Należy się spodziewać *august dump* albo *holiday photo dump* osób mniej lub bardziej znanych, na tej samej zasadzie, na jakiej podobne serie towarzyszyły nam w poprzednich miesiącach, gdy w socialach ktoś ogłaszał „mój maj dump" (publikując zdjęcia sadzonek, kota i talerza z ramenem), „mój kwiecień skończył się słabo, ale sam miesiąc był super, więc wlatuje april dump" albo „oto mój dump z Open'era" (z różnymi zdjęciami z festiwalu).

Na Instagramie są nawet poradniki, jak stworzyć atrakcyjny śmietnik ze zdjęciami. Na przykład „dump podróżniczy", który powinien się składać z fot z lotniska, z samolotu, hotelu, screenu z lokalizacją na mapach Google, jakiegoś znanego obiektu i fotografii w stylu „jak spędzałem wolny czas". Dostajemy w ten sposób całą opowieść.

Angielskie słowo *dump* zalęgło się w polszczyźnie dzięki informatykom. Chodziło wtedy o zrzut pamięci albo zrzut ekranu na drukarkę i pojawiało się w pierwszych poświęconych komputerom tytułom prasowym – w rodzaju magazynu „Bajtek", z którym pożegnaliśmy się dawno temu.

Wszystko wskazuje na to, że i z tą rubryką, przynajmniej w aktualnej postaci, przyjdzie nam się pożegnać, zatem najlepsze, co mogę państwu zaoferować, to powakacyjny *dump* słów, które notuję od wielu miesięcy, ale nigdy nie poświęciłem im całego odcinka. Jak trudny anglicyzm *lowkenuinely*, czyli połączenie *lowkey* (trochę, od niechcenia, było w POLITYCE 46/25) i *genuinely* (naprawdę, szczerze). Albo „altka" – skrótowe określenie popularnej od dawna alternatywki (łączącej upodobania do muzyki alternatywnej, styl bycia i pewne cechy osobowościowe). Z politycznych jest „snussolini" – przydomek polityka, który wykazuje tendencje wodzowskie i ma słabość do snusu. A ze społecznych: „mariuszariat z Brighton", czyli pejoratywne określenie młodych polskich emigrantów w Wielkiej Brytanii śledzących głównie Kanał Zero. Z absolutnych nowości: *template slop*, czyli odpowiednik AI slopu (brei generowanej przez AI), w ramach którego to ludzie według pewnego szablonu (*template*) zasypują innych treściami. To robiłem przez poprzednie 167 wydań tej rubryki, czas na zmianę szablonu.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 0eac8d3e91

CHORWACJA: plamy na słońcu

Kiedy turyści wyjeżdżają, Chorwacja zostaje sama ze swoimi problemami: trudną historią, niestabilną gospodarką i pytaniem o miejsce w świecie.

Tego lata Chorwacją wstrząsają kolejne pożary, a sprawa okazuje się mieć dodatkowe dno. W okolicach Zadaru złapano cztery osoby podejrzane o celowe podpalenia. Być może nie byłaby to wiadomość tygodnia, gdyby osoby te nie okazały się według tamtejszych mediów trzema chorwackimi Serbami (i Polką, ale o jej narodowości mówi się mniej). Pochodzenie etniczne posiadających chorwackie obywatelstwo podejrzanych nie powinno być w teorii aż tak istotne. Jest jednak wodą na młyn nacjonalistów zbijających kapitał polityczny na szukaniu wyimaginowanego wroga, który w Chorwacji najczęściej przybiera postać Serba.

Nic dziwnego: tożsamość Chorwacji, młodego państwa, które swoją niezależność uzyskało dopiero w 1991 r., w dużej mierze zbudowana jest na wojnie z lat 90. W dominującej chorwackiej narracji była to wojna sprawiedliwa, w której przyszło bronić swojego terytorium przed wielkoserbską agresją. Trudniej wytłumaczyć kontrowersyjne zaangażowanie w wojnę w Bośni i Hercegowinie, gdzie siły bośniackich Chorwatów zniszczyły Stary Most w Mostarze.

Kilka lat temu, kończąc książkę reporterską o Chorwacji („Fjaka. Sezon na Chorwację" – przyp. red.), diagnozowałam, że rządząca tam od wielu lat prawica w miękkim, proeuropejskim wydaniu może być chwilowo najlepszą opcją. Weterani nie mają powodu, żeby protestować na ulicach, co zdarzało się za krótkich rządów socjaldemokracji. Skrajne partie są skutecznie odcinane od głosu, a przedstawiciele mniejszości wchodzą w skład rządu. Niezagrożona w swojej pozycji władza pozwala sobie nawet na bardziej zniuansowane podejście do najnowszej historii kraju i pojednawcze gesty wobec Serbów. Niestety, scenariusz okazał się nazbyt optymistyczny, a chorwacka scena polityczna coraz ostrzej skręca w prawo.

Napięcia polityczne i społeczne pozostają zazwyczaj niewidoczne dla turystów. Chorwacja wie, że bez tych ostatnich nie ma szans na przetrwanie – turystyka to jedna piąta jej gospodarki. Robi więc wszystko, by wyjechali zadowoleni i wrócili za rok: inwestuje w drogi i infrastrukturę, proponuje zróżnicowaną ofertę dla właścicieli portfeli o różnej grubości oraz przedstawia się jako bezpieczny i spokojny, śródziemnomorski kraj: „Mały kraj na wielkie wakacje", „Śródziemnomorze jak niegdyś", „Pełnia życia". Nie są to tylko puste slogany. W Chorwacji, z jej długą linią brzegową, licznymi wyspami i uderzająco piękną naturą, każdy znajdzie coś dla siebie.

W sezonie letnim większość treści dostosowana jest pod gości: razem z chorwackimi przyjaciółmi wybraliśmy się w lipcu na koncert na wyspie **Brač**. Miała być grana muzyka z lat 80., dlatego przygotowaliśmy się na najlepsze jugosłowiańskie hity. Niestety w repertuarze znalazła się wyłącznie muzyka anglojęzyczna. Sytuację uratowało kilka dni później rybackie święto, gdzie faktycznie bawili się miejscowi – przy dźwiękach swojej muzyki, darmowym winie i sardynkach.

Coraz więcej chorwackich miast zaczyna stawać się turystycznymi wydmuszkami. Choćby drugi co do wielkości Split, nie wspominając o oblężonym przez turystów **Dubrowniku**. Obecny model ma swoje ograniczenia – kolejne rekordy w liczbie odwiedzających powodują ogromny tłok, a w sezonie brakuje rąk

© SHUTTERSTOCK (3), ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 0eac8d3e91

do pracy, dlatego Chorwacja musi importować pracowników z zagranicy. Miejscowi też zresztą pracują ponad siły. W miasteczkach nadmorskich żyje się w wielkich amplitudach – w zimie są senne i opustoszałe, w lecie zamieniają się w hałaśliwe lunaparki.

Choć dla wielu Europejczyków Chorwacja to wyłącznie wybrzeże, w rzeczywistości jest fascynującym krajem na skrzyżowaniu kultur. Północna część ciąży ku Europie Środkowej, a w architekturze stołecznego Zagrzebia na każdym kroku widać ślady austrowęgierskiego panowania. Istria i Dalmacja wpisują się w bogate dziedzictwo Śródziemnomorza. Bliżej granicy z Bośnią i Serbią czuć już Bałkany, choć do tego elementu swojego dziedzictwa Chorwacja najmniej chętnie się odwołuje. Podkreśla się tu raczej rolę przedmurza chrześcijaństwa i wielowiekowość cywilizacji, sięgającej czasów iliryjskich.

Chorwacja ma w swojej najnowszej historii kilka dużych sukcesów: kolejne turystyczne rekordy, wicemistrzostwo świata w piłce nożnej, a przede wszystkim wstąpienie do Unii Europejskiej w 2013 r. W ostatnich latach kraj przyjął euro, a także stał się częścią strefy Schengen, przypieczętowując tym samym proces integracji. Mimo ogromnych obaw tutejsza gospodarka jakoś przetrwała pandemię covidu. Na pierwszy rzut oka można uznać, że nie ma powodów do zmartwień.

Jednak oparcie gospodarki na niestabilnej turystyce już teraz bywa kamieniem u szyi. Nie wszyscy młodzi obywatele są zainteresowani sezonową pracą jako kelnerzy czy pokojówki. Po wejściu do UE wielu młodych Chorwatów wyjechało za granicę w poszukiwaniu lepiej płatnej i stabilniejszej pracy. Szczególnie opustoszała oddalona od wybrzeża prowincja. Powstałe w ten sposób luki na rynku pracy coraz częściej wypełniają przybysze z Azji, choćby Nepalczycy, którzy w 2024 r. stanowili ponad 14 proc. imigrantów. Ich obecność staje się częścią lokalnego krajobrazu, ale chorwackie organizacje raportują, że nierzadko mieszkają i pracują w urągających godności warunkach.

Aleksandra Wojtaszek
– bałkanistka, dziennikarka i tłumaczka, doktor literaturoznawstwa. Autorka monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa" oraz zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację" (Czarne 2023). Laureatka m.in. Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO i Nagrody Europejski Poeta Wolności. O Bałkanach i literaturze pisze dla „Tygodnika Powszechnego", „Herito" i „Dwutygodnika".

Tymczasem partia rządząca, zamiast zajmować się strukturalnymi problemami kraju, zamiata pod dywan kolejne afery. Choćby niedawną katastrofę ekologiczną związaną z nielegalnym składowaniem niebezpiecznych odpadów z UE. W tej sytuacji użyteczna politycznie okazuje się retoryka oblężonej twierdzy i jasne wskazywanie wrogów – przypominanie, że Serbowie i komuniści wciąż czyhają na chorwacką niepodległość. Skrajnie prawicowy Ruch Ojczyźniany wszedł do chorwackiego rządu dwa lata temu. Jednym z warunków zawiązania koalicji uczynił zaś odsunięcie od władzy partii reprezentującej chorwackich Serbów.

W 2025 r. koncert prawicowego barda Marka Perkovicia Thompsona w kraju, który liczy niespełna 4 mln ludzi, zgromadził ok. 500 tys. słuchaczy. Thompson śpiewa, jaka to duma być Chorwatem, chętnie wykorzystuje katolicką symbolikę, ale nie stroni też od odgrażania się Serbom, a na koncertach wykrzykuje razem z fanami faszystowskie pozdrowienie „Za dom spremni" („Dla ojczyzny gotowi").

Pozdrowienie to nie tylko stadionowy wybryk – te słowa odsyłają wprost do najczarniejszej karty lokalnej historii. Podczas drugiej wojny światowej ustasze utworzyli tu swoje parapaństwo, a w obozach koncentracyjnych mordowano ludność serbską, żydowską i romską. Część chorwackiej prawicy zamiast przypominać o tym, że ten przed wojną marginalny ruch do władzy doszedł dzięki państwom Osi, podczas gdy Chorwaci masowo walczyli w antyfaszystowskiej partyzantce, chętniej stosuje wykręty. Tłumaczy, że pomimo oczywistych wypaczeń był to wyraz wielowiekowego chorwackiego pragnienia posiadania niezależnego państwa.

To słowa Franja Tuđmana, centralnej postaci chorwackiego panteonu, patrona licznych ulic i placów. Uważany za ojca ojczyzny Tuđman był kiedyś jednym z młodych generałów Josipa Broza Tity, ale w latach 80. przeobraził się w chorwackiego nacjonalistę i rozpoczął walkę o uniezależnienie od Jugosławii. Założył wówczas partię HDZ – Chorwacką Wspólnotę Demokratyczną, która z krótkimi przerwami jest w Chorwacji u władzy do dziś. Przez ostatnie lata w jej przekazie dominował ton centrowy i proeuropejski, ale ostatnio coraz częściej wraca do swojej nacjonalistycznej retoryki.

Na chorwacki skręt w prawo łatwo patrzeć z wyższością, ale niewątpliwie jest to odbicie procesów zachodzących w innych częściach Europy. Lubimy postrzegać Chorwację w sposób kolonialny – najlepiej, żeby była piękna, bezpieczna, tania i gościnna. Chcemy zachwycać się kamiennymi miasteczkami, kąpać w czystym morzu i oburzać na nacjonalistów, jednocześnie oczekując, że Chorwaci sprawnie podadzą nam obiad i nie będą podnosić cen. Ich kraj ma być europejski, ale egzotyczny; autentyczny, ale dostosowany do naszych potrzeb. Kiedy jednak sezon dobiegnie końca, a turyści wyjadą, Chorwacja zostanie sama ze swoimi problemami: trudną historią, niestabilną gospodarką i pytaniem o miejsce w zglobalizowanym świecie, w którym przypadła jej rola modnej destynacji turystycznej. ■

eprasa.pl 0eac8d3e91

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

O sędziowskiej reputacji

W **podkaście „Polskie demo" POLITYKI i Fundacji Batorego znów wyjątkowy gość: prof. Ewa Łętowska**, pierwsza rzeczniczka praw obywatelskich, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku (dowiecie się, co to w praktyce oznacza). Omawiamy przyczyny i skutki awantury o TK, ustalamy, w jakiej kondycji jest nasza praworządność. Ale to przede wszystkim rzeczowa rozmowa o tym, co wolno i co uchodzi sędziemu.

Gra w Zondacrypto

Przemysław Kral, szef upadłej giełdy Zondacrypto, stara się o status świadka koronnego, mimo że nie jest podejrzany – z czego to wynika? **Czy prokuratura słusznie wnioskowała o areszt dla prezesa PKOl? Komu i co można tu jeszcze zarzucić? Wszystkie prawne aspekty i niuanse tej afery wyjaśnia obszernie na polityka.pl Ewa Siedlecka.** Jak pisze, „na razie sprawa ma przede wszystkim efekt polityczny".

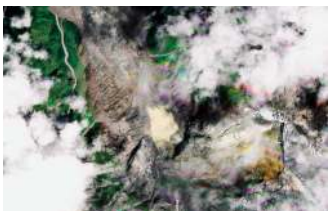

Himalaje tracą klej

Naukowcy próbują odtworzyć ciąg zdarzeń, który doprowadził do jednej z najtragiczniejszych powodzi błyskawicznych w najnowszej historii Himalajów. I ostrzegają: woda wciąż zbiera się w zatamowanych dolinach i w każdej chwili może przełamać bariery. **Andrzej Hołdys na polityka.pl tłumaczy, dlaczego góry tracą naturalny klej, czyli wieczną zmarzlinę**, która mogłaby zapobiec takim dramatom.

Polacy rozliczają brutalnie

Dlaczego sportowców w Polsce tak brutalnie rozlicza się z wyników (zwłaszcza porażek)? Wiedzą coś o tym Iga Świątek, Maja Chwalińska czy Ewa Swoboda. A także goszcząca **w podkaście psychologicznym POLITYKI wybitna biegaczka Sofia Ennaoui, która po 16 latach zakończyła karierę.** Nam opowiada, z czym wiąże się presja, jak dewastujący jest hejt i dlaczego sportowcy w Polsce nie mają wolnych niedziel.

Zanim przyjęliśmy chrzest

Przez tysiące lat na ziemiach dzisiejszej Polski żyli ludzie, którzy wierzyli, składali dary i odprawiali obrzędy. Ale prawie nic nie wiemy o ich bogach. Skąd te białe plamy i jak je zapełnić, wyjaśnia **w podkaście „POLITYKA o historii" Szymon Zdziebłowski, archeolog, autor książki „Bogowie Polski. Szamani, megality i zapomniane słowiańskie bóstwa"**. Do słuchania i oglądania na YouTube i polityka.pl.

© LESZEK ZYCH (2), FACEBOOK.COM/TEAMPL, PLANET LABS PBC/AFP/EAST NEWS, ANNA AMAROWICZ

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 0eac8d3e91

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 0eac8d3e91

VIESSMANN

Jeden inteligentny system, maksimum komfortu i oszczędności

ONE BASE intelligence

Innowacyjna platforma Viessmann, łącząca wszystkie urządzenia w kompletny system

Komfort – szybka instalacja i bezproblemowa praca.

Otwartość – współpraca z nowymi i istniejącymi systemami.

Przyszłość – nowe funkcje z każdą aktualizacją.

Jakość – klasa premium w atrakcyjnej cenie.

Poznaj nową generację pomp ciepła Vitocal 200-A

viessmann.pl/vitocal

eprasa.pl 0eac8d3e91